RELACJA Z FRONTU

JAK POLSKA BROŃ BIJE RUSKICH NA UKRAINIE

„OBRONIMY WARSZAWĘ"

POWSTAJE STOŁECZNA BRYGADA WOT

WYJĄTKOWY DODATEK

W HOŁDZIE BOHATEROM

ROCZNICA WYBUCHU POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

SIECI

Nr 31 (505) 2022
1–7 sierpnia 2022
CENA: 7,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

PREZES NBP UJAWNIA

TAK CHCĄ OBALIĆ RZĄD I POLSKIEGO ZŁOTEGO

CELEM JEST WŁĄCZENIE POLSKI DO NIEMIECKIEGO IMPERIUM EUROPEJSKIEGO. Z TYM PLANEM ZOSTAŁ PRZYSŁANY DONALD TUSK. MUSIMY SIĘ BRONIĆ – MÓWI NAM PROF. ADAM GLAPIŃSKI

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

102.
ROCZNICA BITWY
WARSZAWSKIEJ

Już 8 SIERPNIA w tygodniku SIECI

w dodatku historycznym przeczytasz:

- jak to było możliwe, że pokonaliśmy bolszewików w 1920 r.?
- jaki był przebieg bitwy warszawskiej?
- jak polskie wojsko pokonało Budionnego i jego Konarmię?

Świętujemy polskie zwycięstwo dla wolności Europy!

PARTNERZY DODATKU:

ORLEN

Bank Polski

eprasa.pl f3f299252a

Tak tresuje się terrorystów!

Co musi się stać, by przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości potępili publiczną brutalność? Po ostatnich decyzjach sądów można odnieść wrażenie, że agresja jest w cenie. Zwłaszcza ta skierowana przeciwko Kościołowi, wymierzona w patriotyzm lub w przedstawicieli władzy kojarzonej z PiS. Wystarczy spojrzeć na wyrok w sprawie nawoływania do zabójstwa abp. Jędraszewskiego czy atakowania policjantów przez Babcię Kasię.

Spirala nienawiści jest nakręcana w nieprawdopodobnym tempie. Przekroczono już wszystkie granice i wydano przyzwolenie na najbardziej radykalne działania. Ze zjawiskami zbiorowej demoralizacji mieliśmy już do czynienia po katastrofie smoleńskiej, gdy pijane bojówki Palikota pacyfikowały narodową zadumę na Krakowskim Przedmieściu. Wróciło ono jednak z regularnymi strukturami w chwili, gdy Platforma straciła władzę. Były manifestacje KOD i Obywateli RP. Potem na ulice wyległ tzw. Strajk Kobiet z najohydniejszymi hasłami sprowadzonymi do jednego postulatu Marty Lempart: „Wypie...ać!". Atakowano policjantów, szkalowano funkcjonariuszy, opluwano mundury, napadano na kościoły i niszczono publiczne mienie. Najbardziej barbarzyńskie działania osłaniali politycy opozycji. Zresztą część z nich osobiście zamienia parlament w cyrkowisko. Podobnie jest w kręgach Temidy. W antyrządowych wiecach biorą udział niektórzy sędziowie czy prokuratorzy. I choć chciałoby się oczekiwać od przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości bezstronności, nieupubliczniania poglądów politycznych i stronienia od wydarzeń, podczas których pojawiają się incydenty naruszające prawo, rzeczywistość wygląda inaczej. Zaangażowanie polityczne przenosi się także na salę sądową, a niektóre wyroki są wręcz szokujące. Przykłady z ostatnich dni?

Jedna z czołowych zadymiarek – Katarzyna A., zwana przez opozycję Babcią Kasią – usłyszała niezwykle łagodny wyrok za napaść na policjantów. Sąd Rejonowy dla Warszawy-Śródmieścia wprawdzie stwierdził jej winę, ale zasądził śmiesznie niską grzywnę w wysokości 2250 zł. Bez znaczenia był widać fakt, że tamto zachowanie nie było odosobnionym incydentem Babci Kasi, a prokuratury przesłały do sądów już ponad 20 aktów oskarżenia przeciwko niej.

Szokujący jest także wyrok poznańskiego sądu w sprawie nawoływania do zabójstwa ks. abp. Marka Jędraszewskiego. Do sytuacji doszło w 2019 r. podczas wyborów Mr Gay Poland w Poznaniu. Drag queen Marek M., ps. „Mariolka Rebel", odegrał happening, podczas którego użył dmuchanej lalki z wizerunkiem krakowskiego metropolity. Przy słowach piosenki: „Zabiłam go...", symulował podcięcie gardła abp. Jędraszewskiemu. Prokurator Agnieszka Bortkiewicz z Prokuratury Okręgowej w Warszawie przygotowała drobiazgowy akt oskarżenia. Jednak sędzia Agata Trzcińska nie dopatrzyła się w nienawistnym happeningu agresywnego przestępstwa, stwierdzając, że Marek M. to artysta o wrażliwej duszy oraz że „występ ten mieścił się w granicach wyznaczonych wolnością artystyczną, wolnością słowa, prawem do krytyki i wyrażenia opinii". Marek M. został uniewinniony. Prokuratura Okręgowa w Warszawie zamierza złożyć apelację.

I tak kręci się spirala nienawiści. Totalna opozycja na czele z Donaldem Tuskiem coraz intensywniej zachęca swoich zwolenników do ulicznej agresji, usprawiedliwia najbrutalniejsze ataki, a gdy trafiają one na drogę sądową, ulegają wręcz neutralizacji. Doraźne cele desperatów, chcących odzyskać utraconą władzę, skutkują daleko posuniętą demoralizacją społeczną. Bo przecież prawo nie tylko reguluje zasady życia społecznego, ale także wychowuje. Patologiczne decyzje sądów utrwalają patologiczne postawy i zachęcają do barbarzyńskiego przesuwania granic. Właśnie tak tresuje się terrorystów!

Marzena Nykiel

Autopromocja

eprasa.pl f3f299252a

SIECI spis treści

32 *Szyk bojowy na walną bitwę z PiS* *Jan Rokita*

41 Siewcy paniki *Konrad Kołodziejski*

55--75 63 dni wolności *78. rocznica wybuchu powstania warszawskiego*

NA POCZĄTEK

6 SYGNALISTA NADAJE
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 SONDAŻ OSTATECZNY
Krzysztof Feusette

9 GDZIE TA UŚMIECHNIĘTA TWARZ?
Dorota Łosiewicz

10 KOLUMNADA POWSTAŃ NARODOWYCH
Jan Pietrzak

10 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU
Dominik Zdort

11 CZY POLEMIKA Z LIBERAŁEM JEST MOŻLIWA?
Bronisław Wildstein

12 WALIZKA ROBERTA SZAJA
Michał Korsun

14 OGNIEM NA WPROST
Andrzej Rafał Potocki

15 LEKCJA Z POWSTANIA
Marta Kaczyńska-Zielińska

16 DLACZEGO TUSK MILCZY NA TEMAT UKRAINY?
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

18 Z ADAMEM GLAPIŃSKIM
rozmawiają Michał Karnowski i Maciej Wośko

WOJNA ROSJI Z UKRAINĄ

23 POLSKA BROŃ NA UKRAINIE: POMOC, A TAKŻE INWESTYCJA
Marek Budzisz

27 PIORUNY I KRABY SPRAWDZAJĄ SIĘ W BOJU
Jakub Augustyn Maciejewski

30 Z KS. TOMASZEM KRZEMIŃSKIM
rozmawia Jaromir Kwiatkowski

KRAJ

32 SZYK BOJOWY NA WALNĄ BITWĘ Z PIS
Jan Rokita

35 WOJNA DMUCHANYCH TYGRYSÓW
Stanisław Janecki

38 Z MICHAŁEM WÓJCIKIEM
rozmawia Maciej Walaszczyk

41 SIEWCY PANIKI
Konrad Kołodziejski

44 Z PŁK. MARKIEM PIETRZAKIEM
rozmawiają Marek Pyza i Marcin Wikło

48 Z MARLENĄ MALĄG
rozmawia Dorota Łosiewicz

ŚWIAT

52 KONKURENT TRUMPA
Aleksandra Rybińska

OPINIE

76 NIEMIECKI AMBARAS
Jan Parys

78 TĘCZOWA INFILTRACJA
Grzegorz Górny

SIECI KULTURY

81 KTO WIE LEPIEJ
Jolanta Gajda-Zadworna

83 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM
Piotr Zaremba

84 MUZYKA PRZECIWKO WOJNIE
Adam Ciesielski

86 ABORCJA JEST ŚWIĘTA
Robert Tekieli

87 WOJNA CYWILIZACJI
Robert Tekieli

88 CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY
Wojciech Stanisławski

KUCHNIA

90 MOJE SZLAKI: MONIKA I SEWERYN MASALSCY
Jolanta Gajda-Zadworna

91 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

92 TAK JAK BYŁO, JUŻ NIE BĘDZIE…
Hanna Karp

94 PAMIĘTAMY
Alina Czerniakowska

95 POKAZAĆ PTAKA
Piotr Cywiński

95 NORWID – WYZWANIE DLA WYBRANYCH
Adam Ciesielski

96 JĘZYK POLSKI TO NIE PUTIN
Wiktor Świetlik

96 ORDNUNG MUSS SEIN!
Lech Makowiecki

97 DZIEWIĄTKĄ POJECHAĆ W ALEJE…
Leszek Długosz

98 HIOBOWA PERSPEKTYWA
Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja

eprasa.pl f3f299252a

GORĄCE PYTANIA

W POLSCE / PL

JAKUBOWSKA • ŁOSIEWICZ • RYBIŃSKA • SZYMBORSKA • BIEDROŃ • KOCZOT • MACIEJEWSKI • MAJEWSKI • PYZA • WIKŁO • WOLNY • WYSOCKI

OGLĄDAJ NAS:

polsat box
wcześniej Cyfrowy Polsat
NA POZYCJI **196**

upc
NA POZYCJACH **339** dekoder Mediabox **121** dekodery KAON i Horizon

orange
NA POZYCJI **32**

NETIA
NA POZYCJI **192**

VECTRA
NA POZYCJI **825**

Sygnalista nadaje

„Roman [Imielski] ma w swoim dziale dziennikarzy, którzy non stop tropią pana Obajtka i innych ludzi" – powiedział zastępca redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej" Bartosz Wieliński na nagraniu ze spotkania redakcji z zarządem Agory, które ujawnił portal TVP Info. Niektórych stosowanie przez gazetę Michnika stalinowskiej zasady, iż „dajcie człowieka, a paragraf się znajdzie", mocno zadziwiło. Nas w ogóle – to jedna z korzyści wynikających ze znajomości historii pewnych środowisk.

Rzekomy gwiazdor dziennikarstwa śledczego Szymon Jadczak oburzył się jednak nie na organizowane przez potężną redakcję polowanie na Obajtka, ale na Samuela Pereirę, który temat opisał. I wszystkich, którzy rozumieją cynizm ludzi Michnika. „Mam taką radę dla młodych dziennikarzy i ludzi, którzy chcą być dziennikarzami. Wynotujcie sobie tych, którzy mówią coś dobrego o tym tekście Pereiry w TVP. I nigdy w życiu nie podawajcie im ręki ani nie miejcie z nimi nic wspólnego" – zaapelował. Chłopak ewidentnie się marnuje w naszej epoce. W ZMP czy PZPR to dopiero zrobiłby karierę.

O karierę w ogóle dziś łatwo. Taka ***Klaudia Jachira***, rocznik 1988, w czasie formowania Platformy zostałaby uznana zapewne za przedstawicielkę lumpenproletariatu, od której lepiej trzymać się z daleka. Dziś jest główną twarzą tej formacji. W Sejmie stwierdziła: „Dzięki TVPiS jestem szczególnie popularna w różnych dziurach i ciemnogrodach, a chciałabym trochę odpocząć w te wakacje". Dziwne to zwłaszcza w kontekście ogłaszania przez media III RP co pół roku, iż TVP dawno nikt nie ogląda. Zdecydujcie się wreszcie.

Platformianym paniom i panom udaje się już niemal miesiąc milczeć w sprawie afery w gorzowskim Wojewódzkim Ośrodku Ruchu Drogowego. Jak na partię mającą na sztandarach prawa kobiet, to prawdziwa sztuka. Milczą też związane z PO media. Donald Tusk udaje, że tematu nie ma. Lokalni kacykowie próbują za to uciszyć prasę, która ujawnia proceder przymuszania do wstępowania do Platformy i mechanizm „praca za seks". Zapewne szepczą sobie do uszek: „Tylko nie mów nikomu".

Z prawdziwych dziur i ciemnogrodów wychodzą bojówki, które opozycja rzuca na wiece Zjednoczonej Prawicy. Prof. Stanisław Żerko poskarżył się w internecie: „Żona wraca ze znajomymi ze spotkania z J. Kaczyńskim w Kórniku. Przy wyjściu zostały obrzucone wyzwiskami przez oczekujących tam zwolenników opozycji od »pisowskich k...w«, było też plucie na wychodzących, skandowanie »je...ć PiS«. Mówi, że nigdy jeszcze nie spotkała się z czymś takim". Współczujemy. Pamiętając jednak dobrze, co sam pan profesor pisał o różnych ludziach, których uznał za stosowne zaatakować. Język był podobny.

Jest na to przyzwolenie, także sądów. Portal wPolityce.pl dotarł do treści pisemnego uzasadnienia szokującego wyroku w sprawie nawoływania do zamordowania abp. Marka Jędraszewskiego, którego autorem był Marek M., ps. „Mariolka Rebel", poznańska drag queen. Wczytując się w kuriozalne wnioski sądu, ma się wrażenie, że sędzia Agata Trzcińska nie sądziła brutalnego i agresywnego sprawcę poważnego przestępstwa, ale artystę o wrażliwej duszy, który cierpi z powodu wyimaginowanych krzywd. A tak w ogóle to nie widzieliśmy tego, co widzieliśmy, a artysta nie odpowiada za to, co sobie pomyśleliśmy. Co

eprasa.pl f3f299252a

sobie o tym skandalicznym wyroku pomyśleliśmy, państwo mogą się domyśleć.

U ludzi opozycji najbardziej zadziwia przekonanie, że są najpiękniejsi, najmądrzejsi, mają świetną wymowę. Wicemarszałek Sejmu Bogdan Borusewicz poskarżył się, że „ogląda w telewizji korespondentów, którzy nie tylko mają wadę wymowy, ale tego nie polepszą dlatego, że mają tego typu pewne braki fizyczne". Doprecyzował, że chodzi o dwóch korespondentów zagranicznych. To ważne, bo w pierwszej chwili myśleliśmy, że to atak na Marcina Mellera i ***Adama Michnika***.

Żadnego błędu, żadnego pyłku nie było z kolei na fotografiach z sesji zdjęciowej Wołodymyra Zełenskiego i Ołeny Zełenskiej dla amerykańskiego „Vogue'a". Wysmakowane kadry pokazują jej spokojne piękno, jego wojenne zmęczenie. A jednak coś poszło nie tak. Trudno uciec od wrażenia, że niechcący i nieprawdziwie pokazano coś sztucznego. Za bardzo tu widać pracę stylistów, makijażystów, fotografów. Tak to oceniło wielu internautów, także w USA. Źle się stało. Jeśli Ukraińcy zasugerują światu, że to teatr, dużo stracą. Także w Polsce, gdzie siły popierające ukraińską niepodległość muszą się mierzyć z turbopopulizmem i cynizmem tuskowej ekipy, grającą na premię z trudności wynikających z wojny. Inna sprawa, że żadne polskie medium, w tym także telewizja publiczna, na wywiad z Zełenskim nie mogło dotąd liczyć. Może nie było czasu, wiadomo, wojna. A szkoda, bo to by sprawie pomogło chyba bardziej niż sesja dla „Vogue'a".

Tymczasem Rada Języka Polskiego zachęca do szerokiego stosowania składni „w Ukrainie" oraz „do Ukrainy" i nie uznaje składni „na Ukrainę" za jedyną poprawną. Progresywna jak zawsze Rada powinna pójść za ciosem i zaproponować pisanie, że coś zdarzyło się „w Słowacji", „do Słowacji" czy „w Węgrzech", „do Węgier" – w końcu historycznie przyczyny używania tych form są podobne.

Z kolei w rosyjskiej telewizji komentowano powołanie przez ***Grzegorza Brauna*** antyukraińskiego zespołu parlamentarnego. Oficjalna jego nazwa to Parlamentarny Zespół. ds. Stosunków Międzynarodowych oraz Interesów Polski i Polonii, którego pierwszą inicjatywą było zaprezentowanie projektu „Stop ukrainizacji Polski". Prokremlowski propagandysta Piotr Pietrowskij ujawnił jednak prawdziwy cel przedsięwzięcia. Nazwał posłów Konfederacji swoimi... kolegami: „Dziś, moi koledzy, posłowie polskiego Sejmu, organizują przedsięwzięcie »Stop ukrainizacji Polski«" – zachwalał. Radzimy spojrzeć na sprawę poważnie. Z pochwał moskiewskiej prasy wobec Tuska („nasz człowiek w Warszawie") też żartowano, a szkód narobił dużo.

Fot. Andrzej Wiktor

Zohydzić pomoc Ukraińcom może także nadgorliwość niektórych prezydentów wielkich miast. W Sopocie i Poznaniu, ale pewnie lista będzie dłuższa, nie zawyją syreny dla upamiętnienia wybuchu powstania warszawskiego. Prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak podjął decyzję z uwagi na wielu mieszkających obecnie w Poznaniu Ukraińców, dla których dźwięk ten może wywołać wspomnienia traumatycznych wydarzeń i przeżyć związanych z toczącą się na Ukrainie wojną. Samych Ukraińców nikt zapewne nie spytał. Nie o nich tu chodzi, ale o niechęć do polskiej tradycji.

Redaktor naczelny „Nowej Konfederacji" Bartłomiej Radziejewski ujawnił, iż jego organizacja straciła 500 tys. zł. Enigmatycznie wyjaśnił, że to efekt działania jednej z pracownic. Z kolei kierowany przez Sławomira Broniarza Związek Nauczycielstwa Polskiego miał utopić 250 tys. zł w nieudanej inwestycji w whisky w beczkach. Przykre. Zdarza się. Ale trudno nie zauważyć, że pierwsi bez przerwy pouczają, jak dobrze rządzić i zarządzać, a drudzy – jak organizować i wychowywać. Warto chyba zacząć od kilku lekcji dla siebie.

Warto też spojrzeć czasem na własne łamy. Lewicowa prasa rzuciła się bowiem szydzić z prezesa Jarosława Kaczyńskiego, który stwierdził: „Młodzież jest pod bardzo wielkim wpływem smartfona, mówiąc w przenośni. Tu znowu my wielkich możliwości nie mamy, ale będziemy prowadzili kontrakcje". Ta sama prasa, która woła o więcej pieniędzy na psychologów, bo narasta problem uzależnień od komputerów, właśnie smartfonów i gier. Każdy, kto ma dzieci czy wnuki, wie, jak to niebezpieczne, ilu w to wsiąkło. Każdy sposób na oderwanie dzieci od ekranów, choćby sport, dodatkowe zajęcia, harcerstwo, jest wart wspierania. Nie przypadkiem w Chinach określa się komputerowe uzależnienia jako opium XXI w.

eprasa.pl f3f299252a

Sondaż ostateczny

Halo? Czy mogę zająć pół minutki? Dzwonię z sondażowni opinii publicznej instytutu badań obywatelskich nad społeczeństwem w krajach demokracji europejskiej Dojcze Vita. Prowadzimy całkowicie anonimową i apolityczną ankietę telefoniczną. Czy mogłabym zadać dosłownie jedno pytanko? Na kogo zagłosowałby pan w wyborach parlamentarnych? Proszę podać nazwę partii lub jej skrót... Halo? Przepraszam bardzo, bo nie dosłyszałam pańskiej odpowiedzi, a zależy nam, by badania były rzetelne i trafnie oddające nastroje społeczne. Proszę powtórzyć... Ojej, chyba znowu pana gubię... No, właśnie... Tutaj praktycznie nie ma zasięgu... Albo źle sformułowałam pytanie... Więc powtórzę: na kogo na pewno nie zagłosowałby pan w najbliższych wyborach? Odpowiedź już mam, więc tylko zanotuję sobie jeszcze pański peselek... Słucham? Aha. Czyli jeśli dobrze pana rozumiem, wyklucza pan PO z grona partii, których pan na pewno nie poprze, tak? Rozumiem. Pełna zgoda, demokracja, tak jest. Ale ja o to nie pytałam. Ja pytałam pana bardzo wyraźnie, i to się nagrywa, na kogo zagłosowałby pan w najbliższych wyborach? Pan mówi PO, tak? Halo? No i widzi pan, ja już praktycznie pana nie słyszę. Ja już nawet nie wiem, czy pan mnie słyszy, więc może umówmy się, kiedy indziej, okej? A po co pan będzie powtarzał, skoro ja nie słyszę? Dziękuję, nie trzeba! To znaczy, nie rozumiem, bo pada mi bateria. Na PSL? Aha, nie na PiS?! Przecinek po „nie"? Proszę pana, to nie jest dyktando. Najważniejsze, że jest zasięg! „Nie na PiS" – zanotowałam. Cieszę się, że mogę zadać kolejne pytanie z ankiety, które brzmi: „Czy liderem Platformy Obywatelskiej jest Donald Tusk i czy Donald Tusk powinien być ponownie premierem RP"? Bardzo proszę o chwilę namysłu, żebyśmy się znowu z zasięgiem nie mordowali. Aha, odpowiedź musi być twierdząca lub przecząca, przy czym przy dwóch równoważnych pytaniach w arytmetyce sondażowej ważniejsze jest oczywiście to pierwsze. Zresztą pan to wie, bo widzę, że od początku świetnie się dogadujemy, prawda? Nie dogadujemy? A, odpowiada pan na pytanie... Jak to? No i widzi pan? W „Milionerach" nie zdążyłby pan do przyjaciela zadzwonić. Co to znaczy „nie"? Nie jest liderem PO? A ja nie pytam teraz o premierostwo, bo co przed chwileczkę mówiłam? No, które pytanie jest pierwsze? Dobrze, zapiszę „tak" łamane przez „nie", bo i tak mi więcej niż trzy litery nie wejdą. To może teraz ostatnie pytanko, bo widzę, że pan jest coraz bardziej zmęczony. Tymi cenami oczywiście. A więc: „Na kandydata której partii zagłosowałby pan w wyborach prezydenckich?". Jestem zobowiązana przypomnieć odpowiadającemu, iż Andrzej Duda już nie będzie startował, Władysław Kosiniak-Kamysz próbował i nic z tego nie wyszło, a Nowa Lewica wystawi pewnie tzw. babę z brodą. Oczywiście pan może wybrać, jak chce, ale przypominam, że to jest tylko jeden głos. Sól demokracji. Tak jest, już notuję... Słucham?! Panie! Ja nie wiem, co pan z tym telefonem robi, ale ja za chińskiego boga nie mogę zrozumieć, co pan mówi! I już mnie to drażni! Ja też jestem w pracy i też mam określone badanie do przeprowadzenia. A pan mi nie ułatwia! Albo pan się wierci, albo biega gdzieś z tą komórką. Więc proszę łaskawie usiąść na d...pie i grzecznie odpowiedzieć na pytanie instytutu badań społecznych nad nastrojami sfrustrowanych mieszkańców gmin w bastionach polskiej prawicy! Czy pan mnie słyszy?! Świetnie. Czy pan rozumie pytanie? Słucham? Jak „jeszcze nie było", skoro właśnie pana zapytałam, czy pan słyszy pytania o to, czy pan je słyszy?! Coś pan, zwariował? No, nie wiem, w każdym razie czytam: „Na jaką partię zagłosowałby pan w najbliższych wyborach?". Halo? No, debil. Do k...y nędzy, czy pan jest nienormalny? Po co pan wisi od pięciu minut na tym telefonie? Może ktoś w ważnej sprawie dzwoni, a pan ma ciągle zajęte, bo nie potrafi pan odpowiedzieć na proste pytanie ankietera III Rzeczypospolitej RP! Nie, proszę pana, g...o prawda. Nie potrafi pan. Ja przeprowadziłam takich badań setki i umiem rozpoznać po pierwszych zdaniach, czy ktoś potrafi odpowiedzieć jak człowiek wykształcony wszechstronnie, czy nie. A pan, proszę pana, jest zwykłym bucem i chamem. Nawet pan się nie przedstawił, a co dopiero jakie ma poglądy! I ja, proszę pana, się nie zawaham – oczywiście już po wyborach – przed wyciągnięciem wobec pana poważnych konsekwencji. Proszę mi powiedzieć, gdzie pan pracuje? O, świetnie. Bardzo się koledzy dziennikarze ucieszą, bardzo, że pan nie był w stanie stanąć na wysokości zadania i odpowiedzieć normalnie jak człowiek na pytanie o preferencje wyborcze. Bardzo żałuję, że w ogóle do pana zadzwoniłam. Bo teraz muszę to wszystko zanotować, opisać i wrzucić do naszych akt. Pan oczywiście zdaje sobie sprawę, że w środowisku mediów komercyjnych takie odpowiedzi deprecjonują pana jako człowieka w ogóle? A ja, głupia, myślałam, że będę mogła na koniec ankiety wręczyć panu za pomocą kuriera zegarek marki Nowak's Birthday. No nic, szkoda, bo ładny i drogi. Właśnie! To może o inflację pana podpytam? O, mam: „Dlaczego PiS ściągnął inflację do Polski?". Albo prostsze: „Ile zostaje z 500+ przy podwyżkach cen i czy nie lepiej było, gdy go nie było?". To co? Włączam dyktafon. Bo wcześniej zapomniałam.

KRZYSZTOF FEUSETTE

eprasa.pl f3f299252a

Gdzie ta uśmiechnięta twarz?

Oby nam tylko po drodze Polska nie spłonęła z tych emocji, bo nie brakuje takich, którzy właśnie emocjami wolą walczyć zamiast programem

Czy ktoś jeszcze pamięta hasła o uśmiechniętej Polsce Rafała Trzaskowskiego z kampanii prezydenckiej? Pewnie mało kto, bo dziś wyborcy Platformy Obywatelskiej mają twarz hejterów z Kórnika, którzy dla ludzi o innych poglądach mają tylko pogardę i wulgaryzmy. A „szarańcza", „mohery" i „wataha" wracają ze zdwojoną siłą.

„Wybór dzisiaj jest bardzo prosty. Mamy wybór między uśmiechniętą, wspólnotową Polską, którą proponuje Rafał Trzaskowski, i rozkrzyczaną, rozhisteryzowaną Polską Andrzeja Dudy, Mateusza Morawieckiego czy Jarosława Kaczyńskiego" – mówił podczas kampanii prezydenckiej Trzaskowskiego ówczesny lider PO Borys Budka.

Od tamtej pory bardzo dużo się zmieniło. Z wiatrem, a może raczej z powrotem Donalda Tusk przeminęły czasy, gdy prezydent stolicy opowiadał się za zerwaniem z totalnością opozycji i proponował wyjście do wyborców z konkretnymi propozycjami programowymi. „Tylko musimy przestać zajmować się sami sobą, musimy po prostu iść do przodu, myśleć o przyszłości" – mówił Trzaskowski podczas Rady Krajowej PO po przegranych wyborach prezydenckich. Twierdził też, że potrzebne są zmiana filozofii, otwartość partii i koniec „opozycji totalnej".

Gdy tylko do Polski wrócił Tusk, nastąpił natychmiastowy zwrot do polityki totalności. Nowy stary lider ogłosił walkę dobra ze złem, w której dobro to PO, i postawił na starą, choć mało skuteczną strategię „ulica i zagranica". „Przyjdzie taki moment, że na ulicy też się wszyscy zorganizujemy, jeśli ta władza nie zniknie" – powiedział Tusk kilka tygodni temu w Radomiu. Zapowiedział też wyprowadzanie z budynków legalnie wybranych na konstytucyjną kadencję urzędników państwowych. Ulica błyskawicznie odpowiedziała nienawiścią. Choć nie wiem, czy to lider PO tak wyczuł żądzę krwi u swoich wyznawców, że rzucił hasło do ataku, czy odwrotnie: wyznawcy natychmiast odpowiedzieli na wezwanie. A może jedno i drugie. Tak czy inaczej, bojówkarze znów ruszyli do akcji. Np. w Kórniku, gdzie pod miejscem spotkania Jarosława Kaczyńskiego z wyborcami grupa agresywnych osób rozpętała kampanię hejtu. Było wszystko to, co już znamy: i wulgarne okrzyki, i obelgi pod adresem pisowców, było plucie, groźby wobec starszych ludzi i policjantów.

Jak zwykle w tego typu przypadkach „spontaniczna" akcja była wcześniej zaplanowana. Dzień wcześniej na jednym z portali społecznościowych miejscowa działaczka PO Magdalena Kosakowska, kandydatka do Sejmu w 2019 r. z list tej partii, zwołała zgromadzenie, a wszystko okraszono tytułem: „Jajecznica z prezesem, czyli witamy kaczora w Kórniku". Jak to zwykle bywa, w rozróbie brali udział nie tylko członkowie i zwolennicy PO z Kórnika, ale także awanturnicy, którzy już wcześniej pojawiali się w miejscowościach, w których pojawiał się prezes PiS. Wszystko to oczywiście ludzie, którym na co dzień bliskie są hasła tolerancji, otwartości i szacunku do odmienności. Byle nie do pisowców, bo do nich żadnych pozytywnych emocji mieć nie można.

Taka rozróba to ogólnie nic nowego. Z poprzednich kampanii pamiętamy zorganizowane grupy spod sztandaru zwolenników PO, tzw. lotne brygady opozycji, które jeździły za politykami PiS po całej Polsce, rozwalając spotkania. Wiele z tych osób pojawiało się także na ulicznych demonstracjach. A kto nie pamięta, jak działają tacy zorganizowani zadymiarze, niech wpadnie o 19.30 pod budynek TVP Info, gdzie każdego dnia zakłócają porządek „obywatele" spod znaku ośmiu gwiazdek.

Dziś hasło o uśmiechniętej twarzy PO może wywołać co najwyżej uśmiech politowania. A takie podgrzanie nastrojów nie zostawia wątpliwości, że kampania wyborcza już się zaczęła. Będzie to kampania długa, wyczerpująca, a do mety dobiegną najwytrwalsi zawodnicy. Oby nam tylko po drodze Polska nie spłonęła z tych emocji, bo nie brakuje takich, którzy właśnie emocjami wolą walczyć zamiast programem i wizją rozwoju kraju. Widocznie łatwiej wyprowadzić ludzi na ulicę, niż dotrzymać danej obietnicy.

Dorota Łosiewicz

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Kolumnada powstań narodowych

Jan Pietrzak

Powstał taki paradoks, że nie podoba się władzom Warszawy Marsz Powstania Warszawskiego. One gustują w marszach przebierańców. Bardzo rozrywkowe towarzycho obsiadło ratusz. Nie znam szczegółów, ale podobno argumentem przeciw uczczeniu powstańców jest to, że marsz organizują narodowcy. Czy ci narodowcy nie mają polskiego obywatelstwa i są pozbawieni praw? To pytanie retoryczne. Oczywiście to oni właśnie traktują poważnie polskie obowiązki, co nie jest na rękę naszym sąsiadom, reprezentowanym przez magistracką agenturę. Przypominanie polskiego bohaterstwa to gruby nietakt wobec władców Berlina. Prezydent Warszawy jest na te sprawy uczulony. Zasłynął z opinii, że skoro mamy lotnisko w Berlinie, to Polsce nie jest potrzebne. A jego partyjny przywódca, zwany Tuskiem, został namaszczony na polskiego premiera przez samą von der Leyen. Czy Platforma O.!, umiłowana przez Niemców, może zgadzać się na wspomnienie niemieckiej hańby? Bowiem hańbą było barbarzyńskie równanie z ziemią miasta i jego mieszkańców, dokładnie w ten sam sposób, który obserwujemy dziś w wykonaniu Rosjan na Ukrainie.

Przypomnijmy, że młodzi powstańcy to były dzieci i wnuki pokolenia, które odzyskało niepodległość po zaborach. Byli nie do powstrzymania. Przez długie lata okupacji marzyli, że będą się bić o wolność. Wychowani na „Warszawiance", „Szarej piechocie", „Pierwszej brygadzie" i 100 innych pieśniach dumy i chwały, pisali i śpiewali swoje. „Pierwszy sierpnia, dzień krwawy, / powstał naród Warszawy, / by stolicę uwolnić od zła / i zatknęli na dachy, barykady i gmachy / biało-czerwonych sztandarów las". Doskonale wiedzieli, że ryzykują życiem, ale dla Polski warto ponieść każde ryzyko. Jak podchorążowie z nocy listopadowej, kosynierzy Kościuszki, gen. Traugutt na Cytadeli, Orlęta Lwowskie, „długi łańcuch polskich istnień, połączonych myślą prostą: żeby Polska była Polską!".

Istniejemy dzięki buntom, wojnom i powstaniom. W Warszawie powinna stanąć kolumnada powstań narodowych od konfederacji barskiej do Solidarności, uświadamiająca światu, co dla Polaków znaczy słowo „niepodległość".

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Drybling gejowskiego futbolisty

Dominik Zdort

W działalności aktywistów środowisk nieheteronormatywnych widzę pewną schizofrenię. Bo z jednej strony słyszę, że chcą być traktowani jak inni, wykonywać zawody zaufania publicznego, być nauczycielami, pielęgniarzami, lekarzami (brrr!), czasem nawet księżmi (wielu z nich niestety już księżmi jest), ale z drugiej widzę tendencje do izolacjonizmu i swego rodzaju elitarności.

Jakiś czas temu pisano o homoseksualnych klubach sportowych. Ponoć powstają dlatego, że w tym środowisku dominują normy heteroseksualne, a najwyższej klasy zawodnicy homoseksualni i transgenderowi w sporcie wyczynowym są marginalizowani. W dodatku w Polsce sport osób LGBT+ nie jest traktowany z należytą uwagą. Ja naprawdę nie wymyślam tych argumentów, tylko wprost przepisuję z materiałów homoaktywistów.

W tym celu grupy gejowskie, lesbijskie (i jakie tam jeszcze w definicji LGBT+ się mieszczą) zakładają swoje własne nieheteronormatywne kluby. Wprawdzie nie wiem, czym się różni drybling gejowskiego futbolisty od dryblingu heteropiłkarza, ale jakoś potrafię pojąć, po co powstają drużyny panów „kochających inaczej" (w czasach PRL rozpoznawali się w niektórych publicznych toaletach...). A są też takie kluby jak Legia Warszawa, które (o czym pisało się parę lat temu) mają nawet sekcje tęczowych kibiców. Ale nie tylko sportem geje i lesbijki się interesują i – jak wiadomo – nie za to ich/je kochamy, cenimy i szanujemy. Otóż środowiska te ostatnio zapragnęły mieć także własny chór LGBT+. I tu też wytłumaczenie jest proste. Istnieje zjawisko, które w materiałach naukowych jest nazywane „gay voice", po polsku „głos gejowski" czy „gejdar głosowy".

Część homobadaczy twierdzi, że to wymysł, no ale wszyscy, którzy mają kolegę geja i nie są zaczadzeni polityczną poprawnością, wiedzą doskonale, o co chodzi i jak to brzmi. Tym bardziej, że autorzy projektu nazwanego właśnie „The Gay Voice" ustalili, że 41 proc. homoseksualistów uważa, iż ich orientację można rozpoznać po głosie. A skoro tak, to gejowski chór na pewno mógłby dostarczyć światu nowych wrażeń dźwiękowych.

Kolejne tego typu inicjatywy uważam za cenne i godne promowania. Niech powstają gejowskie supermarkety, warzywniaki i sklepy papiernicze. Niech działają homodeweloperzy, homoelektrownie, homoszpitale. Z pożytkiem dla wszystkich, niezależnie od orientacji.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl f3f299252a

BRONISŁAW WILDSTEIN

Czy polemika z liberałem jest możliwa?

Dlaczego dyskusja z liberałem ma być szczególnie trudna? Czytelnik się zdziwi. Ano dlatego, że rzecznik tej myśli uznaje, że wszelkie sukcesy cywilizacji zachodniej są jej dziełem, a więc kwestionowanie liberalizmu to całościowe jej odrzucenie. Wynika z tego, że krytyk liberalizmu jest wrogiem wolności i równego traktowania ludzi, jest przeciw nauce i dobrobytowi, przeciw technicznemu postępowi, podmiotowości politycznej, niezależnym sądom i mediom, wolności słowa i sumienia.

W rzeczywistości współcześni krytycy liberalizmu twierdzą, że w każdym razie jego obecna wersja prowadzi do efektów odwrotnych od deklarowanych i zaprzecza głoszonym ideałom. Dowodzi tego filozof Ryszard Legutko, przeciw któremu diatryba na łamach pisma „Liberties", zatytułowana „List otwarty do wroga liberalizmu z mojej ojczystej ziemi", skłoniła mnie do napisania tego felietonu.

Jej autor, Jarosław Anders, literaturoznawca zamieszkujący Stany Zjednoczone, zastanawia się, co może zyskać, czytając wroga wszystkiego, w co wierzy. Wkraczamy więc w domenę wiary, co zasadniczo utrudnia racjonalną debatę. To znamienne, że rzecznicy liberalizmu, traktując go jako wyznanie – czym tym bardziej uzasadniają uznanie go za ideologię – wzywają do racjonalności. Tyle że trudno odnaleźć ją w ich eksklamacjach i oburzeniach – co zrozumiałe u urażonych czcicieli. Przywołany tekst jest tego doskonałym przykładem. W ogóle nie ma w nim próby analizy myśli Legutki czy refleksji nad stanem wolności i demokracji oraz instytucji politycznych dziś. Są tautologie jak cepy, zgodnie z którymi – jeśli autor uznaje liberalną wersję wolności za jej wykoślawioną wersję – jest przeciw niej jako takiej, jeśli wskazuje, że liberalna urawniłowka obraca się przeciw godności człowieka, to jest jej wrogiem itd.

„Jedyną alternatywą dla demokracji jest dziś nieliberalny autorytaryzm. Wydaje się, że jest on na fali. Latami Rosja Putina odgrywała tę samą rolę w stosunku do nieliberalnych partii w Europie jak Związek Sowiecki wobec partii komunistycznych. Gromadziła je pod swoimi skrzydłami, wspomagała zarówno finansowo, jak i dezinformacyjnymi kampaniami, ustawiała je na pozycjach sprzyjających ich geostrategicznym planom". Te typowe dla liberalnej propagandy tezy autor opatruje uwagą, że PiS wydaje się wyjątkiem spośród podobnych sobie partii, jakkolwiek i w jego narracji pobrzmiewa putinowska antyliberalna i antyzachodnia retoryka, a premier spotkał się z Le Pen i Salvinim...

Ten propagandowy łom warto by zwrócić przeciw liberalnemu establishmentowi, który posługuje się nim namiętnie. Przypomina on komunistyczną politgramotę, zgodnie z którą wszyscy antymarksiści to faszyści. To nie Le Pen i Salvini karmili imperialne ambicje Putina i przyzwyczajali go do bezkarności wobec kolejnych aktów agresji, nie oni na coraz większą skalę kupowali surowce energetyczne od Moskwy, która uzyskane w ten sposób fundusze przeznaczała na zbrojenia, nie oni blokowali pomoc Ukrainie i rozsadzali od środka NATO. Robili to rzecznicy demokracji liberalnej z Niemiec czy Francji.

Jak wielu odwołujących się do intelektualnych – jak mamy rozumieć: wysokich – standardów liberalizmu Anders nie rozumie podstawowych rzeczy. Zarzuca jego krytykom, że nie proponują w jego miejsce całościowej alternatywy, która mogłaby go zastąpić. Innymi słowy, że nie proponują nowej ideologii. Nie pojmuje, że Legutko i pokrewni mu myśliciele są wrogami ideologii jako takiej, gdyż wiedzą, że projekt urządzenia ludzkiego świata jako całości jest nie tylko niemożliwy, ale będzie prowadzić do opacznych konsekwencji. Na pytanie o najlepszy system większość z nich odpowiedziałaby słowami Solona: zależy kiedy i dla kogo. Świadomość ludzkich ograniczeń poznawczych każe im z szacunkiem traktować tradycję, w której wyraża się przekraczająca nasze indywidualne zdolności zbiorowa mądrość, co nie znaczy, że należy się jej niewolniczo trzymać w zmieniającym się radykalnie świecie. Pierwsi liberałowie tak mocno byli osadzeni w swojej kulturowej tradycji, że jej fundamenty, np. religię, uznawali za oczywistość, a więc nie wyciągali ostatecznych wniosków ze swojej myśli. Ale idee mają konsekwencje, liberalizm prowadził więc do efektów, które możemy dziś obserwować, stopił się z lewicowymi doktrynami i podważył podstawy cywilizacji, w której mógł wyrosnąć.

Na finał przypowiastka.

Bohater „Dzienników gwiazdowych" Stanisława Lema trafia na planetę pokrytą w całości wodą. Jej podporządkowani totalitarnemu reżimowi mieszkańcy są zmuszeni przestrzegać ideologii, zgodnie z którą mają ewoluować w stadium rybonów. Ongiś planeta była pustynna. Firmy, które ją nawadniały, nie rozwiązały się po wypełnieniu zadania, ale działały nadal, przejmując kontrolę nad całością życia społecznego i budując nową cywilizację.

Jaki związek ta parabola ma z naszą rozmową?

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl f3f299252a

Walizka Roberta Szaja

dyrektora TVP Nauka, twórcy Fundacji Nicolaus Copernicus i Polskiej Fundacji Paraolimpijskiej

Moje podróżowanie najczęściej sprowadza się do trzech aktywności. Najbliższe mojemu sercu jest Obserwatorium Astronomiczne w Truszczynach, w którym uwielbiam spędzać czas. Otoczone winnicą sprawia, że każdy, kto tam przyjeżdża, jest oczarowany nie tylko gwiazdami. Drugi rodzaj podróży jest związany ze zjawiskami astronomicznymi, które trudno zobaczyć w Polsce, a można je oglądać tylko z określonych miejsc na naszej planecie. Są to wyprawy na zaćmienia Słońca czy na La Palmę, gdzie są umiejscowione największe obserwatoria europejskie. To miejsce, w którym na półkuli północnej najlepiej widać niebo. I Włochy, które są związane z historią Mikołaja Kopernika. Półwysep Apeniński oferuje także wiele innych atrakcji, począwszy od winnic, a skończywszy na sztuce, architekturze czy historii. Trzeci rodzaj podróży to podążanie za polskimi paraolimpijczykami. Od 2000 r. jeżdżę na wszystkie igrzyska paraolimpijskie.

TELESKOP

Chociaż obecnie astronomowie nie oglądają nieba przez niewielkie teleskopy, ja lubię korzystać z tego sposobu obserwacji obiektów w kosmosie. Mam kilkadziesiąt teleskopów, a swój pierwszy zbudowałem, gdy miałem sześć lat.

„NIEWIDZIALNY WSZECHŚWIAT"

Przez kilka lat zastanawiałem się, jak osobom niewidomym, które od urodzenia nie mogły obserwować przyrody ani nieba, przybliżyć obrazy kosmosu, które nas zachwycają. Trudność polega na tym, że nie można w takiej książce odnosić się do doświadczeń wzrokowych ludzi widzących, dlatego w opisach alfabetem Braille'a musieliśmy się odwoływać do zmysłów, które osoby niewidome lub niedowidzące mają bardziej wyostrzone.

ŻYCIORYS MIKOŁAJA KOPERNIKA

Książka powstała z inspiracji wystawą, którą organizowałem m.in. na Uniwersytecie Ca' Foscari w Wenecji wspólnie z naukowcami z tej placówki.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl f3f299252a

„DROGA DO TOKIO"

Przedstawia proces przygotowania i występy polskich paraolimpijczyków na igrzyskach w Tokio. W albumie są zaprezentowane najlepsze zdjęcia mojego całego zespołu, który zabrałem na igrzyska.

GOPRO

To drobna część mojego sprzętu filmowego, wykorzystywanego do dokumentowania i prezentowania sylwetek najlepszych polskich paraolimpijczyków, którzy rozsławiają nasz kraj na arenie międzynarodowej. Dokumentów o tej tematyce stworzyłem ok. 10.

PŁYTA „COPERNICUS"

Skomponowana razem z Przemysławem Rudziem. To zbiór dźwięków inspirowanych osobą Mikołaja Kopernika i jego dokonaniami – m.in. dziełem astronoma „De revolutionibus...". Znajdują się tam także utwory, które odwołują się do miejsc, w których mieszkał i pracował Kopernik – np. do zamku w Lubawie czy do katedry we Fromborku.

SONIAK

Obiektyw, który wykorzystuję do tworzenia dokumentów z obszaru nauki i astronomii. Był ze mną na starcie rakiety Ariane 5 wynoszącej teleskop Jamesa Webba z Europejskiego Portu Kosmicznego w Kourou w Gujanie Francuskiej.

NASA

To największa na świecie instytucja eksplorująca kosmos. Książka powstała w czasie pandemii i odpowiadała na zapotrzebowanie tych, którzy interesują się kosmosem. W tej pozycji są zaprezentowane najbardziej spektakularne misje amerykańskiej agencji kosmicznej, które równocześnie zmieniły nasze postrzeganie zarówno wszechświata, jak i Układu Słonecznego. Zaprezentowaliśmy także dorobek naukowców polskich i polskiego pochodzenia, pracujących dla NASA.

WINNICA

To miejsce, w którym się odprężam i relaksuję. Praca przy winoroślach jest sposobem na totalne wyłączenie z bieżącego świata i na zajęcie się tymi roślinkami, które dają wspaniałe owoce. Wino w bezpośredni sposób odnosi się do Mikołaja Kopernika, bowiem jego ojciec był toruńskim właścicielem winnicy.

TAJEMNICE

„Tajemnice de Revolutionibus" i „Tajemnice astronomii Kopernika" to dwa z trzech filmów, które stanowią dokumentalny tryptyk o najważniejszych aspektach związanych z życiem i działalnością polskiego astronoma. Pierwszy prezentuje tajemnicze kulisy wydania drukiem jego dzieł, drugi początki jego naukowej działalności, a trzeci – rewolucyjne ekonomiczne postulaty Kopernika.

MUCHY

Noszę je, bo nie przepadam za krawatami.

CHAŁWA

Po Izie to moja największa miłość i najwierniejszy towarzysz. Zawsze jest ze mną podczas obserwacji gwiazd, pracy w winnicy, a także podczas kręcenia dokumentów czy w pracy w TVP Nauka.

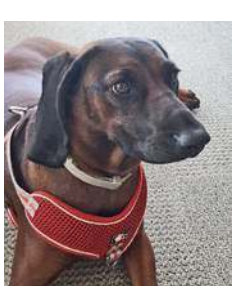

Wysłuchał i zapisał ***Michał Korsun***

eprasa.pl f3f299252a

OGNIEM NA WPROST

Oblicza ruskiego miru

W Mariupolu najpierw Ruski zniszczył całe miasto, zabijając ponad 30 tys. cywilów, a teraz organizuje przemarsze dzieci kolaborantów pod czerwonymi sztandarami wśród ruin. „Najeźdźcy tworzą prorosyjskie ruchy, do których rekrutują dzieci" – donosi doradca mera miasta Piotr Andruszczenko. Grupy nieletnich maszerują ulicami miasta i śpiewają sowieckie piosenki. Na zamieszczonym w mediach społecznościowych filmie widać dzieci i młodzież w mundurach i czerwonych beretach śpiewających „Katiuszę" – sowiecką żołnierską piosenkę. Niczym za starych czasów stworzona w Mariupolu dziecięca formacja to coś na kształt ruchów pionerskich – politycznej organizacji skupiającej dzieci w ZSRS. Członkom Wszechzwiązkowej Organizacji Pionierskiej im. Włodzimierza Lenina wpajało się wówczas komunistyczną ideologię pod płaszczykiem harcerstwa. Tak właśnie wygląda ruski mir: wokół ruiny i trupi zaduch, a wśród nich maszerujące dzieci z „Katiuszą" na ustach. Rosja to stan umysłu.

Rosja wydała specjalny podręcznik dla prorosyjskich zdrajców i kolaborantów. Pracownikom władz zaleca się pisanie jak największej liczby bezsensownych próśb do różnych instytucji, by dać najefektywniejszym pracownikom najgorszy sprzęt do pracy czy organizować spotkania w okresie, gdy istnieje potrzeba mobilizacji całego personelu. Pracownikom biurowym zaleca się popełnianie jak największej ilości błędów w dokumentach, np. w nazwach geograficznych, liczbach. Jeśli jesteś zwolennikiem ruskiego miru, rozpowszechniaj plotki o możliwych zwolnieniach pracowników, rób ciągłe przerwy na odpoczynek, powoli wykonuj swoje zadania. Jednym zdaniem – spiesz się powoli. „Ogólnie rzecz biorąc rosyjska propaganda przedstawia prorosyjskiego kolaboranta jako analfabetę, który potrzebuje profesjonalnej pomocy psychologicznej" – podkreśla wywiad Ministerstwa Obronny Ukrainy. Rzeczywiście coś jest na rzeczy.

Trochę o broni. Siły Zbrojne Ukrainy (SZU) poinformowały, że udało im się zniszczyć rosyjską baterię przeciwlotniczą S-300. By to udowodnić, Ukraińcy opublikowali film wideo z podpisem: „Nasze jednostki rakietowe i artyleryjskie zniszczyły baterię przeciwlotniczą S-300 w rejonie Zielenotropińska podczas misji ogniowych". Wieś Zielonotropińsk znajduje się 42 km na południowy-zachód od Chersonia, a więc ok. 80 km od ukraińskich stanowisk ogniowych. Odległość ta sugeruje, że do trafienia zestawu S-300 Ukraińcy użyli wyrzutni HIMARS, a nie artylerii lufowej (trochę za daleko). Ale nie w tym rzecz. Fakt ten obala kolejny mit stworzony przez moskiewską propagandę. Ponieważ wyrzutnie były ustawione pionowo (w gotowości bojowej), może to być sygnałem, że rosyjskie systemy przeciwlotnicze są bezradne w razie ataku rakiet uderzających w cele torem balistycznym. Wiedząc o nieprzydatności S-300 w zwalczaniu celów powietrznych, Rosjanie mogli więc rzeczywiście wpaść na szalony pomysł, by rakietami przeciwlotniczymi terroryzować ukraińską ludność, uderzając w miasta. Jest to totalne marnotrawstwo, jak uważają nie tylko eksperci z portalu Defence24.pl, ponieważ pociski te są dużo droższe od rakiet manewrujących i nie mają systemów precyzyjnego naprowadzania na cele naziemne, a więc działają jak „głupie" rakiety. Jedyną zaletą tego systemy jest większy zasięg (do 200 km). Ale i tak przypomina to strzelanie z armaty do wróbla. Ale co tu się martwić celnością, jeśli chodzi o to, żeby przywalić w miasto. Czy oberwie szpital, czy supermarket, czy też zwykły blok mieszkalny, to dla Ruska wszystko jedno, bo strzela po to, żeby zabić jak najwięcej Bogu ducha winnych ludzi.

Most Antonowski to mierząca dobrze ponad kilometr przeprawa przez Dniepr do opanowanego przez Rosjan obwodu chersońskiego. Zniszczenie go spowodowałoby poważne kłopoty z zaopatrzeniem wojsk agresora, które znajdują się na zachodnim brzegu Dniepru, i praktycznie jego odcięcie. Ukraińcy właśnie trzeci raz uderzyli HIMARS w nawierzchnię tej konstrukcji. Na filmie widać osiem nocnych eksplozji, a rano pojawił się oficjalny komunikat okupacyjnej administracji miasta Chersoń o zablokowaniu ruchu na przeprawie. Z kolei wideo nakręcone w dzień pokazało stan konstrukcji po ataku trzema salwami amerykańskich wyrzutni rakietowych. Wszystkie pociski w celu i jezdnia wygląda niczym szwajcarski ser. Podpory jeszcze się trzymają, ale jak przywali się czwarty raz, to może runą. Wtedy cała nadzieja w budowanym moście pontonowym. Nadzieja krucha, bo zamienić w proch i pył lekką konstrukcję na wodzie może byle działo. Odcięcie obwodu chersońskiego od zaplecza i wzięcie go w okrążenie może być prawdopodobnym celem ofensywy przygotowywanej przez Sztab Generalny SZU. Jak most w końcu runie, oj będzie się działo!

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl f3f299252a

Lekcja z powstania

Marta Kaczyńska-Zielińska

„Niepodległość to nie tylko stan prawny i faktyczny, odnoszący się do państwa i narodu. To także realny kształt tego narodu, jego świadomości" – Lech Kaczyński.

Na kilka dni przed rocznicą wybuchu powstania warszawskiego sąd okręgowy orzekł o uchyleniu decyzji wojewody mazowieckiego, który wydał zgodę, by marsz upamiętniający bohaterów sprzed 78 lat miał charakter cykliczny. Organizatorem wydarzenia jest Stowarzyszenie Roty Marszu Niepodległości.

Powstanie warszawskie było największą bitwą miejską II wojny światowej, początkiem ogólnonarodowego powstania przeciw Niemcom. Czas powstania to wielki zryw wolnościowy na wielu płaszczyznach życia społecznego. 1 sierpnia 2004 r. Lech Kaczyński powiedział: „Powstanie warszawskie nie było przypadkiem. Wydarzenia tej miary nie rodzą się przypadkiem. Największa w czasie II wojny światowej, trwająca dwa miesiące bitwa między wojskami niemieckimi a oddziałami w konspiracji nie byłaby możliwa bez tego szczególnego fenomenu, jakim była zdeterminowana, niecofająca się przed niczym wola niepodległości. [...] Powstanie warszawskie zaistniało dzięki systemowi wartości pokolenia II Rzeczypospolitej, przekazanego przez tych, którzy w Polskę zawsze wierzyli" – mówił prezydent.

Godność i odwaga pokolenia powstańców wykuły drogę do dzisiejszej suwerennej Rzeczypospolitej. Rokrocznie w centrum Warszawy gromadzą się setki tysiące osób, by oddać hołd tym wszystkim, którzy ryzykując śmiercią swoją i bliskich, zdecydowali się walczyć o wolność i niepodległość. Rozumieją to zarówno warszawiacy, jak i mieszkańcy innych części Polski, którzy z odruchu serca i z głęboko zakorzenionego w nich patriotyzmu czują potrzebę uczczenia wielkiego narodowego zrywu. Każdego 1 sierpnia o 17.00 dźwięk syren w Warszawie i wielu miastach Polski przypomina, komu zawdzięczamy dzisiejszą Polskę i które wartości w ostatecznym rachunku są filarami naszej tożsamości. Tego dnia szczególnie chcemy i potrzebujemy być razem na ulicach Warszawy. Podobnie jak w dniu 11 listopada, przeżywając ważną rocznicę, okazujemy sobie nawzajem, że stanowimy jedną, wielką wspólnotę.

Odległe wydarzenia, od których dzieli nas już kilka pokoleń, pochłonęły życie 200 tys. ludzi i zrównaną z ziemią Warszawę, ale patriotyczna i godnościowa motywacja uczestników powstania przetrwała, stanowiąc siłę napędową kolejnej sztafety pokoleń wyzwalających Polskę z radzieckich więzów komunizmu.

Tragiczne obrazy napływające z Ukrainy broniącej się przed rosyjskim terrorem nadają naszym wspomnieniom o powstaniu nowego znaczenia. Ukraińcy dają całemu światu przykład, jak niezłomnie bronić swojej niepodległości. Makabryczne zbrodnie dokonywane przez Rosjan tuż za naszą granicą uzmysławiają, że konieczność stania na straży niepodległości państwa ma wymiar osobisty dla każdego z obywateli. Broniąc swoich granic, swojej wolności i suwerenności w istocie stajemy w obronie każdego z nas, naszych bliskich, naszych domów. Odważna walka, którą toczą Ukraińcy, ukazuje, jak fundamentalne znacznie mają wartości, o które walczyli warszawscy powstańcy, jak fundamentalne znacznie ma wspominana przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego zdeterminowana i niecofająca się przed niczym wola niepodległości.

Prawna batalia o marsz upamiętniający powstanie warszawskie budzi najgorsze skojarzenia. Pozwala przypuszczać, że masowy charakter obchodów, a przede wszystkim owo okazanie poczucia wspólnoty Polaków – ich jedność – nie są przez niektórych pożądane, przeszkadzają. Przez kilkadziesiąt lat okresu PRL mimo narzucanej przez komunistów narracji kwestionującej sens powstania, zakłamującej historię rocznica jego wybuchu była obchodzona tłumnie. Po 1945 r. komunistom nie udało się zniekształcić świadomości narodowej. Na Muzeum Powstania Warszawskiego trzeba było jednak czekać aż do 2004 r. Zostało utworzone z inicjatywy ówczesnego prezydenta stolicy Lecha Kaczyńskiego, którego słowa wypowiedziane 18 lat temu brzmią wciąż aktualnie: „W naszym życiu ciągle potężne są siły, dla których polska niepodległość, obecna w polskich sercach i umysłach, nie jest wartością, lecz zagrożeniem".

REKLAMA

53/0722/F

eprasa.pl f3f299252a

Dlaczego Tusk milczy na temat Ukrainy?

Samuel Pereira

Gdy jesienią 2007 r. Donald Tusk z PSL przejął władzę w Polsce, potrzebował trzech miesięcy, żeby stawić się w Moskwie na wezwanie Władimira Putina. Był to kurs zgodny z exposé, w którym „ich człowiek w Warszawie" ogłosił, że chce dialogu z Rosją taką, jaką ona jest. Mija już blisko pół roku, od kiedy Rosja zaatakowała Ukrainę i ani Tusk, ani szef dyplomacji w jego rządzie Radosław Sikorski nie znaleźli czasu, żeby udać się do Kijowa. Ukraina praktycznie zniknęła z agendy Platformy Obywatelskiej, tematu nie ma.

Ktoś powie, że to polityczny cynizm, bo dużo wdzięczniejszym tematem jest chłostanie obozu rządzącego za inflację i związaną z nią drożyznę, a skoro nie da się uderzać uczciwie bez odnoszenia się do kontekstu światowego, który bez wątpienia jest związany z Władimirem Putinem, to należy na ten temat milczeć. Czy jednak chodzi tylko o to? Obawiam się, że nie.

Odejście od tematu rosyjskiej wojny jest konieczne, żeby ochronić Kreml i Berlin. Pod tym kątem działalność Donalda Tuska i Radosława Sikorskiego w opozycji jest całkowicie zgodna z tym, co robili, będąc u władzy. Ten ostatni w swoim exposé, które wygłosił w 2011 r. jako szef MSZ, w ten sposób opisał politykę zagraniczną rządu wobec Rosji: „Nasza filozofia to wykonać pozytywny gest, a potem działać według zasady wzajemności". Dziś wiemy, jak bardzo naiwna była to filozofia, ale czy politycy, którzy ją realizowali, przyznali się do błędu? Nie. Brak takiej choćby deklaratywnej refleksji nie wróży nic dobrego dla polskiej polityki zagranicznej w wypadku wygranej PO.

Polityków oceniamy nie tylko po tym, co robią i mówią, ale również po tym, czego nie robią i o czym nie mówią. Szczególnie w sprawach istotnych dla interesu narodowego, które wymagają konkretnych słów i czynów, a do takich z pewnością należy wojna za naszymi granicami oraz zagrożenie inwazją na naszego innego sąsiada, Litwę. O tym jednak największa partia opozycyjna, pretendująca przecież do powrotu do władzy w Polsce – milczy. Ku radości Niemiec i Rosji.

Autor jest szefem portalu tvp.info

Radiowy głos lata

Z Agnieszką Kunikowską, aktorką i dziennikarką Programu I Polskiego Radia, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Czy głos jak plastelina może się wyginać?

Agnieszka Kunikowska: Ależ oczywiście! Jako aktorka pracująca od lat w dubbingu mam na to niezbite dowody. W naszym głosie drzemią ogromne możliwości, można go poddawać rozmaitym wygibasom, a to naprawdę duża frajda. Mały, nieśmiały skrzat, naburmuszony olbrzym, dostojna królowa czy złośliwa wiedźma – wszystkie te postacie można ulepić z własnego głosu. Staram się o tym przekonać tych, którzy chcą wziąć udział w zabawie podczas pikników Lata z Radiem. Wystarczy tylko się otworzyć i uruchomić wyobraźnię. To działa!

Ma pani jakiś sprawdzony sposób na wciągnięcie słuchaczy do zabawy?

Mój ulubiony łamaniec (kiedyś usłyszałam nawet, że kontrowersyjny!) to: „Zmiażdż dżdżownicę na czczo". Proszę spróbować to powiedzieć jak najszybciej! Do przemocy wobec dżdżownic oczywiście nie namawiam.

Od poniedziałku do soboty Lato z Radiem trafia do słuchaczy na antenie, a co dzieje się podczas weekendowych Familijnych Pikników?

W plenerowym studiu można m.in. poznać tajniki pracy dziennikarza radiowego, dowiedzieć się, co w radiu jest najważniejsze, udzielić wywiadu albo samemu taki wywiad przeprowadzić. Pikniki to doskonała okazja, by poznać radio od kuchni, spotkać się z dziennikarzami, wziąć udział w konkursach, po prostu dobrze się bawić! Myślę, że takie spotkania obie strony naładują pozytywną energią!

Więcej informacji o tegorocznej edycji na stronie latozradiem.pl.

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl f3f299252a

Rysują ***Mr Donk & dr Fish***

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, ROBERT TEKIELI, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

FRATRIA grupa mediaIna

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR x3, PIOTR MOLECKI/EAST NEWS, MON x2, SHUTTERSTOCK/MIKE MAREEN

pracownia **Social Changes** dla wPolityce.pl

nasz sondaż

Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/ oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)

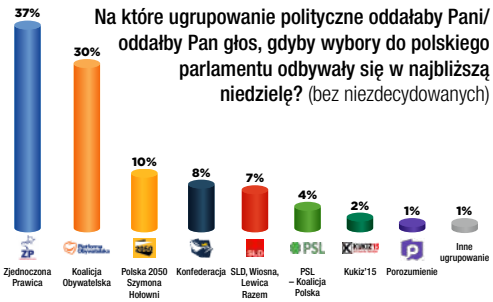

Czy Pani/Pana zdaniem Komisja Europejska w rozmowach z Polską w sprawie Krajowego Planu Odbudowy ma dobrą wolę i chce wypłacić Polsce pieniądze, czy też stara się znajdować różne preteksty, żeby tych środków nie wypłacić?

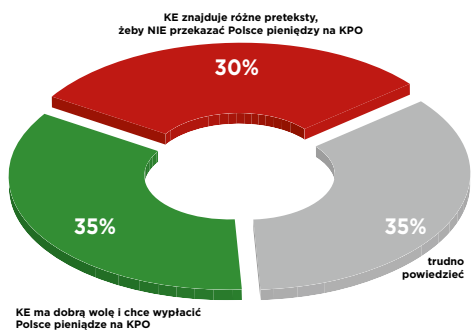

Czy według Pani/Pana aktywność części polityków opozycji, w tym Donalda Tuska, może się przyczyniać do blokowania wypłaty funduszy unijnych należnych Polsce w ramach Krajowego Planu Odbudowy?

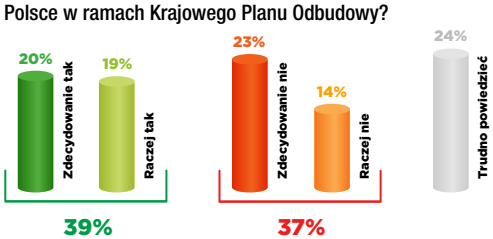

Czy według Pani/Pana Polska ma w przyszłości szanse uzyskania od Niemiec reparacji (odszkodowania) za zbrodnie popełnione w naszym kraju w czasie II wojny światowej?

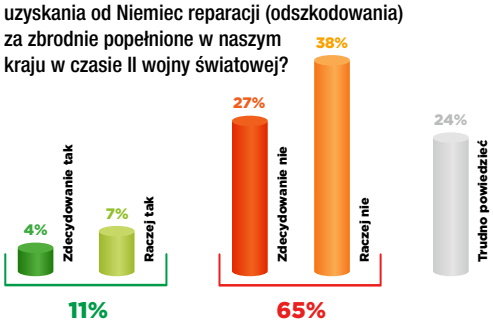

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1067.

Zakres czasowy badania 22–25 lipca 2022 r.

eprasa.pl f3f299252a

Celem jest włączenie Polski do niemieckiego imperium europejskiego. Z tym planem został przysłany Donald Tusk. Musimy się bronić

Trzymać wysoko gardę. Brońmy złotego

Michał Karnowski i Maciej Wośko rozmawiają z prezesem Narodowego Banku Polskiego prof. Adamem Glapińskim

Celem zmiany rządów w Polsce, do czego najwyraźniej prze Bruksela, jest szybsze wciągnięcie Polski do strefy euro? To ma zagwarantować rząd Donalda Tuska, ale musi też dojść do zmiany na stanowisku prezesa NBP. O to idzie ta gra?

Adam Glapiński: To dzieje się teraz i tutaj. Obalić rząd, wprowadzić Polskę do strefy euro, podpisać się pod pomysłem państwa europejskiego. Taki jest ich plan. Z tym planem został wysłany do Polski Donald Tusk.

Na drodze Donalda Tuska do strefy euro, jeśli oczywiście wygrałby wybory, stoi jeden człowiek – prezes NBP prof. Adam Glapiński.

Stąd ten atak. W pierwszej chwili zastanawiałem się, dlaczego Donald Tusk zaraz po przyjeździe zaatakował tak brutalnie mnie osobiście i Narodowy Bank Polski. To mogła być oczywiście taka osobista reakcja, bo Tusk zawsze będzie mi pamiętał, że to ja przekazałem nagranie z podstępnego obalania rządu Jana Olszewskiego, które posłużyło do stworzenia „nocnej zmiany". To pokazało publicznie, że żadnym antykomunistą i demokratą nie jest. Ale zrozumiałem, że tak histeryczny i bardzo szkodliwy dla Polski atak na bank centralny musi mieć jednak jakieś głębsze przesłanie, jakiś plan. I tu chodzi o zrealizowanie niemieckiego planu – obalenia rządu Prawa i Sprawiedliwości, ustanowienia jakiegoś „rządu Tuska" (bo niekoniecznie on musi być premierem) i wprowadzenia nas do strefy ERM II, czyli związania złotego z euro trwałym kursem, co by-

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl f3f299252a

łoby przedsionkiem do wprowadzenia euro. W oficjalnym programie nowego rządu niemieckiego jest przecież budowa państwa europejskiego. Coś musi być pierwszym elementem tego planu. To przełamanie oporu Polski, wprowadzenie naszego kraju do ERM II i odsunięcie nas od radykalnej rozbudowy sił zbrojnych. Złamanie Polski i dołączenie polskiego wagonu do niemieckiego pociągu europejskiego. Inne kraje patrzą na nas. Jak my się nie poddamy, to pozostali też postawią warunki. A my jasno komunikujemy – euro tak, ale jak dogonimy lub prawie Zachód – za kilkanaście, może kilkadziesiąt lat.

Wprowadzenie euro, o czym coraz głośniej mówią rozliczni komentatorzy scenariuszy wyjścia z kryzysu, miałoby nas przecież uratować. Uda im się?

Po pierwsze, nie wiem, o jakim to wielkim kryzysie jest mowa. Mamy wysoką inflację, która już po wakacjach zacznie się obniżać, by w przyszłym roku zejść do jednocyfrowego wskaźnika, a w 2024 r. znaleźć się w naszym celu inflacyjnym.

Po drugie, wprowadzenie euro wymaga na szczęście znacznie więcej zabiegów. Konstytucjonaliści wciąż się spierają, czy wystarczy referendum, czy konieczna będzie zmiana konstytucji. Ale ERM II, z którego nie da się już praktycznie wycofać, zamyka pośrednio temat wejścia do strefy euro. Do tego jest jednak potrzebny prezes Narodowego Banku Polskiego, który razem z ministrem finansów uruchamia w trybie poufnym wniosek o przyjęcie do strefy ERM II. I stąd Tuskowi, i Niemcom potrzebna jest tu natychmiastowa zmiana. I stąd ta zaciekłość w ataku.

Tusk pyta, co zrobiliście z Polską, i mówi słuchaczom: to prezes Glapiński odpowiada za inflację, to przez prezesa banku centralnego ceny rosną.

To świadoma próba tworzenia atmosfery anarchii, chaosu, że coś się wali, że kryzys nas przewróci. Tymczasem kraj się rozwija, PKB rośnie. Inflacja, jeśli nie zajdą inne okoliczności, będzie maleć. Z argumentem, że za inflację odpowiada prezes NBP, trudno polemizować, gdyż to argument idioty. Można tłumaczyć milion razy, że żaden prezes żadnego banku centralnego nie sprawuje jednoosobowej władzy – owszem, kieruje ogromną instytucją, wywiera na nią wpływ, ale dokumenty dotyczące polityki monetarnej, decyzji NBP powstają z udziałem dziesiątek, setek ludzi. A decyzje podejmuje Rada Polityki Pieniężnej.

> Jedna osoba jest wskazana jako ta zła – jak na ostatniej okładce „Newsweeka", w kapturze jakimś, ciemny typ, potwór ze szponami... Jako żywo przypomina to antysemickie okładki „Der Stürmera". To identyfikowanie jakiegoś zła z jedną osobą jest skrajnie nieodpowiedzialne, w duchu najgorszych, totalitarnych wzorców

Ale ludzie widzą droższe masło i słyszą: to przez Glapińskiego.

To efekt zamierzonego, spersonalizowanego ataku. Jedna osoba jest wskazana jako ta zła – jak na ostatniej okładce „Newsweeka", w kapturze jakimś, ciemny typ, potwór ze szponami... Jako żywo przypomina to antysemickie okładki „Der Stürmera". To identyfikowanie jakiegoś zła z jedną osobą jest skrajnie nieodpowiedzialne, w duchu najgorszych, totalitarnych wzorców. Wskazywanie na jakąś grupę społeczną, narodowość, człowieka jako tych winnych i kierowanie na nich złości, niechęci jest skrajnie destrukcyjne dla państwa. To dotyczy też ataków na prezes Trybunału Konstytucyjnego Julię Przyłębską i podobnych ataków na prezesa PKN Daniela Obajtka. Sugerowanie, że jak się usunie, wyprowadzi, zlikwiduje tę osobę, to problem zniknie, jest skandaliczne i powtarzam – skrajnie niebezpieczne. Przecież Donald Tusk wie, że to nie ja spowodowałem inflację, że ten problem jest na całym świecie, w całej Europie. Ale ukazuje się taki tekst w „Newsweeku", do którego nawet nie ma jak się odnieść, bo jest pełen nieprawdziwych, nieprawdopodobnych i idiotycznych insynuacji. Tusk dał sygnał, że należy mnie wyprowadzić.

No to podsumujmy, rzekomo odpowiada pan osobiście za inflację, rzekomo został pan bezprawnie powołany na drugą kadencję w NBP, ostatnio pojawił się jeszcze zmyślony argument o delikcie konstytucyjnym, ponieważ NBP odkupił obligacje emitowane przez BGK.

I zrobił po raz pierwszy to, co robią banki centralne na całym świecie, czyli luzowanie ilościowe i na rynku wtórnym na aukcjach, od banków komercyjnych kupił obligacje. Prosta i logiczna operacja. Bank nie może kupować papierów wartościowych od ministra finansów, ale dzięki naszym aukcjom – powtarzam: na wtórnym rynku – stabilizujemy rynek obligacji zgodnie z naszym mandatem prawnym. Więc to wszystko są nieadekwatne zarzuty pozbawione prawnych podstaw. Ale podkomendni Tuska i usłużne im media powtarzają te groźby.

Dziś rzucają jajkami w samochód premiera Kaczyńskiego, wysyłają bojówki, grożą prezesom organów konstytucyjnych, w tym prezesowi NBP. Pytanie, na jaki akt przemocowy zdecydują się w kolejnym kroku?

Dostaję ostatnio ogromną liczbę gróźb, łącznie z groźbą śmierci, pogróżek, anonimów. Kierujemy je zgodnie z prawem do policji i prokuratury. To również groźby pod adresem rodziny, ostatnio także mojej żony. I pragnę uprzedzić pana Tuska i pana Siemoniaka, że jeśli – nie daj Boże – cokolwiek złego stanie się mojej rodzinie, to będę ich uważał za osobiście odpowiedzialnych. I wyciągnę z tego odpowiednie konsekwencje.

eprasa.pl f3f299252a

Jestem ciekaw, co zrobiłby przewodniczący Tusk, gdyby z podobnymi atakami spotkała się na molo czy na plaży jego żona lub córka. Takiej Polski chce Donald Tusk? To jakieś odczłowieczenie przecież, budowanie wokół mnie, wokół nas jakiegoś wizerunku podludzi, którzy – cytuję – zalęgli się w instytucjach państwowych. Apeluję, by się obudził, otrzeźwiał, póki nie jest za późno.

Zachowuje się obiektywnie jak ambasador interesów Niemiec lub Putina?

Niewątpliwie komuś zależy na tym, by tworzyć w Polsce chaos, wzbudzać niepokoje, burdy uliczne, awantury wokół państwowych instytucji. Umówiliśmy się, że zrobimy w Polsce pierwsze wolne i demokratyczne wybory w 1991 r. (nie w 1989 r., jak się publicznie niektórym wmawia), nauczyliśmy się, że zmieniamy władze przez kartki wrzucane do urn wyborczych, że szanujemy kadencje w instytucjach, że szanujemy podstawowy ład prawny i konstytucyjny. Narodowy Bank Polski, Trybunał Konstytucyjny, Sejm, Senat, media polskie, polskie przedsiębiorstwa, takie jak duży koncern multienergetyczny – to podstawowe elementy naszej niepodległości. Ktoś wszystko to chce zburzyć, doprowadzić do anarchii, a potem ludziom powiedzieć, że jak wejdziemy do strefy euro i państwa europejskiego, to wszystko przezwyciężymy.

Kryzys postpandemiczny, kryzysy energetyczne i surowcowe oraz inflacja pomagają w tym ataku.

Trudności z tym związane będą za dwa lata za nami, choć w Polsce nie odczujemy tego tak silnie jak gdzie indziej. Oczywiście mamy niezwykle dolegliwą inflację. Ona będzie się zmniejszać już po wakacjach, a w 2024 r. znajdziemy się w celu inflacyjnym. Wszystko na to wskazuje, że nie wejdziemy w recesję. Najbardziej pesymistyczne prognozy pokazują, że możemy mieć co najwyżej do czynienia z tzw. techniczną recesją, tempem wzrostu gospodarczego poniżej zera przez dwa kwartały.

To jednak takie okienko sprzyjające złym ludziom...

No właśnie pytanie, czy to są źli ludzie? Po prostu z punktu widzenia Niemiec obecna sytuacja wydaje się doskonałym czasem na budowanie niemieckiego imperium. Niemcy, co naturalne, chcą, by ich kraj stawał się coraz potężniejszy, większy, bogatszy i zdominował inne kraje. Taka jest już ludzka natura, która realizuje się też w sferze ekonomicznej. Oczywiście ludzie realizujący w Polsce ten plan to są bezsprzecznie źli ludzie.

> Dostaję ostatnio ogromną liczbę gróźb, łącznie z groźbą śmierci, pogróżek, anonimów. Kierujemy je zgodnie z prawem do policji i prokuratury. To również groźby pod adresem rodziny, ostatnio także mojej żony. I pragnę uprzedzić pana Tuska i pana Siemoniaka, że jeśli – nie daj Boże – cokolwiek złego stanie się mojej rodzinie, to będę ich uważał za osobiście odpowiedzialnych. I wyciągnę z tego odpowiednie konsekwencje

Polacy realizujący plany obcych państw kosztem Polaków – ich poziomu życia, bezpieczeństwa, niepodległości. To nie są patrioci, to konformiści. Tak jak przed laty komuniści w Polsce. Przecież oni nie czytali Marksa i Engelsa – byli po prostu skrajnymi konformistami – chcieli dobrze żyć, móc wyjechać na zagraniczne stypendia, na Zachód, wychowywać dostatnio dzieci. To dziś elity Platformy Obywatelskiej, ta reprezentacja w Parlamencie Europejskim to często pierwsi sekretarze komunistycznego PZPR będącego agenturą sowiecką w Polsce, z komunistycznych uczelni. Kto mnie atakował? Dariusz Rosati, który był pierwszym sekretarzem, Belka, Cimoszewicz czy nawet najwyżsi dygnitarze komunistyczni, jak Miller. Polscy komuniści zawsze byli wynarodowieni, zawsze służyli komuś silniejszemu, dziś odnaleźli nowego protektora w oligarchii unijnej pod wodzą Niemiec. Walczą z Kościołem i uczuciami patriotycznymi. Są i będą za likwidacją polskiego państwa. To są ich poglądy europejskie. Dlatego wszyscy patrioci, chcący zachować suwerenną Polskę, są ich głównym przeciwnikiem.

Ten plan zakłada jednak, że Tusk czuje zwycięstwo w wyborach parlamentarnych. Nie za szybko?

Ktoś może powiedzieć pesymistycznie, że po wyjściu Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej, fakt, że wpadniemy w ręce niemieckiego imperium, które zrealizuje się w państwie europejskim, federacyjnym, jest przesądzony. Ale jak uczy nas historia – nigdy nic nie jest do końca pewne. Zawsze decydują konkretni ludzie, ludzka wola. Czasami niewielka grupa zdeterminowanych ludzi potrafi odmienić historię.

To co powiedziałby pan Polakom. Czego mają bronić?

Dla każdego ważne jest, żeby jemu, jego rodzinie, bliskim, znajomym żyło się lepiej. Obrona suwerennego statusu Polski, niepodległego, a nie podległego, pozwoli na zasadniczo szybsze podniesienie poziomu życia. Będziemy się rozwijać dwa razy szybciej i zbliżać do poziomu zamożności naszego zachodniego sąsiada. To potrwa jeszcze tylko jakieś 15–20 lat, ale każdy krok to postęp, to lepsze życie. Bezpieczeństwo. Zwróćcie państwo uwagę, że to jedne z głównych argumentów wymienianych przez turystów przyjeżdżających dziś do Polski. Jest bezpiecznie. W Polsce jest i będzie bezpiecznie.

Wejście do strefy euro by to zmieniło?

Po wejściu do strefy euro tempo wzrostu będziemy mieli średnio dwa razy niższe. Mniej więcej takie, jak w krajach Eu-

eprasa.pl f3f299252a

ropy Zachodniej. Zwolnimy, przestaniemy gonić bogate kraje Unii, zostaniemy już na zawsze ubogim krewnym.

Takie doświadczenia mają kraje bałtyckie?

To doświadczenie jest tam szczególnie dotkliwe, bo świat wszedł w okres wysokiej inflacji po pandemii i rozpoczęciu przez Rosję wojny, a oni przy dwucyfrowej inflacji mieli wciąż zerowe stopy procentowe, teraz niewiele wyższe. Do tego im bliżej strefy wojny, tym inflacja jest wyższa i jest też wyższy stopień niepewności, który wpływa na inwestycje. Trzeba zwrócić uwagę na fakt, że inflacja zawsze jest wyższa w krajach, które się rozwijają i mają niższy stopień poziomu gospodarczego. My jesteśmy wciąż krajem goniącym czołówkę, dążącym do bogactwa, wciąż na dorobku. Kraj w stagnacji nie ma inflacji. A kraj, w którym jest wzrost – musi walczyć z inflacją. Dobrze, gdy może podjąć tę walkę niezależnie.

Narodowa waluta jest przecież elementem tej suwerenności.

Z polskim złotym będziemy rozwijać się i bogacić dwa razy szybciej. Dla każdego, kto choćby w niewielkim stopniu czuje się patriotą, jest jasne, że złoty jest związany z istnieniem państwa polskiego. Mamy swoją rodzinę, miasto, region i mamy swój kraj – język, historię, kulturę, literaturę, hymn, flagę i... własną polską walutę. Mniejsze kraje nie mają często możliwości utrzymania tej odrębności. Polska jest na tyle dużym krajem, że możemy nie być podlegli. Nie jesteśmy jednak tak wielcy, żebyśmy nie byli zagrożeni.

> To świadoma próba tworzenia atmosfery anarchii, chaosu, że coś się wali, że kryzys nas przewróci. Tymczasem kraj się rozwija, PKB rośnie. Oczywiście mamy niezwykle dolegliwą inflację. Ona będzie się zmniejszać już po wakacjach, a w 2024 r. znajdziemy się w celu inflacyjnym. Wszystko na to wskazuje, że nie wejdziemy w recesję

Ta wielkość Polski innym przeszkadza.

Przeszkadza w stworzeniu takiego europejskiego państwa federacyjnego pod wodzą Niemiec. To jest największy w Europie rynek, gospodarka, finanse, stąd nawet Europejski Bank Centralny jest zdominowany miażdżąco przez urzędników z Niemiec. Więc polityka EBC jest realizowana głównie pod kątem interesów Niemiec, może jeszcze kilku najbogatszych krajów wspólnoty. Z kolei Hiszpania, Grecja, Portugalia zderzają się z niekorzystną, trudną polityką EBC. I tu trudno o jednolite decyzje. Znaczące podwyższenie stóp procentowych w strefie euro zmiażdżyłyby gospodarki krajów południa Europy, przyniosłoby też bankructwo Włoch. Bo wspólna europejska waluta nie jest projektem wprowadzonym zgodnie z interesem ekonomicznym poszczególnych krajów, lecz jest politycznym narzędziem tworzenia państwa europejskiego. Dla Polski jest śmiertelnym zagrożeniem. To koniec marzeń o wolnej Polsce. Stalibyśmy się landem, częścią państwa europejskiego bez wpływu na jego kluczowe decyzje. Już dziś, jeśli chodzi o politykę europejską, ustalanie podstawowych kanonów

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl f3f299252a

prawnych, ekonomicznych, finansowych, nie mamy nic do powiedzenia. Czy Słowacja ma jakikolwiek wpływ na politykę Europejskiego Banku Centralnego? Nie. Mają kilku urzędników niższego szczebla.

Zwolennicy szybkiego wejścia do strefy euro przypominają, że podpisaliśmy traktaty, które nas do tego obligują. Prędzej czy później euro przyjmiemy.

Ci, którzy chcą szybko przyjąć euro, świadomie lub nieświadomie realizują w 100 proc. interes Niemiec. Na pewno dziś nie jest to w interesie Polski. Dopiero jak osiągniemy poziom gospodarki niemieckiej lub będziemy blisko dobrobytu niemieckiego – to rozsądnie będzie o tym rozmawiać. Wtedy wejście do strefy euro nie będzie oznaczało naszej degradacji – finansowej, narodowej, państwowej, gospodarczej. Ale to wciąż odległa perspektywa. Polska ma szansę stać się jednym z kilku najsilniejszych krajów Europy – trzeba jednak bronić naszej niezależności, a więc złotego. Dlaczego Francuzi nie boją się dominacji Niemiec? Bo są silnym gospodarczo, kulturowo i militarnie narodem. Gdy będziemy silni jak Francja, będziemy w Europie traktowani jak partnerzy. Były szef Bundestagu, Wolfgang Schäuble, niemiecki polityk znający też doskonale Polskę, stwierdził w wywiadzie sprzed kilku dni, że Polska powinna razem z Francją i Niemcami zasiąść przy głównym stole Unii Europejskiej. Jako równorzędny i tak samo ważny kraj członkowski na równi z Berlinem i Paryżem powinniśmy mieć szansę współdecydować o przyszłości Unii, by mieć szansę doszusować do czołówki gospodarczej. To dałoby wspólnocie stabilizację i równowagę po wyjściu Wielkiej Brytanii z UE, co dla przyszłości Europy jest niezwykle niebezpieczne. Zachwiało równowagę sił w Unii. Porządek polityczny zawsze opiera się na równowadze, tyle że Niemcy dążyły i dążą do stabilizacji opartej na równowadze Niemiec i Rosji. To, co między, jest strefą wpływów jednych lub drugich. Tak zawsze było.

To wybrzmiało wyraźnie na Ukrainie.

Wojna na Ukrainie powinna obudzić wszystkich, którzy mieli jeszcze jakieś złudzenia. Racją stanu jest więc dziś dla Polski utrzymać złotego i szybki wzrost gospodarczy. Za wszelką cenę. Niemcy są w głębokim kryzysie, który dopiero dociera tam do zwykłych ludzi. Elity niemieckie są w wielkim chaosie. Proszę zwrócić uwagę, że po raz pierwszy od lat niemieckie media krytykują rząd. W tej sytuacji są szczególnie łapczywe na to, by uciec do przodu. Wciągnięcie Polski do euro i do budowy państwa europejskiego byłoby ogromny sukcesem dla Niemiec. A euro służy przede wszystkim Niemcom. Stąd ta nerwowość i stąd ten pośpiech.

> Ktoś może powiedzieć pesymistycznie, że po wyjściu Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej fakt, że wpadniemy w ręce tego imperium niemieckiego, które zrealizuje się w europejskim państwie federacyjnym, jest przesądzony. Ale jak uczy nas historia – nigdy nic nie jest do końca pewne. Zawsze decydują konkretni ludzie, ludzka wola

Stąd plan, żeby nie dać Polsce pieniędzy z Europejskiego Funduszu Odbudowy?

Tak. Komisja Europejska jawnie dąży do obalenia polskiego rządu. Zamieszanie z pieniędzmi z KPO tak naprawdę odgrywa jedynie rolę psychologiczną. Dzięki temu można miażdżyć Polskę i Polaków takim przesłaniem, że te pieniądze przyniosłyby jakiś niesamowicie istotny wzrost dobrobytu, że każdy coś by z tego miał, a ten rząd – rząd PiS – tych pieniędzy nie chce, nie może ich dostać itd... To do tego służy. Oczywiście, że te fundusze byłyby przydatne, z inwestycjami wciąż jest słabo, a KPO wsparłoby wiele inwestycji. Ale nie niesie to jakiegoś przełomu gospodarczego i ma nikły wpływ na PKB. Wzmocniłby się złoty i to należałoby uznać za główny pozytywny skutek ekonomiczny pozyskania środków z KPO, bo przecież rząd realizuje już gros założeń tego planu. I te środki już pracują w gospodarce.

Złoty jest za słaby?

Podnoszenie larum, że nasza waluta jest jakaś szczególnie słaba, jest fałszywe i błędne. Kurs złotego w takich warunkach gospodarczych jest głównym zderzakiem różnych procesów. Gdybyśmy nie mieli własnej waluty, tym zderzakiem byłby wzrost bezrobocia i spadek aktywności gospodarczej. Tymczasem polska gospodarka nie reaguje na kryzysy wzrostem bezrobocia i spadkiem PKB, ale właśnie kursem złotego. Amortyzujemy w ten sposób negatywne warunki, choć oczywiście trzeba zauważyć, że niższy kurs oczywiście wspiera inflację. Ale tak reaguje wspomniany zderzak, raz spada, potem się wzmocni, bo fundamenty są mocne.

To pozwoli nam zbudować silną armię?

Nie ma poważania kraj, który nie ma silnej armii. Szwajcaria jest krajem neutralnym, od kiedy pamiętamy, ale ma potężną armię i powszechne szkolenie wojskowe. Szwecja... Turcja, biedny kraj, siada w Europie jak równy z równymi, bo ma najsilniejszą armię w regionie. Czemu sprzeciwiają się dziś nasi sąsiedzi z lewa i prawa, z zachodu i wschodu? Potężnym siłom zbrojnym w Polsce. Opór jest wielki. Niemcy planują przeznaczyć 100 mld euro, tworząc notabene pozabudżetowy fundusz na dofinansowanie armii. Natychmiast po ogłoszeniu polskiego planu wsparcia sił zbrojnych. Stać nas na armię i wzrost gospodarczy. Trzeba tylko utrzymać to, co mamy: rząd patriotyczny gwarantujący rozwój gospodarczy, własną walutę i silną armię. I wysoko trzymać gardę!

eprasa.pl f3f299252a

Polska broń na Ukrainie: pomoc, a także inwestycja

PT-91 Twardy. Na razie nie wiadomo, ile tych czołgów Polska dostarczy Ukrainie, ale mówi się nawet o 200 sztukach

To, że polska broń trafia na Ukrainę i dobrze się tam sprawdza, powoduje, że coraz głośniej mówi się o wspólnych polsko-ukraińskich przedsięwzięciach w dziedzinie produkcji broni i amunicji

Fot. Shutterstock

MAREK BUDZISZ

Niemieccy eksperci z renomowanego Kiel Institute skrupulatnie obliczyli, że Polska jest po Stanach Zjednoczonych drugim pod względem wartości dostawcą broni dla Ukrainy. Nasze wsparcie jest wyceniane na 1,8 mld dol., amerykańskie – 2,44 mld dol., a niemieckie – 290 mln dol., nie mówiąc już o francuskim, którego wartość osiągnęła oszałamiający pułap 160 mln dol. i jest niższe niźli znacznie mniejszej Łotwy. Statystyki te nie obejmują ostatnich dostaw, w tym naszych czołgów Twardy, nie można zatem wykluczyć, że w tej klasyfikacji już nastąpiły przesunięcia. W zestawieniach Kiel Institute ważne jest i to, że Polska, która zadeklarowała pomoc o wartości

eprasa.pl 13f299252a

Ukraińcy modernizują przekazane im przez Polskę transportery opancerzone BWP-1, m.in. przez wymianę wieży, co zwiększa ich skuteczność ogniową w starciu z Rosjanami

1,8 mld dol., ze swoich zobowiązań w całości się wywiązała, a np. Amerykanie, którzy w deklaracjach znacznie nas przebijają i zapowiedzieli dostawy o wartości 6,37 mld dol., zrealizowali na razie niewiele więcej niż 1/3 z nich. W realiach trwającej intensywnej wojny znaczenie mają dostawy, które docierają i wpływają na możliwości obronne Ukrainy, a nie zapowiedziane i wiecznie odsuwane w czasie transporty, jak np. z Niemiec.

(NIE)TAJNE DOSTAWY

Berlin ma jednak nad Warszawą jedną, zasadnicza przewagę. Otóż o ile my nie informujemy oficjalnie, co i ile dostarczyliśmy, a polska opinia publiczna dowiaduje się więcej z wywiadów prezydenta Andrzeja Dudy dla „Bild" czy – tak jak to było w przypadku czołgów Twardy – z podziękowań strony ukraińskiej, o tyle Niemcy, którzy niewiele pomagają, głośno krzyczą na cały świat zarówno o tym, co mają zamiar przywieść na Ukrainę, jak i o tym, co udało się już dostarczyć. Na stronie Urzędu Kanclerskiego jest nawet oficjalna i regularnie uzupełniana lista tego, co Niemcy przekazali i jakie mają w tym względzie plany. To pierwsze zestawienie jest znacznie skromniejsze niż drugie, ale możemy się dowiedzieć z niego, że do tej pory udało się Berlinowi dostarczyć m.in. 3 tys. ręcznych wyrzutni przeciwpancernych Panzerfaust 3, 10 haubic samobieżnych Panzerhaubitze 2000. Niemcy informują też o przekazaniu 100 namiotów, 12 generatorów prądotwórczych czy wspólnie z Estonią szpitala polowego – sztuk 1.

> Ukraińska firma UkrSpecSystem, specjalizująca się w produkcji dronów bojowych, której biuro konstrukcyjne w Kijowie zostało zniszczone, poinformowała na początku lipca, że przenosi się do Polski. Mówi się nawet o docelowym stworzeniu polsko-ukraińskiej „doliny dronowej"

Dlaczego dostawy z Polski objęte są tajemnicą? Trudno to zgłębić. Może skromnie nie chcemy, by nasza pozycja międzynarodowa rosła, może nie lubimy się chwalić? A szkoda, bo nasza broń sprawuje się na Ukrainie, w realiach pola walki, dobrze, zbiera pochwały, co może mieć istotne znaczenie w przyszłości, a do tego nasze dostawy odgrywają istotną i rzeczywistą rolę w umocnieniu potencjału obronnego Ukrainy. Świat wiele słyszy o przełomowym znaczeniu, które mają dostawy amerykańskich HIMARS, ale zupełnie nie jest informowany, co realnie dla ukraińskiego wysiłku obronnego znaczy pomoc z Polski. Czas nadrobić te zaniedbania.

PIORUNY, KRABY I NIE TYLKO

Już na początku wojny, w marcu, dostarczyliśmy Ukrainie granatniki RPG-76 Komar, które z powodu ograniczeń technicznych (pociski nie miały samolikwidatora) nie mogły być używane w Polsce, jednak w realiach wojennych zdają egzamin. Następnie, już po pa-

Fot. Longfin Media/Shutterstock.com

eprasa.pl f3f299252a

miętnej dyskusji w kwestii przekazania naszych MiG 29 na Ukrainę, pojechały części zamienne, dzięki których dostępności tamtejsi mechanicy mogli przywrócić do sprawności kilkanaście własnych myśliwców, a także kierowane pociski rakietowe R-73 klasy powietrze-powietrze. Równolegle przekazaliśmy transportery opancerzone BWP-1, których mieliśmy w służbie i w naszych magazynach 1 tys. sztuk i które – z racji tego, że są to systemy przestarzałe – mają perspektywicznie całkowicie wyjść z użycia. Strona ukraińska opracowała jednak prosty system ich modernizacji polegający m.in. na wymianie wieży, co zwiększa ich skuteczność ogniową, a w starciu z Rosjanami liczy się też ilość otrzymanego sprzętu. Zostały tez przekazane ręczne wyrzutnie Piorun, które na Ukrainie zrobiły furorę, stały się nawet motywem wielu memów i wpisów, które możemy zobaczyć w internecie.

Te systemy dotarły na Ukrainę w odpowiednim czasie, kiedy były najbardziej potrzebne i w dużej ilości. Strona ukraińska jest tak z nich zadowolona, że chciałaby zarówno większych dostaw, jak i myśli o ich wspólnej produkcji. „Dobrym przykładem jest Piorun – mówi w wywiadzie dla portalu NV Andrij Deszczyca, były ambasador Ukrainy w Warszawie. – Polskie Pioruny to takie Stingery. Mają potencjał, to może być nasza wspólna produkcja, faktycznie wiele tych Piorunów wzięliśmy do użytku, Polska nam je przekazała. Ale teraz pokazują bardzo wysoką skuteczność i chcielibyśmy, żeby Polska zwiększyła produkcję, a na razie nie ma mocy produkcyjnych. Gdybyśmy połączyli wysiłki naszych kompleksów wojskowo-przemysłowych, moglibyśmy wspólnie je produkować, nie tylko na potrzeby tej wojny, ale również mogłyby one być przedmiotem zainteresowania krajów trzecich". Zdaniem ukraińskich specjalistów Pioruny są nawet lepsze od amerykańskich Stingerów, bo te ostatnie nie były modernizowane od lat 70., a polskie produkty są ulepszoną – mogą strzelać również w nocy – i znacznie tańszą ich wersją. Dziennikarze niemieckiego „Die Welt" napisali, że na Ukrainie polskie Pioruny stały się bronią kultową, a na dodatek zauważyli ze słabo skrywaną zazdrością: „Nawet USA zaczęły ostatnio kupować pociski Piorun. To wyróżnienie, ponieważ Pentagon zazwyczaj opiera się na produkcji krajowej".

Ukraińscy żołnierze chwalą przekazane im przez Polskę karabinki Grot. Nawet nagrali i umieścili na TikToku film poświęcony jego zaletom

> Dziennikarze niemieckiego „Die Welt" napisali, że na Ukrainie polskie Pioruny stały się bronią kultową, a na dodatek zauważyli ze słabo skrywaną zazdrością: „Nawet USA zaczęły ostatnio kupować pociski Piorun. To wyróżnienie, ponieważ Pentagon zazwyczaj opiera się na produkcji krajowej"

Wreszcie w czasie najcięższych walk w Donbasie, kiedy strona ukraińska alarmowała, że Rosjanie mają nawet 10-krotną przewagę ogniową i dziennie wystrzeliwują nawet 60 tys. pocisków artyleryjskich, zaczęliśmy dostarczać nasze samobieżne armatohaubice Krab. Wiktor Kewliuk z Centrum Strategii Obronnych, w przeszłości oficer ukraińskich sił zbrojnych, oceniając te systemy, mówi, że w porównaniu z sowieckimi odpowiednikami, będącymi na wyposażeniu sił zbrojnych Ukrainy, jest to broń znacznie nowocześniejsza i skuteczniejsza. „Krab jest dwa razy lepszy – argumentuje – od sowieckich dział samobieżnych Akacja i co najmniej półtora razy przewyższa rosyjskie systemy Msta-S".

Symptomatyczne jest też to, że ten były oficer ukraińskiej artylerii przypomina, że pierwotnie Krab miał być wspólnym, polsko-ukraińskim projektem, a w efekcie opieszałości i blokad politycznych zakładanych przez kolejne ekipy w Kijowie, skończył jako projekt polski. „Podwozie miało być produkowane w Charkowie, wieża w Kramatorsku, cała reszta miała być polska. A skończyło się tak, że teraz kupujemy całe dywizjony tych samobieżnych haubic od Polski" – z wyraźnym żalem mówi Wiktor Kewliuk.

Z perspektywy polskiego sektora zbrojeniowego to, że strona ukraińska po otrzymaniu naszych armatohaubic równolegle zdecydowała się złożyć zamówienie na zakup trzech dywizjonów Krabów, jak się szacuje 56 luf, za co w większej części zapłaci Unia Europejska, jest niezwykle ważnym wydarzeniem. Premier Mateusz Morawiecki mówił w Hucie Stalowa Wola, która produkuje te systemy, że kontrakt o wartości 3 mld zł jest największym zamówieniem złożonym w polskich firmach zbrojeniowych w czasie ostatnich 30 lat. Ale dodatkowo fundamentalnie istotne jest to, że decyzja Kijowa może być odczytywana jako oczywista rekomendacja skierowana do przyszłych klientów ze strony tych, którzy na polu walki używają polskich systemów, a także jako sygnał strategiczny, iż Ukraina jest zainteresowana kooperacją w tej kwestii z Polską.

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl f3f299252a

Drony FlyEye, nazywane „oczami artylerii", umożliwiają precyzyjne lokalizowanie celów ostrzału

Fot. Materiały prasowe

Nie dotyczy to zresztą wyłącznie produkcji ciężkiej broni pancernej i artyleryjskiej czy amunicji, bo to też jedna z oczywistych nauk obecnej wojny, iż ci, którzy muszą ją dowozić z wielkich odległości, są już na początku na straconych pozycjach. Dostarczyliśmy Ukrainie karabinki Grot, o których kontrolowany kapitałowo przez niemiecko-szwajcarski koncern polski portal pisał, że są one nieudaną konstrukcją. Tymczasem żołnierze ukraińscy chwalą broń produkowaną w Radomiu, nagrali i umiesili na TikToku nawet film poświęcony jej zaletom. Te pozytywne opinie potwierdził zresztą, powołując się na relacje strony ukraińskiej, Paweł Soloch, szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego.

WSPÓLNE PRZEDSIĘWZIĘCIA W ZBROJENIÓWCE

To, że polska broń trafia na Ukrainę i dobrze się tam sprawdza, powoduje, że coraz głośniej mówi się o wspólnych przedsięwzięciach w dziedzinie produkcji broni i amunicji. Już na początku wojny, w czasie wizyty w Warszawie, ukraińska wicepremier sondowała możliwości przeniesienia części tamtejszych fabryk zbrojeniowych do Polski, a ostatnio media w Kijowie wiele piszą o planach stworzenia dużego joint venture w tym sektorze.

Ukraińska firma UkrSpecSystem, specjalizująca się w produkcji dronów bojowych, której biuro konstrukcyjne w Kijowie zostało zniszczone w wyniku rosyjskich uderzeń, poinformowała na początku lipca, że przenosi się do Polski. „W trosce o potrzeby armii ukraińskiej – czytamy w jej oficjalnym oświadczeniu – zrobiliśmy krok bez precedensu i obecnie przeprowadzamy się do nowego biura. Wspólnie i przy wsparciu naszych partnerów rozpoczynamy produkcję kompleksów PD-2 w Polsce". Mówi się nawet o docelowym stworzeniu polsko- ukraińskiej „doliny dronowej", centrum produkcyjnego, a także ośrodka badawczo-rozwojowego, w którym szybko rozwijające się firmy działające w tym sektorze z obydwu krajów mogłyby wspólnie pracować zarówno na potrzeby własnych sił zbrojnych, jak i oczywiście na eksport. Ożywienie w tym względzie jest również skutkiem tego, że na Ukrainie pracują polskie drony i amunicja krążąca, którą dostarcza WB Electronics. W tym przypadku chodzi m.in. o drony FlyEye, nazywane „oczami artylerii", sprzęt przeznaczony do bliskiego rozpoznania, który umożliwia precyzyjne lokalizowanie celów ostrzału, a także Warmate, potocznie określane mianem „dronów kamikadze".

Na początku czerwca w wywiadzie dla niemieckiego „Bild" prezydent Andrzej Duda mówił też m.in. o dostarczeniu przez Polskę Ukrainie 240 czołgów i 100 transporterów opancerzonych. W ostatnich dniach pojawiła się informacja o kolejnych dostawach, tym razem chodzi o czołgi PT-91 Twardy, o czym napisał Andrij Jermak, szef gabinetu prezydenta Zełenskiego, dodając przy tym po polsku: „Jesteśmy bardzo wdzięczni naszym polskim przyjaciołom". Na razie nie wiadomo, jaka ich liczba trafi ostatecznie na Ukrainę, mówi się nawet o 200 sztukach, ale z pewnością mają one szansę dotrzeć na linię frontu w newralgicznym momencie, kiedy Rosjanie wznawiają ofensywę w Donbasie, a strona ukraińska chce odzyskać Chersoń.

Wiele się w Polsce – i słusznie – mówi, że dziś Ukraina w gruncie rzeczy walczy i w naszej obronie, bo gdyby Rosjanom udało się przeprowadzić blitzkrieg, Putin podyktowałby swoje warunki dotyczące bezpieczeństwa całej Europie Środkowej.

Jednak dostarczając broń Ukrainie, musimy myśleć też o przyszłości. Kijów już po wojnie będzie odbudowywał siły zbrojne i przemysł. Zarówno prezydent Wołodymyr Zełenski, jak i Ołeksij Daniłow z Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony publicznie mówią, że Ukraina musi stać się „drugim Izraelem", jeśli chodzi o potencjał wojskowy. W czasie niedawnej konferencji w Lugano, której celem miało być promowanie planu odbudowy Ukrainy, strona ukraińska oceniła swe potrzeby na 750 mld dol. Warto pamiętać, że na „liście marzeń", sformułowanej przez ponad 3,5 tys. ekspertów pracujących nad tym programem, zdecydowanie pierwsze miejsce zajmują siły zbrojne i przemysł pracujące na ich rzecz. Kijów chciałby zainwestować w tym obszarze do 2030 r. nawet 200 mld dol., co będzie oznaczać nie tylko gigantyczny wysiłek, ale również wielką szansę dla firm działających w tym sektorze. Polska zarówno ze względu na położenie, dotychczasowe doświadczenia, bliskość kulturową oraz dobre oceny naszej broni, która sprawdza się na polu boju, ma szansę na znaczny udział w przygotowywanych programach. I to jest jedna z wielkich szans biznesowych, którą otworzyły dostawy naszego sprzętu wojskowego na Ukrainę.

eprasa.pl f3f299252a

Relacja z Ukrainy

Pioruny i Kraby sprawdzają się w boju

Samobieżna armatohaubica Krab. Pozwala ona bardzo szybko ostrzelać rosyjskie pozycje, zmienić lokalizację i strzelać ponownie. Rosjanie nie zdążą odpowiedzieć, gdy są zasypani nowymi pociskami – mówią ukraińscy żołnierze

Kraby zasługują na swoje miejsce w legendach o obronie Ukrainy i Europy przed Rosją – mówi mi ukraiński oficer, płk Wiktor Czełowan, którego oddziały cały czas korzystają z polskich samobieżnych armatohaubic, żeby posyłać kacapów do piekła. Jaki jeszcze polski sprzęt jest używany na frontach walk z Rosją i jak się sprawdza w boju? Ukraińcy opowiadają, że w niektórych przypadkach uzbrojenie z naszego kraju okazuje się skuteczniejsze niż najlepszy sprzęt amerykański

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Na samym froncie nie jest łatwo przyjrzeć się ciężkiemu sprzętowi, bowiem jego położenie, ilość i stan są tajemnicą wojenną. Nie wolno go nagrywać, fotografować, nie wolno o niego pytać, ba, nawet przyglądanie się ciągniętej po drodze haubicy może wywołać stanowcze pytania mundurowych. A jednak zostając między

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl f3f299252a

Ukraińcami dłużej, można nie tylko zobaczyć, jak nasze pociski powstrzymują rosyjskie ataki, ale też posłuchać twardych, żołnierskich komentarzy.

„MIELONKA PO RUSKU W PUSZCE"

Jednym z tych świadków jest Andrzej, polski wolontariusz, który w Donbasie współpracował z kilkoma oddziałami Zbrojnych Sił Ukrainy. Tam nie brakowało polskiego sprzętu, nie tylko tego ciężkiego. Andrzej nie przebiera w słowach, gdy chodzi o zachwyt nad skutecznością naszej broni. – Na własne oczy widziałem rosyjski BTR-80 (transporter opancerzony), ba, nawet poczułem, jak pocisk z naszego granatnika Komar kompletnie go rozwala – opowiada tygodnikowi „Sieci", choć w oryginalnej wypowiedzi użył mocniejszych, żołnierskich słów. – Pocisk trafił między trzecią i czwartą oś, między koła, w przedział silnika. Któryś z chłopaków nie poczekał, aż pocisk wybuchnie, i poprawił z granatnika RPG-7, jakżeż to pier...nęło – komentuje. – Nikt nie wyłaził, nie było co zbierać – dodaje Andrzej. U Ukraińców nauczył się, że rosyjskich zbrodniarzy naprawdę nie ma co żałować.

Te spektakularne widoczki wywołują radość obrońców swojej ojczyzny. „Mielonka po rusku w puszce w sosie własnym" – mówi się na resztki po ostrzale Komarów czy Krabów. O tych ostatnich, samobieżnych armatohaubicach, wiele opowiada płk Wiktor Czełowan, którego oddziały cały czas z nich korzystają, żeby posyłać kacapów do piekła.

– Kraby zasługują na swoje miejsce w legendach o obronie Ukrainy i Europy przed Rosją – opowiada oficer. Właściwie, jak przyznaje Czełowan, nie wolno mu szczegółowo mówić o tym, jak konkretna broń sprawdza się na froncie. – Mogę powiedzieć o zachodniej technologii, która nas wspiera. A ja osobiście mam do czynienia ze słynnymi amerykańskimi HIMARS, brytyjską ultralekką haubicą M777A2, niemieckimi haubicami 2000 czy – i tu pułkownik uśmiecha się porozumiewawczo – polskimi Krabami. – Używamy ich efektywnie i intensywnie, zwłaszcza kaliber 155 – wspomina pułkownik. Oprócz tego, że Kraba używa się szybko i szybko można go przemieścić, zanim rosyjska artyleria przygotuje odpowiedź, to taka z pozoru niepozorna sprawa jak waga (ok. 50 ton) sprawia, że ukraińskie drogi i mosty mogą wytrzymać ich ciężar.

Mówiąc w skrócie – Kraby w tej specyficznej, artyleryjskiej wojnie pozwalają bardzo szybko ostrzelać rosyjskie pozycje, zmienić lokalizację i strzelać ponownie. Rosjanie nie zdążą odpowiedzieć, gdy są zasypani nowymi pociskami.

> Ukraińscy oficerowie przyznają w rozmowach z tygodnikiem „Sieci", że po konkretnych walkach konsultują się z zachodnimi ekspertami i producentami, by udoskonalać sprzęt. – W czasie działań wojennych nie możemy o tym mówić, ale dość wspomnieć, że my korzystamy ze sprzętu, a nasi przyjaciele z Polski dostają informacje zwrotne – komentuje major, który używa polskiego sprzętu pod Chersoniem

Pułkownik nie idealizuje polskiego sprzętu, mówi też o jego słabościach, których jednak w czasie trwania wojny nie wolno wymieniać, ale wspomina, że podobne niedoskonałości mają też amerykańskie systemy rakietowe HIMARS. – One stały się już memem, legendą, jak tureckie Bayraktary w pierwszych dniach wojny. Co ważne, polska haubica jest porównywana z superbronią z USA, ma podobne słabości, więc wasza technologia choć nie jest tak spektakularna jak ta zza oceanu, to jednak zmaga się z trudnościami technologicznymi (zwłaszcza z celnością) na amerykańskim poziomie.

Czełowan mówi enigmatycznie, że zachodni sprzęt artyleryjski (a więc także polski) skutecznie zniszczył 77 obiektów rosyjskich, a najeźdźcy nie zniszczyli ani jednej pozycji opartej na zachodnich technologiach. – Ani jednej? – dopytujemy z niedowierzaniem – To niby której? – stanowczo zapiera się pułkownik. Owszem, Rosjanie uszkodzili niektóre pozycje ukraińskie bazujące na zachodnim uzbrojeniu, ale nie zniszczyli ani jednej. Władimir Putin zapowiadał nawet powołanie specjalnych jednostek, które mają niszczyć zachodnie uzbrojenie. Nasz pułkownik śmieje się z tego w głos. – Kreml wysłał nawet specjalne samoloty A-50, które miały wykrywać np. HIMARS, ale okazało się, że nie potrafią one odróżnić ciężarówki z pomocą humanitarną, np. pieluchami i konserwami z mięsem, od ciężkiego sprzętu z Zachodu – śmieje się oficer. Rosjanie z każdą przesyłką od krajów NATO mają coraz więcej problemów.

Podobną robotę robią polskie czołgi PT-91 Twardy, obecne w dużej liczbie w Donbasie. Gdy Rosjanie wyciągają z muzeów swój sprzęt z lat 60. XX w., Ukraińcy dostają coraz nowocześniejsze uzbrojenie z NATO – także z Polski. Choć imperium Putina dysponuje gigantyczną przewagą ilościową, to jakościowo jest już u Rosjan dużo gorzej. Pułkownik Czełowan zapewnia, że precyzyjność zachodniego sprzętu zmniejszyła rosyjską przewagę od 5 do 10 razy. On sam dowodzi jednostkami, które po precyzyjnym uzyskaniu koordynatów unicestwiają rosyjski sprzęt do cna. Pozostaje z nich tylko kupa złomu i kawałki mięsa po rosyjskiej obsłudze.

POLSKIE KARABINY

Ukraińcy w Donbasie – tam gdzie jest najcięższy odcinek tej piekielnej wojny – chwalą sobie różne warianty polskich

eprasa.pl f3f299252a

karabinów, np. karabiny Tor czy karabinki Grot. – Robi robotę – mówi o tym pierwszym Andrzej, który często odwiedza swoich przyjaciół z najbliższych Rosjanom pozycji. Z kolei karabinek Grot zdał egzamin w praktyce – nawet ukraińscy żołnierze obecni w mediach społecznościowych są polską bronią zachwyceni. Dziesiątki tysięcy widzów uzyskał żołnierz Ukrainian Warrior, który w serwisie społecznościowym TikTok opowiada o lekkości i sprawności polskiego karabinku. To bardzo ważne, bo w 2017 r. portal Onet.pl, oparty na niemieckim kapitale, zaatakował polski wynalazek jako często psujący się i niepraktyczny. Wojna pokazała, że jest zupełnie inaczej. – Nie wierzę żadnemu ekspertowi wojennemu, który osobiście nie uczestniczył w wojnie – komentuje płk Czełowan. Teoria i praktyka mocno się rozjeżdżają, a gdy niemieckie interesy wchodzą w grę, to zawsze polski produkt pojawia się w mediach jako wadliwy. Edyta Żemła i Marcin Wyrwał z portalu Onet.pl szczególnie gorliwie próbowali udowodnić słabości polskiej zbrojeniówki, która w tej wojnie okazała się producentem szczególnie pożytecznej broni.

Ukraińcy mają głęboką świadomość, że korzystają z broni od polskich przyjaciół i że to właśnie nasz sprzęt pomaga odsyłać Rosjan do domu w foliowych workach. Andrzej, który był w Donbasie wiele razy, opowiada, że Ukraińcy śmiali się z zachodniej i z rosyjskiej narracji, jakoby nie potrafili oni szybko opanować obsługi zagranicznej broni. – Mierzyliśmy czas amerykańskim Stingerom (pociskom FIM-92) i polskim Piorunom. Okazało się, że polski wynalazek o połowę szybciej od amerykańskiego rozwala rosyjskiego okupanta. Wystarczy 10 sekund, by z trybu marszowego wejść na tryb bojowy i zamienić syna rosyjskiej matki na talon na stary model Łady.

Ci, którzy korzystali z Piorunów, chwalą jego elastyczność. – Możesz wystrzelić niemalże spod ruskiego tyłka i patrzeć, jak dostaje w d...ę – opowiada o ukraińskich radościach Andrzej.

GRA POLITYCZNA

Polskie wynalazki ratują Ukrainę, ratują też Europę i są wymieniane jednym tchem wraz ze sprzętem brytyjskim i amerykańskim. Niemiecki sprzęt, zakupiony przez Kijów, też ma potężne walory, ale np. nie daje rady ze swoją masą na słabych ukraińskich drogach i mostach. W tej mieszance plusów i minusów konkretnego uzbrojenia takie Kraby zyskują uznanie w walce z rosyjskimi zbrodniarzami. Są łatwe w obsłudze, szybkie w oddawaniu strzału, po którym można zniknąć, zanim rosyjska artyleria wymierzy miejsce odpowiedzi. Ukraińscy oficerowie przyznają w rozmowach z tygodnikiem „Sieci", że po konkretnych walkach konsultują się z zachodnimi ekspertami i producentami, by udoskonalać sprzęt. – W czasie działań wojennych nie możemy o tym mówić, ale dość wspomnieć, że my korzystamy ze sprzętu, a nasi przyjaciele z Polski dostają informacje zwrotne – komentuje major, używający polskiego sprzętu pod Chersoniem, gdzie trwa właśnie ukraińska kontrofensywa.

Okazuje się zatem, że polska zbrojeniówka potrafiła wyprodukować wiele urządzeń, które zachwycają żołnierzy na samym froncie – nie ma lepszej niż taka właśnie rekomendacja dla producentów broni znad Wisły. Wysoką ocenę uzyskują także niektóre polskie drony (skorelowane z Krabami) oraz zmodernizowane czołgi T-72. Warto wspomnieć, że w tym czasie, gdy polska zbrojeniówka pracowała nad zintensyfikowaniem produkcji, media obcego kapitału w Polsce stanowczo krytykowały przemiany w tej gałęzi przemysłu.

Tymczasem o skuteczności decyduje wojenna praktyka. Żołnierze jednego z oddziałów „aerorazwiedki" (kierują dronami w Donbasie) opowiadali mi, jak z polskiego sprzętu w pierwszych dniach wojny ostrzelali rosyjskie czołgi z artylerii instruowanej informacjami z polskich dronów. – Skośnoocy najeźdźcy, nie wiemy, czy z Jakucji, czy z Tuwy, rozpierzchli się po podpaleniu ich czołgu i pobiegli z wiadrami po wodę – śmieją się żołnierze z 80, czyli oddziału niszczącego pozycje rosyjskie w Donbasie. Prymitywna dzicz nie daje rady zachodniemu sprzętowi, a polska broń wyróżnia się tu szczególną skutecznością.

Polska wyrzutnia rakiet przeciwlotniczych Piorun dzięki sukcesom na ukraińskich frontach wzbudza zainteresowanie nabywców z całego świata

Fot. Wojciech Strozyk/REPORTER

eprasa.pl f3f299352a

Najlepszy czas na pojednanie

Myślę, że to, co się teraz dokonuje, skala zaangażowania Polski w niesienie pomocy Ukrainie – od humanitarnej po militarną – tworzy płaszczyznę porozumienia i wybaczenia sobie wzajemnie krzywd, dogadania się w kwestii historycznych zaszłości. Nie wiem, czy lepsza okazja kiedykolwiek się trafi

Z ks. Tomaszem Krzemińskim, saletynem pracującym w sanktuarium Matki Bożej Saletyńskiej w Łanowicach w obwodzie lwowskim na Ukrainie, rozmawia Jaromir Kwiatkowski

24 lutego Ukraińcom zawalił się świat. Mieli różne plany, marzenia, które Putin zburzył. Jak to wygląda teraz, gdy wojna trwa już ponad pięć miesięcy?

Ks. Tomasz Krzemiński: Do wojny nie da się przyzwyczaić, ale do warunków, w których człowiek żyje w tym trudnym okresie, z czasem trzeba przywyknąć. Wojna na Ukrainie toczy się na tyle długo, że trzeba było zacząć żyć na nowo. Na początku to był dramat, tym ludziom rzeczywiście zawalił się świat. Nawet ci, których działania wojenne bezpośrednio nie dotknęły, popadali w marazm. Z jednej strony dlatego, że pozamykano urzędy czy szkoły, z drugiej – emocje i przeżycia były tak silne, że wręcz paraliżowały. Człowiek wstawał rano, włączał komputer i cały czas śledził newsy z frontu. Ale po jakimś czasie trzeba było otrząsnąć się z tego marazmu. W Kijowie metro na początku było jednym wielkim noclegowiskiem. Powstało nie tyle miasto w mieście, ile jakaś enklawa. Ci ludzie w końcu musieli zacząć jakoś żyć, organizować sobie jedzenie itd. Nie da się oswoić wojny, ale trzeba sobie w końcu jakoś zorganizować życie. Nie można siedzieć w telefonie od rana do nocy i patrzeć ciągle w internet, bo trzeba dzieciom dać jeść i coś robić. W centralnej Ukrainie, gdzie nie ma bezpośrednich działań wojennych, ale cały czas występuje zagrożenie ostrzałami rakietowymi, otwierały się zakłady pracy, kawiarnie, punkty usługowe, w których można załatwić codzienne sprawy. Bardzo dużo osób zaangażowało się w działalność wolontariacką, zbiera na zachodzie Ukrainy, co może, i wysyła na wschód.

Wspomniał ksiądz w swoim wykładzie, że na początku wojny wielu Ukraińców współczuło rosyjskim żołnierzom – młodym chłopakom, którzy często nie wiedzieli, gdzie i po co jadą. To się później zmieniło...

W mniejszych miejscowościach, położonych blisko granicy z Polską, takich jak Łanowice, na początku kobiety rzeczywiście współczuły tym chłopcom, którzy zostali wysłani na rzeź. Do dziś jestem pewien, że wielu z nich nie wiedziało, gdzie jadą ani po co. To nastawienie zmieniło się po wydarzeniach w Mariupolu, Buczy, Irpieniu i innych miejscach, o których było głośno w mediach. A więc po tym, jak ludzie zobaczyli ludobójstwo, te wszystkie dantejskie sceny – brutalne gwałty, przemoc, zabijanie dla samego zabijania. Nie wiem, co pchnęło tych młodych Rosjan do takiego bestialstwa.

Czytając wiadomości z Ukrainy, miałem déjà vu – wydawało mi się, że cofnęliśmy się w czasie do 17 września 1939 r., kiedy Armia Czerwona weszła do Polski. Jakby się przez te ponad 80 lat nic nie zmieniło.

Strategia toczenia wojny przez Rosję pozostała ta sama. Na początku mieli nadzieję na błyskawiczne zwycięstwo. To się nie udało, więc wrócili do starych metod: zrównują miasta z ziemią, nie patrząc na straty zarówno ukraińskie, jak i swoje. Działają tak: wszystko zniszczyć, brutalnie zadeptać.

Wspomniał ksiądz, co zresztą nie jest tajemnicą, o wielkiej wdzięczności Ukraińców dla Polaków za ich postawę. Przyjęliśmy ponad 5 mln uchodźców, transporty z pomocą humanitarną cały czas jadą na Ukrainę.

Nawet dla mnie jako Polaka było to duże zaskoczenie. Tym bardziej dla Ukraińców. Nie da się ukryć, że historia stosunków polsko-ukraińskich jest bardzo trudna, i to po obu stronach. Do dzisiaj w wielu kręgach w Polsce na hasło „Ukraina" pada odzew „Wołyń". Może rzadziej wśród ludzi młodych, ale wśród starszych często.

W Polsce słychać głosy, że wojna na Ukrainie nie bierze w nawias trudnej historii wzajemnych stosunków. Powinniśmy pamiętać o ludobójstwie na Wołyniu. Domagać się od Ukraińców, by stanęli w prawdzie. Ale wiemy też, że wielu uchodźców, którzy znaleźli się w Polsce, straciło bliskich i cały dorobek życia. Są załamani. Dlatego chciałbym zapytać, czy to, co się stało między Polakami a Ukraińcami po 24 lutego, będzie w przyszłości pozytywnie rzutowało na polsko-ukraińskie relacje?

Myślę, że to, co się teraz dokonuje, skala zaangażowania Polski w niesienie pomocy Ukrainie – od humanitarnej po militarną – tworzy płaszczyznę poro-

Fot. Jaromir Kwiatkowski

eprasa.pl f3f299252a

zumienia i wybaczenia sobie wzajemnie krzywd, dogadania się w kwestii historycznych zaszłości. Nie wiem, czy lepsza okazja kiedykolwiek się trafi.

Czyli uważa ksiądz, że to doświadczenie będzie owocowało?

To możliwe. Ale wiele zależy od tego, jak tę szansę wykorzystamy – zarówno Polska, jak i Ukraina. Bo tak naprawdę jesteśmy dość podobnymi krajami, jeżeli chodzi o mentalność. Patrzymy na siebie nawzajem trochę z góry i dlatego trudno nam się porozumieć. Dlatego wszystko będzie zależało od tego, jak zaczniemy się wzajemnie rozliczać. Jeżeli my, Polacy, nie będziemy wysuwać wobec Ukraińców roszczeń w rodzaju: my wam pomagaliśmy, więc musicie uznać naszą dominację, a Ukraińcy nie wymyślą czegoś podobnego w naszą stronę, to jest szansa na porozumienie. Jest wyraźnie wyciągnięta ręka do zgody: co było, to było, teraz zmagamy się z rzeczywistością, która – choć niejednakowo – dotyka i was, i nas, i w tej sytuacji my wykładamy na stół wszystko, co mamy, żeby wam pomóc. Sytuacja wyjściowa jest więc doskonała.

À propos pomocy. Jest ksiądz pomysłodawcą programu „Kanapka za złotówkę". Proszę o jego przybliżenie.

„Kanapka za złotówkę" to projekt, który narodził się osiem lat temu, kiedy zaczynała się wojna rosyjsko-ukraińska. Pracowałem wówczas w Krzywym Rogu. Jest to okręg przemysłowy, podobnie jak Donbas. Po rozpoczęciu wojny zaczęliśmy obserwować zjawisko uchodźctwa wewnętrznego – wielu ludzi uciekło z Donbasu do Krzywego Rogu z nadzieją, że znajdą tu pracę. Tyle że Krzywy Róg lata świetności przemysłowej miał już za sobą, więc część z nich została na bruku. Coraz więcej osób zaczęło się zwracać do nas, saletynów, z prośbą o pomoc – prowadzimy parafię zaraz przy dworcu kolejowym. Wydawaliśmy tylko kanapki i herbatę, ale kiedy zaczęło przychodzić 100–200 osób potrzebujących dziennie, przerosło to możliwości finansowe parafii, która ma 200 wiernych. Wtedy powstała inicjatywa „Kanapka za złotówkę". Zaproponowaliśmy, że za każdą wpłaconą złotówkę damy kanapkę osobie potrzebującej na Ukrainie. Tak naprawdę to był worek z trzema kanapkami oraz herbata. Taka była wtedy równowartość tej złotówki. Akcja jest kontynuowana do dziś. W Krzywym Rogu nasza parafia jest największym punktem pomocy. Oczywiście obecnie można otrzymać także pomoc z innych źródeł, ale kiedy zaczynaliśmy, nie było w Krzywym Rogu takiego miejsca, gdzie osoba bezdomna mogła przyjść i dostać coś do jedzenia. Jeżeli chodzi o chleb wydawany w ramach akcji „Kanapka za złotówkę", to współbracia z Krzywego Rogu wydawali przy parafii po blisko 1,5 tys. bochenków chleba trzy razy w tygodniu. Obecnie więcej uwagi i środków musieli poświęcić przesiedleńcom wewnętrznym, dla których przygotowują paczki z pomocą humanitarną. Od początku wojny wydali ich ok. 6,5 tys. Dla ubogich i bezdomnych wydają zupę. Ok. 200 osób trzy razy w tygodniu korzysta z tej formy pomocy.

W Dębowcu ksiądz zwracał uwagę, że – owszem – akcja humanitarna jest bardzo ważna i potrzebna, ale jeszcze ważniejszy jest wymiar duchowy pomocy.

Wojna to doświadczenie, które przynosi traumę na każdym poziomie – poczynając od religijnego, kiedy człowiek pyta sam siebie, gdzie jest w tym wszystkim Pan Bóg. Wojna przynosi także ból po stracie kogoś bliskiego czy życie w ogromnym napięciu, bo ktoś z bliskich jest na froncie, a jeżeli nawet nie, to napięcie wynika z tego, że dwie ulice dalej spadła rakieta i zburzyła kilka domów, a ty nie wiesz, czy jutro kolejna rakieta nie spadnie na twój dom. Rodziny ukraińskie, które są w Polsce, zostawiły po tamtej stronie mężów i ojców, którzy nie mogli wyjechać. Jest to sytuacja skrajnie trudna dla wszystkich i nie da się jej rozwiązać tak jak problemu głodu – chlebem czy konserwą. Oczywiście zaspokojenie głodu to podstawa, bo jeżeli ktoś nie będzie miał czego włożyć do ust, to nie będzie myślał o rzeczach wyższych. To wszystko – chleb, konserwy – jest bardzo potrzebne, ale nie wystarczające. Trzeba szukać oparcia w Panu Bogu, żeby przez to doświadczenie przejść. Nie chodzi o to, żeby – gdy ta wojna się już skończy – zapomnieć o wszystkim, ale żeby powrócić do w miarę normalnego życia. Umieć wybaczyć krzywdy, choć dzisiaj to pewnie przedwczesna kwestia. Przy takiej skali dramatu jest to wielkie i bardzo wymagające wyzwanie. Ważna rola przypada tu saletynom pracującym na Ukrainie, bo charyzmatem naszego zgromadzenia jest niesienie pojednania, do czego wzywa Matka Boża z La Salette. Jak przekonać kogoś, by przebaczył agresorom? Jak przekonać kobiety z traumami wynikającymi z tego, że zostały brutalnie zgwałcone, by przebaczyły same sobie? To zadanie dla psychologii czy nawet psychiatrii, ale skala traum jest taka, że bez głębokiego fundamentu wiary nie będzie łatwo to wszystko osiągnąć.

Do tego, jak wspomniał ksiądz w Dębowcu, jest także potrzebna wielka modlitwa. Za Ukrainę, o szybkie przerwanie działań wojennych, a także o nawrócenie agresorów, którzy sprowadzili tyle cierpienia, oraz za samych Ukraińców, by byli zdolni do przebaczenia napastnikom. Potrzebny jest przekaz wiary płynący do Ukraińców także z Polski, by łatwiej potrafili zrozumieć potrzebę przebaczenia.

Trzeba postawić tych ludzi na nogi. Bo nie da się funkcjonować w takim rozbiciu, w jakim znalazły się miliony Ukraińców w wyniku wojny. Zachodnia Ukraina bardzo się mobilizuje, jeżeli chodzi o modlitwę w intencji pokoju w kraju. Jest dużo inicjatyw w parafiach, gdzie ludzie gromadzą się na odmawianiu różańca w intencji pokoju. To są niby drobne rzeczy, ale od tego się zaczyna. To nie jest normalny obrazek na Ukrainie, kiedy w zwykły dzień przychodzi do kościoła wielu ludzi i modli się o pokój. A teraz takie obrazki obserwujemy.

Czyli następuje poruszenie duchowe?

Być może według staropolskiej zasady „jak trwoga, to do Boga". Ale jest to gleba, na której można zacząć budować coś pozytywnego.

eprasa.pl f3f299252a

Szyk bojowy na walną bitwę z PiS

Decyzja liderów opozycji, czy do wyborów iść w koalicji z jednolitą listą, czy raczej rozproszyć listy wyborcze, którą muszą podjąć w 2023 r., nie będzie wynikać z ich wiedzy i rozeznania sytuacji, ale z politycznej intuicji, a także z ich uprzedzeń, strachów i idiosynkrazji

JAN ROKITA

Koncept przedwyborczej centrolewicowej koalicji, jeszcze niedawno z żarliwością i podenerwowaniem forsowany przez Donalda Tuska, na razie spadł z porządku dziennego polskiej polityki. I być może już nań w ogóle nie powróci, jeśliby miało się okazać, że perspektywa przyszłorocznej utraty władzy przez PiS, borykające się z rosnącą nawałą przeciwności, będzie się okazywać coraz bardziej realistyczna. Bo też motywacja do forsowania przedwyborczej koalicji, a co za tym idzie – wspólnej listy wyborczej centrolewu, w takich okolicznościach praktycznie by wygasła. Jeśliby bowiem cztery partie centrolewu, czyli PO, Lewica, Polska 2050 i PSL, nabrały wiary we własne siły i własną zdolność przejęcia władzy, to szyk bojowy, w jakim ich armie miałyby maszerować po nieuchronne zwycięstwo, nie miałby już rozstrzygającego znaczenia. Na razie jednak ten warunek nie jest spełniony. Od dłuższego czasu panuje bowiem stan względnej i chwiejnej równowagi sił pomiędzy obozami władzy i opozycji. A prawdopodobieństwo sukcesu wyborczego jednej bądź drugiej strony od wielu miesięcy wygląda mniej więcej tak samo (o ile w ogóle w polityce polskiej, i to w dzisiejszym, tak niepewnym czasie, można racjonalnie oceniać prawdopodobieństwo rzeczy, które mają się zdarzyć za rok z kawałkiem).

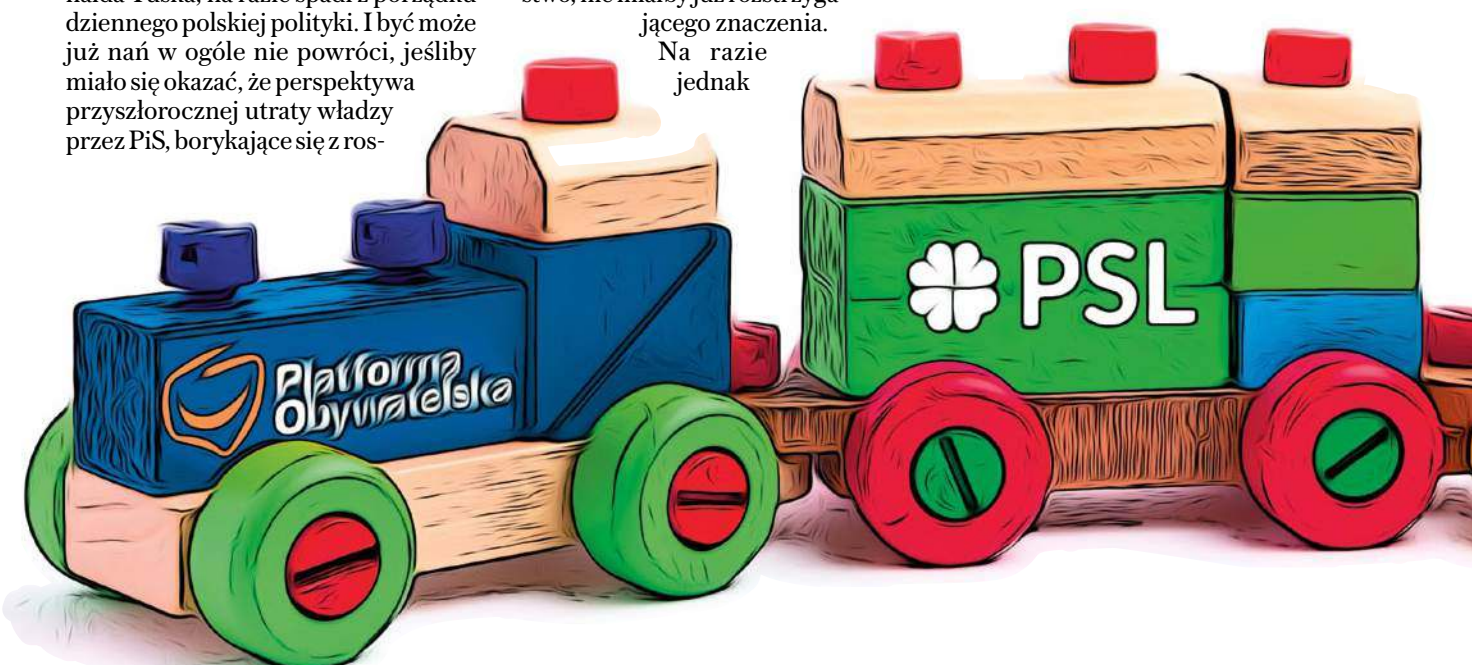

eprasa.pl f3f299252a

CO MÓWIĄ SONDAŻE

Jeśliby za kryterium przyjąć ton mediów kibicujących jednej bądź drugiej stronie sporu o władzę (a innych mediów już w Polsce nie ma), to szala wyraźnie przechyla się na rzecz mocniejszych szans PiS. W prawicowych mediach nie widać jak na razie zwątpienia w utrzymanie władzy po przyszłorocznych wyborach. A precedensowy lipcowy sondaż pracowni Kantar, pokazujący równowagę pomiędzy PiS i PO, jednak ze wskazaniem na Platformę, został w obozie władzy potraktowany jako nadużycie, niewarte w ogóle poważnego traktowania. Taki sygnał dał zresztą działaczom prawicy sam prezes PiS, określając ów bezpośredni (czyli robiony przez ankieterów chodzących od drzwi do drzwi) sondaż poważnej pracowni mianem produktu „jakiejś grupki, która funkcjonuje przy młodzieżówce PO".

Zupełnie inaczej rzeczy się mają w mediach centrolewu. Tam gazety i portale są pełne wątpliwości co do jakości opozycyjnej taktyki i umiejętności poszczególnych liderów partyjnych, nieustannie przestrzegając „swoich" polityków, iż nieszczęście trzeciego zwycięstwa wyborczego PiS wisi w powietrzu, a determinacja do walki z PiS ciągle jest niewystarczająca.

Tymczasem sondaże, jeśli traktować je w sposób racjonalny, czyli uśredniający wyniki, od dawna zdają się sugerować, że o tym, kto za rok weźmie władzę w Polsce, nie będzie wiadomo aż do ostatniej chwili. I nawet wieczorne exit polls, ogłaszane w telewizjach w dniu głosowania, tak zresztą jak to już bywało ostatnimi laty, choćby przy wyborach prezydenckich, mogą okazać się niedefinitywne.

Według uśrednionych sondaży, pokazywanych dla Polski przez portal Politico, w drugiej połowie lipca proporcje pomiędzy czterema głównymi partiami – PiS, PO, Lewica, Polska 2050 – wynosiły odpowiednio: 36, 28, 10, 10. A według podobnego uśrednionego rachunku, publikowanego w sieci na stronie e-wybory: 33, 26, 10, 10. Jeśli zważyć dwa oczywiste, ale zarazem kluczowe czynniki przeliczania w Polsce głosów na mandaty, czyli system D'Hondta oraz średniej wielkości okręgi wyborcze (od 2011 r. jest ich 41) – to żaden z tych dwóch obrazów sondażowych nie daje odpowiedzi na pytanie: kto za rok weźmie władzę?

Co nie bez znaczenia, taki stan rzeczy trwa już w sondażach od dawna, na przekór oczywistemu faktowi, że nawała przeciwności rośnie PiS każdego dnia, a rządzenie w warunkach wojny, inflacji, kryzysu energetycznego i globalnej bessy przypomina pasmo nieustannych udręk partii władzy. A skoro tak, to rozsądną rzeczą jest przypuszczać, że ów stan równowagi i nierozstrzygnięcia może się utrzymywać w ciągu następnego roku, być może aż do czasu wyborów.

WĘGIERSKA LEKCJA

Gdyby taka prognoza miała się nadal sprawdzać gdzieś w okolicy końca br., to jest jasne, iż w głównych partiach opozycyjnych musi nastąpić najpóźniej u początków 2023 r. nerwowy powrót do pytania o ustawienie w szyku bojowym do walnej bitwy z PiS. Wprawdzie Tusk nie zaklina już teraz innych opozycyjnych liderów, iżby w imię patriotyzmu zgodzili się na koalicję przedwyborczą z Platformą, i nie zapowiada, że pójdzie do nich po tę zgodę „na kolanach", to jego milczenie jest skutkiem nastania złej koniunktury dla tego postulatu.

Po pierwsze – cała trójka potencjalnych partnerów takiego układu stanęła Tuskowi okoniem, choć każdy w nieco inny sposób. Czarzasty miękko, argumentując, iż na decyzję jest jeszcze za wcześnie. Kosiniak twardo, kwestionując ogólnie polityczny sens jednolitego centrolewu. A Hołownia taktycznie, wykręcając się typowo populistycznymi sloganami (my zajmujemy się problemami ludzi, a nie jakąś tam brudną grą o listy wyborcze), ale zostawiając sobie na przyszłość pole manewru. Tusk połapał się, że dalej z koalicją przedwyborczą nic już nie ugra, więc musi chwilowo zdjąć kwestię ze swej agendy.

Po drugie – po stronie partii opozycyjnych powstał dodatkowy antykoalicyjny uraz po tym, jak taki właśnie koncept, zrealizowany

eprasa.pl f3f299252a

z wielkim wysiłkiem i równie wielką determinacją przez antyorbanowską opozycję na Węgrzech, poniósł spektakularne fiasko wyborcze. A partie węgierskiego centrolewu pogrążyły się po tej klęsce w rozliczeniach, żalach i animozjach, i to tym silniejszych, im więcej desperacji i poświęcenia wykazywały wcześniej dla idei koalicji i jednolitej listy. Dla samego Tuska musiało to być doświadczenie tym dotkliwsze, że osobiście zaangażował się w promowanie zjednoczenia węgierskiego centrolewu – jeździł na Węgry na wiece Márki-Zaya i stawiał tamtejsze partie za wzór partiom polskim jako przykład postawy patriotycznej, godnej naśladowania. Cała ta retoryka wzięła w łeb po węgierskich wyborach, toteż nie dziwota, że i z tej przyczyny Tusk postanowił dalej o sprawie milczeć.

Jeśli jednak coraz bardziej będzie wyglądać na to, iż w przyszłym roku kwestia władzy w Polsce może się omsknąć jakimś przypadkiem w tę albo w tamtą stronę, to przedwyborcze uszykowanie opozycji do bitwy z PiS stanie się znów rzeczą najwyższej wagi. Błąd popełniony na tym polu może być bowiem błędem na wagę klęski w walnej bitwie. A to przy kolejnej kadencji PiS musiałoby oznaczać głębokie wstrząsy w centrolewicowych partiach i katastrofę dalszych karier liderów z Tuskiem na czele. „Suwerennościowe" ambicje liderów i ich strach przed pochłonięciem przez Tuska to rzecz jedna, znana i dość oczywista. W końcu Czarzasty, Hołownia i Kosiniak nie byliby liderami partyjnymi, gdyby nie rozumowali w kategoriach partyjnych, czyli partykularnych. Partie są partiami i nikt w ludzkiej historii nie zmienił jeszcze ich natury. Ale prawdziwy kłopot owych liderów partyjnych, a jeszcze bardziej – ich doradców od taktyki wyborczej, tkwi w tym, że rachuba wyborczego interesu centrolewu jako całości jest i – co kluczowe – pozostanie aż do końca mocno nieoczywista.

CIEMNE LICZBY

Nie wiadomo bowiem tak naprawdę, co lepiej może posłużyć celowi odsunięcia PiS od władzy: czy koalicja przedwyborcza z jednolitą listą, czy raczej przyjazne rozproszenie list wyborczych ze swoistym „paktem o nieagresji" pomiędzy partiami centrolewu? Kluczowe dane, które trzeba by wziąć pod uwagę przy rozstrzygnięciu tego dylematu, pozostaną aż do dnia głosowania „ciemnymi liczbami". To, jak wielki zysk mandatów da zwycięzcy wyborów system D'Hondta i średniej wielkości okręgi, będzie zależeć od skali zjawiska tzw. głosów zmarnowanych. Czyli zarówno tych oddanych na listy niemieszczące się w skali kraju nad progiem 5 proc. (lub 8 proc. dla koalicji), jak i tych oddanych na kandydatów partii niełapiących się na mandat, zwłaszcza w mniejszych okręgach wyborczych. Krótko mówiąc, metoda D'Hondta może zadziałać różnie, tak jak np. w 1993 r., gdy zmarnowanych głosów było aż 35 proc., a premia zwycięskiego SLD gigantyczna. Albo tak jak w 2011 r., gdy przy 4 proc. zmarnowanych głosów Platforma utrzymywała władzę w zasadzie z niewielkim wpływem premii.

> Jeśli PiS coraz wyraźniej będzie zmierzać ku oddaniu władzy, to centrolewicowe partyjniactwo zapewne rozkwitnie jeszcze przed wyborami, a o żadnej koalicji przedwyborczej nie będzie w ogóle nawet mowy

Ale wszelkie kalkulacje idące w drugą stronę, czyli na rzecz list rozproszonych, tak jak chce np. PSL, też w końcu napotykają na „ciemną liczbę". Tym razem owa liczba dotyczy hipotetycznych przepływów wyborców, którzy inaczej głosowaliby w przypadku jednej listy centrolewu, a inaczej, jeśli centrolewicowe partie wystąpią na kilku listach wyborczych. Liderzy i doradcy wyborczy PSL zakładają, i jak się zdaje nie bez racji, że zawiązanie koalicji przedwyborczej musi się wiązać z jakimiś stratami elektoratu, który – powiedzmy – głosowałby na Lewicę, ale nienawidzi Tuska, albo poparłby umiarkowanych ludowców, jednak partyjna zajadłość Platformy budzi jego odrazę. Rzecz jednak w tym, że jednolity front antypisowski wytwarza zarazem dynamikę z całą pewnością przyciągającą również nowych wyborców, którzy albo uchyliliby się w innym wypadku od głosowania, albo oddali głos na mikropartie. A „ciemną liczbą" jest różnica pomiędzy liczebnością tych pierwszych i drugich.

Obu tych „ciemnych liczb" nijak się nie da z sobą zestawić, nawet dysponując najbardziej profesjonalnymi partyjnymi bazami danych oraz aparatem ekspertów od wyborów. Dlatego właśnie decyzja liderów partyjnych, którą muszą podjąć w 2023 r., nie będzie wynikać z ich wiedzy i rozeznania sytuacji, ale z politycznej intuicji, a także z ich uprzedzeń, strachów i idiosynkrazji. Jedyne, co daje się tu powiedzieć z pewnością, to tyle, iż premia z D'Hondta za wysoki wynik jest czymś bardziej pewnym i uchwytnym niezależnie od swej nieprzewidywalnej wielkości aniżeli cienka kalkulacja na przepływy elektoratu. Jeśli więc na początku przyszłego roku PiS okaże się silny i maszerujący po trzecią kadencję, strach po stronie liderów opozycji być może zmusi ich do powrotu do starego, jednolitofrontowego projektu Tuska. Jeśli utrzyma się stan obecnej, chwiejnej równowagi obu stron, to dyskusja o jednej liście zapewne rozgorzeje na nowo, ale jej wynik nie będzie oczywisty, albowiem strach przed klęską nie będzie wystarczająco dusił partyjnych kalkulacji na własny, partykularny sukces. A jeśli PiS za sprawą coraz to nowych dziejących się katastrof coraz wyraźniej będzie zmierzać ku oddaniu władzy, to centrolewicowe partyjniactwo zapewne rozkwitnie jeszcze przed wyborami, a o żadnej koalicji przedwyborczej nie będzie w ogóle nawet mowy. Raczej spodziewałbym się wtedy po partyjnych liderach nazbyt wczesnego dzielenia skóry na żywym i uganiającym jeszcze po lesie niedźwiedziu.

eprasa.pl f3f299252a

Wojna dmuchanych tygrysów

Hołownia i Kosiniak-Kamysz sądzą, że każdy z nich ogra partnera, a razem poradzą sobie z Tuskiem. Ale szef PO uważa, że ogra ich obu

STANISŁAW JANECKI

Fot. Andrzej Wiktor

Władysław Kosiniak-Kamysz został przez całą właściwie opozycję uznany za klucz do jej sukcesu lub klęski w wyborach parlamentarnych w 2023 r. Dlatego jest poddawany wielkiej operacji dmuchania ego. Nauczony doświadczeniem wspólnych rządów z Platformą Obywatelską w latach 2007–2015, gdy jako minister pracy i polityki społecznej (2011–2015) firmował najgorsze w społecznym odbiorze przedsięwzięcia rządu: podniesienie wieku emerytalnego (11 maja 2012 r.) i przejęcie 153,1 mld zł z OFE (3 lutego 2014 r.), Kosiniak-Kamysz jest nieufny wobec Donalda Tuska i PO. Dlatego opowiada się za dwoma blokami po stronie opozycji: PO z Lewicą i PSL (Koalicji Polskiej) z Polską 2050. Wychodzi z założenia, że ma większe polityczne doświadczenie niż Hołownia, więc uda mu się lidera Polski 2050 ograć. Przede wszystkim dlatego, że ma wciąż silne struktury w terenie i władzę w samorządach, więc może zaproponować ludziom Hołowni konfitury nawet wtedy, gdyby opozycja wybory przegrała. A do tego w Polsce 2050 uważa się jakikolwiek sojusz z KP (PSL) za mniej toksyczny niż związki z PO, która każdego koalicjanta chce pożreć albo zwasalizować.

PSL pod wodzą Kosiniaka-Kamysza chce się wzmocnić kosztem Polski 2050, a Hołownia kosztem PSL i obaj liderzy sądzą, że jeden przechytrzy drugiego, a nawet wykorzysta. Temu ma służyć pompowanie ego przywódcy, ale nie własnej, tylko sojuszniczej partii, bo i prezes PSL nie szczędzi pochwał liderowi Polski 2050. Hołownia chce tak napompować ego Kosiniaka-Kamysza jako przyszłego przywódcy całej opozycji, żeby pozwolił mu wykorzystać struktury PSL i zagwarantował posiadanie „prawdziwych" pieniędzy, a nie tylko ze zbiórek na stowarzyszenie (partia nie może prowadzić zbiórek publicznych). To ma być zawarte w ewentualnej umowie koalicyjnej, która może działać, nawet gdyby koalicja się rozleciała. Obie strony grają w trzy karty, udając, że chodzi o uczciwą grę i partnerskie zasady współpracy.

Tusk tylko się tym podchodom przygląda, licząc na to, że szybko balony zostaną przekłute, a gdy obie strony przyjmą do wiadomości, iż zostały ograne, przyjdą do niego po prośbie, uznając, że nie ma innego wyjścia jak szeroki sojusz. Tylko że będą wtedy słabsze i łatwiej da się je rozegrać oraz nimi manipulować. W jakimś stopniu

eprasa.pl f3f299252a

i w PSL, i w Polsce 2050 istnieje świadomość tego, jak gra Tusk i czym się kończą porozumienia z nim, ale do wyborów jest jeszcze dość czasu, żeby się łudzić, iż tym razem będzie inaczej.

GRY I ZABAWY DONALDA TUSKA

Doświadczenia innych partii opozycyjnych z Tuskiem są złe od niemal roku. Gdy 11 października 2021 r. na pl. Zamkowym w Warszawie Tusk zorganizował wiec poparcia dla Polski w Unii Europejskiej, nawet w takiej sprawie chciał się z kolegami pobawić. Przed manifestacją przewodniczący PO powiedział, że zapraszał na nią wszystkich liderów opozycyjnych partii. Potem się okazało, że najpierw zadzwonił do Hołowni, któremu obiecał, iż razem wystąpią na konferencji prasowej i zaproszą na manifestację. Ale zrobił to sam, stawiając Hołownię przed faktem dokonanym. Tusk spodziewał się, że Hołownia poinformuje Kosiniaka-Kamysza, iż umawiał się z przewodniczącym PO. To miało zasiać niepokój u prezesa PSL, że z jakiegoś powodu został pominięty. Gdy czas mijał, a wiadomości od Tuska nie było, Kosiniak-Kamysz uznał, że jest manipulowany i obrażany. Kiedy po długiej zwłoce Tusk wreszcie zadzwonił do Kosiniaka-Kamysz, ten nie odebrał, żeby nie było wrażenia, iż szef PO może z nim robić, co chce. Tym bardziej że dowiedział się, iż Tusk rozmawiał też wcześniej z Robertem Biedroniem. Potem prezes PSL uznał, że pojawienie się na manifestacji na pl. Zamkowym byłoby uznaniem przewagi Tuska, więc przekazał, że jest w Krakowie, a to za daleko, żeby dojechać na zgromadzenie.

W efekcie i Kosiniak-Kamysz, i Hołownia uznali, że nie dadzą się Tuskowi manipulować, więc na manifestacji się nie pojawili. A Tusk, tłumacząc swoje zachowanie, najzwyczajniej z liderów PSL i Polski 2050 zakpił: „[Szymon Hołownia] to była pierwsza osoba, którą poinformowałem i bardzo gorąco zaprosiłem. Miałem okazję rozmawiać z Robertem Biedroniem. Chyba ze względu na jakieś zebranie lider PSL Władysław Kosiniak-Kamysz nie znalazł czasu na odebranie telefonu i nie oddzwonił". Jeśli ktoś miał złudzenia, jak działa Tusk, to przestał jej mieć.

Kolejne swoje gierki z innymi liderami opozycji Tusk zademonstrował wiosną 2022 r. W marcu miała się odbyć konferencja o przyszłości Polski z udziałem liderów PO, PSL, Nowej Le-

eprasa.pl f3f299252a

wicy i Polski 2050. Przesunięto ją na czerwiec, uzasadniając to napaścią Rosji na Ukrainę. Ale 11 czerwca 2022 r. odbyło się tylko spotkanie organizacyjne, na którym ustalono, że debata nie odbędzie się także w tym terminie. Hołownia żałował, ale pocieszał, że wszyscy liderzy wyrazili gotowość i chęć uczestnictwa w takim wydarzeniu. Tyle tylko, że później zaczęły się kłopoty z terminami. A wreszcie pojawiły się poważne wątpliwości ze strony naszych partnerów dotyczące formuły. Hołownia widział debatę jako dyskusję merytoryczną różnych propozycji, które można położyć przed ludźmi. Problemem było to, że Tusk nie chciał niczego przed ludźmi kłaść. A potem zaczął rzucać różne pomysły, kompletnie tego nie uzgadniając z domniemanymi partnerami, np. 20-proc. podwyżki dla budżetówki czy czterodniowy tydzień pracy. Tę ostatnią propozycję Kosiniak-Kamysz skomentował jako hasło, które służy rywalizacji między Platformą a Lewicą. Prezes PSL uznał, że bez Rady Dialogu Społecznego, bez zapytania się pracowników i pracodawców i bez pokazania, w jaki sposób to ma być zrealizowane, to jest tylko hasło. Z kolei Hołownia powiedział: „Trudno zrozumieć cel dyskusji o czterodniowym tygodniu pracy w czasie, gdy ludzie robią wszystko, żeby móc więcej zarabiać". Liderzy PSL i Polski 2050 po raz kolejny przekonali się, jak się z Donaldem Tuskiem rozmawia w kwestiach programowych.

GDZIE DWÓCH SIĘ BIJE…

Obawiając się, że Tusk nie ma dobrych intencji, gdy mówi o wielkiej koalicji całej opozycji (na razie bez Konfederacji, ale Tusk zapewnia swoich kolegów w partii, że jego przyjaciel i obrońca Roman Giertych znajdzie sposób także na Konfederację), liderzy PSL i Polski 2050 zaczęli rozmawiać o współpracy między swoimi ugrupowaniami i prawić sobie komplementy, nawet jeśli przez pośredników.

„Potwierdzam, czuć chemię między Szymonem Hołownią a Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem. Ewidentnie widać, że mają podobne poglądy, są politykami z centrum, obaj też myślą o Polsce, a nie tylko i wyłącznie o swoich formacjach politycznych i o tym, żeby dominować na jednej liście. Rozmawiają z sobą, mają kontakt na kanwie osobistej" – mówi „Faktowi" rzecznik PSL, Miłosz Motyka. „Mogę potwierdzić, że panowie mają niezłe zrozumienie, ale trzeba pamiętać, że tak jak Szymon nie jest całym ruchem, tak w PSL są różne nurty i różni działacze. Władysław Kosiniak-Kamysz swoją sylwetką, doświadczeniem, wiekiem, pochodzeniem i wykształceniem niekoniecznie jest reprezentatywny dla całego ruchu ludowego. Między panami jest chemia, pozytywne odczucia, ale z tego nie należy wyciągać wniosków, że partie są skazane na alians" – ostrożniej mówił Michał Kobosko. „Na pewno Władek Kosiniak-Kamysz jest dobrym partnerem do rozmowy, ja go bardzo cenię jako szefa ugrupowania i dostrzegam wiele inicjatyw łączących, które PSL robi w Sejmie, a które są jego pomysłem" – stwierdziła Hanna Gill-Piątek, szefowa Koła Poselskiego Polska 2050. Sam Hołownia nadyma ego Kosiniaka-Kamysza, lansując go jako premiera w razie konstruktywnego wotum nieufności, i odwrotnie – Hołownia jest łudzony obietnicą bycia premierem po wyborach.

> Obie strony grają w trzy karty, udając, że chodzi o uczciwą grę i partnerskie zasady współpracy

Dla Szymona Hołowni ewentualny sojusz z PSL (formalnie z Koalicją Polską) niwelowałby największą słabość jego partii, czyli brak zaprawionych w bojach struktur i pieniędzy. Wprawdzie Kobosko (druga osoba w ugrupowaniu Hołowni) mówił 20 maja 2022 r.: „[tydzień wcześniej] zrobiliśmy konferencje prasowe w regionach, na których przedstawiliśmy pełnomocników ds. tworzenia struktur naszej partii we wszystkich okręgach wyborczych. Tworzymy partię, pracujemy nad listami wyborczymi i nazwiskami, które mają szansę na wybór", ale budowanie trwałych fundamentów partii w terenie to przedsięwzięcie na lata.

Dla PSL Polska 2050 mogłaby być tym, czym w 2019 r. był ruch Kukiz'15, tylko bardziej, gdyż Hołownia ma obecnie taką pozycję jak Kukiz w 2015 r., a nie w 2019 r. To ma zagwarantować wynik umożliwiający odgrywanie roli języczka u wagi po wyborach oraz zapewnić subwencję z budżetu państwa. Hołownia jako mniej doświadczony mógłby zostać ograny przede wszystkim przy podziale pieniędzy. Jak mówi polityk, który do Koalicji Polskiej trafił z PO (zaznaczając, że to czarny humor): „Partia Hołowni ma być nosicielem pasożyta, który się wzmocni jego kosztem, a potem w jakiś sposób wyroluje – jak to było z Pawłem Kukizem ok. 2020 r.". Wszelkie głosy w PSL, np. Marka Sawickiego czy Władysława Teofila Bartoszewskiego, o współpracy z PiS są odrzucane, żeby Hołownia nie podejrzewał PSL o obrotowość i przekazał swoje aktywa do wspólnego przedsięwzięcia. Chodzi przede wszystkim o atut świeżości i nieuczestniczenia w układach, w czym akurat PSL jest najbardziej doświadczone i na czym najwięcej skorzystało. Sceptycy wobec sojuszu Hołowni z Kosiniakiem-Kamyszem z PSL uważają, że już po wyborach lider Polski 2050 odciąłby się od PSL, żeby mieć atuty w ewentualnych przetargach z Tuskiem albo przygotowując grunt pod start w wyborach prezydenckich w 2025 r.

Widząc to wszystko Tusk zaczął manipulować oboma liderami, także przez życzliwych sobie ludzi w ich szeregach, żeby najpierw się zjednoczyli, a potem pokłócili i wybrali go jako mediatora, mentora i jedyne rozwiązanie. Na obecnym etapie podchodów Kosiniak-Kamysz i Hołownia są w dużym stopniu inspirowani i manipulowani przez Tuska, podczas gdy każdy z nich sądzi, że ogrywa partnera, a obaj ogrywają lidera PO.

eprasa.pl f3f299252a

Solidarna Polska przygotowała zmiany zaostrzające przepisy Kodeksu karnego dotyczące obrazy uczuć religijnych. Powodem jest rosnące poczucie zagrożenia ze względu na swoją przynależność religijną. Zakłócającym msze św. czy dopuszczającym się profanacji miejsc kultu nie trzeba będzie już udowadniać, że czynią to złośliwie. – Zostaną wprowadzone kryteria obiektywne, a nie subiektywne. Mniej będzie się liczyła opinia biegłych – mówi *Michał Wójcik*, minister, członek Rady Ministrów i wiceprezes Solidarnej Polski, w rozmowie z Maciejem Walaszczykiem

Nie cofajmy się pod presją lewicy

Od kilku tygodni Solidarna Polska zbiera podpisy pod projektem zmian w Kodeksie karnym pod hasłem „W obronie chrześcijan". Jak przebiega zbiórka? Komitet Inicjatywy Ustawodawczej ma trzy miesiące na złożenie ich w Sejmie.

Michał Wójcik: W związku z tym, że zjawisko ma delikatny charakter, na polecenie ministra sprawiedliwości, prokuratora generalnego Zbigniewa Ziobry przygotowano propozycje zmiany przepisów Kodeksu karnego pod nadzorem wiceministra Marcina Warchoła. Zbiórka idzie bardzo dobrze, jest duża otwartość wśród ludzi na tę inicjatywę. Do wielu z nich chyba dotarło przekonanie, że dość już tego cofania się pod presją np. środowisk lewicowych. Inicjatywa, którą zaproponowała Solidarna Polska, była oczekiwana przez ludzi, ponieważ odnosiło się wrażenie, że niczego nie można już powiedzieć i zrobić w obronie osób wierzących, obiektów kultu. Łatwo też narazić się na bezkarne szyderstwa i ataki za publiczne deklarowanie swoich przekonań religijnych. Należy to zmienić.

W 2014 r. prokuratura umorzyła dochodzenie w sprawie nagiego pseudoartysty, który sprofanował figurę

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl f3f299252a

Jezusa przybitego do krzyża. Prokurator stwierdził wtedy m.in., że takie przestępstwo należy do występków umyślnych, a ów „artysta" nie miał zamiaru obrazić katolików. Dlaczego tak się dzieje i czy taka interpretacja jest uzasadniona w świetle obecnie obowiązujących przepisów?

Cały problem polega na tym, jakie są znamiona czynu zabronionego. W kwestii związanej z art. 196 Kodeksu karnego znamiona są sformułowane tak bardzo ogólnikowo i nieostro, że kiedy dochodzi do rozstrzygania spraw, bardzo ciężko jest prokuratorom postawić komuś zarzuty, a potem skazać. Ma to często charakter czysto ocenny.

Podobnie jest w artykule 195 k.k. przy sformułowaniu: „złośliwe przeszkadzanie w wykonywaniu aktów religijnych".

Ale co oznacza „złośliwe" przy obrazie uczuć religijnych? To bardzo nieostre sformułowanie. Wiele takich spraw było umarzanych ze względu na to, że po powołaniu biegłego uznawano, że taki czyn nie wypełniał wystarczająco znamion czynu zabronionego. Dobrym przykładem takiego czynu jest naklejanie nalepek z wizerunkiem Matki Boskiej na toaletach. Dla mnie osobiście jest to rażące wdarcie się w sferę mojej wolności religijnej, z kolei niektórzy uważają, że tak nie jest. Przypisy są po prostu tak sformułowane, że pozwalają na daleko idącą ocenę. Podobnie jest z przypadkami umieszczania tęczowej aureoli na wizerunkach Maryi. Niestety, obecne przepisy pozostawiają daleko idącą swobodę w określaniu, czy nastąpiło naruszenie uczuć religijnych, czy nie.

Czyli prokuratorzy i sędziowie mają problem z dostrzeżeniem związku między takim manifestacyjnym szydzeniem z symboli religijnych a bezpośrednim doznaniem obrazy u ludzi wierzących? Winne są tylko przepisy dające możliwość dowolnej interpretacji?

Problem polega na tym, że od dawna doktryna postulowała zmianę tych przepisów, by te ocenne sformułowania zostały zastąpione przez kryteria, które będą miały charakter obiektywny. I coś takiego znajduje się w naszym projekcie.

Czy problemem jest też kwestia wykazania przez osobę zawiadamiającą bezpośredniego doznania obrazy?

Dlatego te znamiona są tak pojemne i nieostre, że trzeba je zastąpić i rozszerzyć na inne sformułowania. Dzisiaj przepis art. 195 k.k. brzmi: „Kto złośliwie przeszkadza publicznemu wykonywaniu aktu religijnego Kościoła lub innego związku wyznaniowego o uregulowanej sytuacji prawnej, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat dwóch". To przepis zbyt pojemny. Tymczasem w sądzie, żeby kogoś skazać, trzeba udowodnić winę i wypełnić znamiona przestępstwa. Dlatego często umarzano postępowania.

Ale czy problemem jest tylko ogólnikowość przepisów, czy brak woli do ścigania takich przestępstw? Może to kwestia podejścia, wrażliwości konkretnych prokuratorów czy sędziów, która powoduje, że te istniejące paragrafy są niewykorzystywane? W ub.r. prokuratura umorzyła postępowanie w sprawie znieważenia m.in. figury Chrystusa pod warszawskim kościołem św. Krzyża tęczową flagą. Śledczym nie udało się znaleźć sprawców, choć ujawniali się w internecie. Podobnie było po słynnych manifestacjach na Krakowskim Przedmieściu w sierpniu 2010 r., gdy protestujący przeciwko obecności krzyża przed Pałacem Prezydenckim przynieśli krzyż zrobiony z puszek po piwie, wznosili antyreligijne okrzyki. Były zdjęcia, filmy, a prokuratura nie wykryła sprawców.

Pan mnie pyta o wydarzenia, które były wiele lat temu. Wtedy nie odpowiadaliśmy za działalność prokuratury.

Ale pytałem też o zdarzenia z 2020 r. Czy po prostu to nie jest to również kwestia woli i wrażliwości prokuratorów, dla których to nie są ważne przestępstwa?

Mówię o przepisach, które są źle skonstruowane i należy je zmienić.

Wtedy będzie wszystkim łatwiej? Czującym się urażonymi np. profanacjami podczas Parad Równości czy przez różnych artystów, muzyków – dochodzić swoich praw, a śledczym ścigać takie sprawy z urzędu?

Na pewno tak, ponieważ zostaną wprowadzone kryteria obiektywne, a nie subiektywne. Mniej będzie się liczyła opinia biegłych. Jeżeli nie zrezygnujemy z tego znamienia, co to jest obraza uczuć religijnych, to będziemy musieli je w dalszym ciągu badać. Jeżeli sprecyzujemy rodzaje karalnych czynów, takich jak lżenie, wyszydzanie Kościoła albo związku wyznaniowego, jego dogmatów, obrzędów, a także publiczne znieważanie przedmiotu czci religijnej, to osoba dopuszczająca się takich czynów poniesie odpowiedzialność karną. W miejsce pojemnego sformułowania o obrazie uczuć religijnych wprowadza się bardzo skonkretyzowane znamiona przestępstwa. A tego dotąd nie było. Dlatego w naszym projekcie likwidujemy pojęcie złośliwego charakteru zachowania sprawcy. Co oznacza „złośliwe" w kontekście wykonywania konkretnego aktu religijnego? Musi być obiektywizacja odpowiedzialności. To sprawy bardzo delikatne. Jeśli ktoś korzysta ze swojej wolności, ale jednocześnie brutalnie wkracza w sferę naszej wolności, która jest bardzo osobista, musi ponieść odpowiedzialność. A tymczasem w ostatnim czasie często dochodziło do przerywania mszy św.

Czy to zjawisko narasta?

Tak.

Ile w ciągu roku jest w Polsce profanacji? Ile jest takich spraw, którymi zajmują się prokuratura i sądy?

Do prokuratury wpływa coraz więcej zawiadomień o obrazie uczuć religijnych (art. 196 k.k.). Z dostępnych danych wynika, że przestępstwa polegające na obrażaniu uczuć religijnych w ostatnich latach są popełniane częściej. W 2019 r. było 136 zawiadomień, w 2020 r. zaś 146. Polaków obrażają przeróżne rzeczy: krojenie tortów z podobizną papieża, konkursy jedzenia

eprasa.pl f3f299252a

kremówek na czas, deptanie Biblii. O ile w 2016 r. skierowano do sądów 10 aktów oskarżenia przeciwko sprawcom takich czynów, o tyle do 8 grudnia 2020 r. prokuratura skierowała 29 aktów oskarżenia związanych z obrazą uczuć religijnych. Z art. 196 k.k. w latach 2016–2018 prawomocnie skazano 29 osób, w tym 11 na karę grzywny, 10 na karę pozbawienia wolności, a 8 na karę jej ograniczenia. W 4 przypadkach odstąpiono od zawieszenia kary. W 2019 r. w sprawach dotyczących obrazy uczuć religijnych zapadły 4 nieprawomocne wyroki, a w pierwszym półroczu 2020 r. – 8. Spośród 8 skazanych w tym roku 2 osoby zostały skazane na karę grzywny, kolejne 2 na karę ograniczenia wolności, a 4 – na karę pozbawienia wolności bez zawieszenia.

Od jesieni 2020 r. było wiele takich incydentów. Skąd w pana ocenie nasilenie tego zjawiska?

To, co dzieje się w przestrzeni związanej z religijnością, bardzo często jest prowokowane przez polityków opozycyjnych. Takie incydenty, jak ataki na kościoły, przerywanie mszy świętych, zabawy naszymi symbolami religijnymi, dzieją się kosztem wolności przysługujących każdemu człowiekowi. Każdy ma prawo manifestować swoje poglądy, ale nie ma prawa brutalnie wkraczać w sferę naszej wolności.

Kiedy tak się dzieje?

Na przykład gdy ktoś przedstawia wizerunek Najświętszej Marii Panny w postaci kobiecej waginy, to brutalnie wkracza w obszar naszych uczuć religijnych. Nie może tak być, gdyż wtedy narusza on naszą wolność.

Mówił pan też o konieczności ochrony osób deklarujących swoje przekonania religijne, wyrażających opinie z nich wynikające, które mogą być narażone na brutalne ataki lub konsekwencje karne.

Nasz projekt porusza również ten problem. Są przecież okoliczności, które wyłączają bezprawność pewnych działań. W wielu krajach dochodziło do takich sytuacji, jak w przypadku pastora zielonoświątkowców w Szwecji, który został skazany za wypowiedź o homoseksualistach, czy niedawno w kanadyjskim Toronto, gdzie zatrzymano jednego z pastorów, który głosił, że Jezus umarł również za grzeszników, niezależnie od tego, czy są hetero-, czy homoseksualistami. W innym kraju przez rok trwało postępowanie wobec wydawcy broszury, która wyjaśniała chrześcijański pogląd na małżeństwo. I teraz jeżeli będę mówił, że małżeństwem jest związek kobiety i mężczyzny, to mówię coś, co jest zgodne z konstytucją i tym, jak jest pojmowane małżeństwo w chrześcijaństwie. Teraz wprowadzamy przepis, który jest kontratypem, który wyłącza bezprawność za wypowiedzi o charakterze religijnym. Musimy mieć więc swobodę wypowiedzi.

> Przestępstwa polegające na obrażaniu uczuć religijnych w ostatnich latach są popełniane częściej. W 2019 r. było 136 zawiadomień, w 2020 r. zaś 146. Polaków obrażają przeróżne rzeczy: krojenie tortów z podobizną papieża, konkursy jedzenia kremówek na czas

A czy karanie za lżenie lub wyszydzanie Kościoła albo związku wyznaniowego, jego dogmatów, obrzędów nie będzie obejmowało także satyry, kabaretu, publicystycznych, jadowitych polemik prasowych? Nie będzie kolidowało z konstytucyjnymi gwarancjami wolności słowa?

Raz jeszcze chciałem podkreślić, że rozmawiamy o rzeczach bardzo delikatnych, dotykających religijności, a więc osobistej sfery każdego człowieka, jego przeżyć, wrażliwości, relacji z Bogiem. Rozumiem, że ktoś w sposób artystyczny chce wyrażać swoje poglądy, wizje. Ale jeżeli przez sztukę obraża uczucia religijne, niszczy i profanuje religijne symbole, to podlega odpowiedzialności karnej. Tylko zgodnie z naszym projektem będzie to bardziej skonkretyzowane.

W pewnym momencie zderzają się z sobą z jednej strony bardzo ważna wolność osobista – wolność do wyrażania swoich poglądów, a z drugiej wolność wyznania, wolność religijna. Naszym zadaniem jest wyważyć i określić, kiedy ktoś, podejmując jakiś czyn, podlega odpowiedzialności karnej, a kiedy nie. Wszystko według zasady: nie mogę korzystać ze swojej wolności, wkraczając w cudzą wolność. Bo jest to zupełnie nieuprawnione.

Z pewnością jednoznacznym przykładem jest ostentacyjne niszczenie Biblii, tak jak było to w przypadku Adama „Nergala" Darskiego podczas jego koncertu.

Myślę, że przedmioty kultu religijnego należy szanować i nie odnosi się to tylko do katolików. Ale także judaizmu, islamu. Przepraszam, ale niszczenie przedmiotów kultu religijnego nie jest artyzmem czy sztuką.

Dla wszystkich chyba jest jasne, że były to celowe prowokacje, które miały być bolesnym uderzeniem. Ale w sądach pojawiało się uzasadnienie według zasady: chcącemu nie dzieje się krzywda. Więc jeśli ktoś nie chce, to niech nie ogląda i jeśli spodziewa się takich treści oraz obrazów, to niech ich unika.

Moim zdaniem przepisy, które – mam nadzieję – zostaną przyjęte, a wcześniej poparte podpisami ponad 100 tys. osób, będą skonkretyzowane, a dowolność interpretacji zostanie wyeliminowana. To było największym problemem przy rozstrzyganiu odpowiedzialności za tego rodzaju czyny.

eprasa.pl f3f299252a

W polskich sklepach nagle zabrakło cukru. Nie wiadomo dlaczego, skoro jego producenci zapewniają, że cukru w Polsce nie brakuje

Siewcy paniki

KONRAD KOŁODZIEJSKI

W ostatnich tygodniach związane z opozycją media zalewają nas doniesieniami o nadciągającej zapaści gospodarczej i nieuchronnej biedzie. Wzniecających panikę materiałów jest więcej niż informacji o rosyjskiej agresji, co można odczytywać w ten sposób, że to nie Kreml jest dziś największym zagrożeniem dla Polski, ale rządy PiS

Fot. shutterstock

eprasa.pl f3f299252a

W Polsce zabrakło podobno cukru. Piszę „podobno", bo wszyscy producenci zapewniają, że cukru nie brakuje. Co więcej, jego produkcja wzrosła – jak bowiem wynika z danych Związku Producentów Cukru – w sezonie 2021/2022 wyprodukowano ponad 2,3 mln ton cukru, podczas gdy rok wcześniej było to niespełna 2 mln ton. Większość producentów zapewnia też, że niemal całość produkcji idzie na rynek krajowy, zatem nie ma mowy o deficycie wynikającym z eksportu.

Tymczasem w wielu sklepach cukru na półkach nie ma. Niektóre sieci dyskontów wprowadziły nawet – nie do końca zgodnie z prawem – reglamentację, ograniczając sprzedaż do 10 kg na osobę. Oficjalnie w trosce o dobro klientów. Gdzie zatem przepadł cukier, którego ma być w Polsce pod dostatkiem?

TO NIE POWIDŁA

Oczywiście problemy można tłumaczyć zwiększonym zapotrzebowaniem na cukier, co jest związane z początkiem sezonu na przetwory owocowe. Jednak trudno zrozumieć, dlaczego akurat w tym roku nastąpił tak wielki boom na produkcję konfitur i powideł. Owszem, tuż obok naszych granic trwa konflikt zbrojny, ale to raczej mało prawdopodobne, że miliony Polaków zaczęły właśnie gromadzić wielkie zapasy na wojnę. A nawet jeśli byłoby w tym choć trochę prawdy, to przecież – jak wskazują dane – cukru w tym roku wyprodukowano więcej niż w poprzednim. Zatem dla każdego powinno go wystarczyć. Jeśli więc odrzucimy teorię o wojennych zapasach, to pozostanie nam jeszcze hipoteza wskazująca, że mamy do czynienia z celową spekulacją.

Podczas kryzysów często dochodzi do przeróżnych transferów finansowych, zwykle ze szkodą dla mniej zamożnych grup społecznych. Gdy większość ludzi biednieje, inni – bardziej cwani, wpływowi lub po prostu lepiej poinformowani – nabijają w tym samym czasie swoje portfele. Jeszcze inni – tak jak podczas obecnych wakacji w polskich kurortach – próbują sobie odbić wcześniejsze straty, podwyższając ceny znacznie powyżej rosnących kosztów. Ryzyko, że taki proceder wyjdzie na jaw i wywoła reakcję, jest stosunkowo małe, bo przecież zawsze o wszystko można obwinić kryzys i różne obiektywne trudności. One zresztą naprawdę dziś istnieją, ale przecież nie dotykają każdego w równym stopniu i nie tłumaczą tak dużej skali przepływów finansowych wewnątrz społeczeństwa.

W mediach pojawiło się kilka tropów wskazujących, że problemy z cukrem mogą być właśnie skutkiem działań spekulacyjnych. Wiadomo już, że cukier z tegorocznej produkcji będzie droższy od ubiegłorocznego, na co wpływ ma m.in. wywołany wojną wzrost cen paliw i nawozów sztucznych. Zapasy starego, tańszego cukru są jednak ciągle spore, co niespecjalnie cieszy różne hurtownie i sieci handlowe, które chciałyby już dziś na nim więcej zarabiać. Wywołano więc sztuczny deficyt i nakręcono panikę, by zeszłoroczny cukier szybko sprzedał się z zyskiem. Niektórzy sugerują wprost, że magazyny są wręcz pełne taniego cukru, którego sprzedaż jest celowo blokowana, by podbić jego cenę.

Sieci handlowe odrzucają te oskarżenia, obwiniając za wszystko hurtownie, które jakoby już teraz podwyższyły ceny, co zmusiło niewielkich producentów przetworów i słodyczy do zaopatrywania się – w ilościach hurtowych – w zwykłych sklepach. Żeby zapobiec brakom na półkach, sieci musiały więc wprowadzić reglamentację. Trudno jednoznacznie ocenić, ile w tym wszystkim jest prawdy, ale na pewno warto, by państwo bliżej zainteresowało się takimi doniesieniami.

> Antypisowcy wykorzystują każdą trudność, by przeciągnąć na swoją stronę uboższych Polaków, którymi zawsze pogardzali, ale bez których nie da się przecież sięgnąć po władzę w Polsce

SIŁA DEZINFOMACJI

Spekulacja, jeżeli do niej doszło, nie mogłaby jednak osiągnąć tak dużej skali, gdyby opinia publiczna nie ulegała tak łatwo panice, która jest już faktem niezaprzeczalnym. Ludzie pobudzeni sztucznie wzniesionym larum, że cukru nie ma, rzucili się do sklepów, by kupować dziesiątki kilogramów towaru. Przypomina to wcześniejszą, podobną sytuację z paliwami, gdy ustawiały się gigantyczne kolejki pod stacjami benzynowymi. Ci, którzy wtedy zatankowali swoje auta, sporo przepłacili, bo paliw nie brakowało, a ich podbite paniką ceny wkrótce spadły. Wówczas jednak można to było jakoś uzasadnić wybuchem wojny na Ukrainie i obawami co do najbliższej przyszłości. Tymczasem dziś trudno znaleźć jakiś racjonalny powód do robienia gigantycznych zapasów cukru.

Wszystko to nie nastraja optymistycznie, bo przypomina, że nasze społeczeństwo (podobnie zresztą jak i większość innych społeczeństw) bardzo łatwo ulega manipulacjom i dezinformacji. O ile w warunkach stabilnej sytuacji politycznej i międzynarodowej można to jakoś przeboleć, o tyle w obliczu rosyjskiej agresji może to wywołać potencjalnie groźne następstwa. Dobrze skonstruowana plotka, fejk wrzucony do internetu, który zdetonuje w samym środku społeczeństwa, potrafi wyrządzić nieobliczalne szkody. Nie twierdzę przy tym, że za cukrową paniką stoi Kreml, tutaj raczej ktoś chciał po prostu zarobić. Zwracam jednak uwagę, że Rosjanie uważnie przyglądają się zachowaniom społecznym i od dawna starają się destabilizować sytuację wewnętrzną w Polsce i innych państwach uznanych na Kremlu za wrogie. Na tym polega przecież wojna hybrydowa, którą Moskwa coraz bardziej intensyfikuje. Warto więc mieć się stale na baczności.

UŚMIECH LOSU

Cukrowa panika jest niepokojąca z jeszcze jednego powodu. Choć u jej podłoża, jak wiele na to wskazuje, znalazły się nieetyczne zachowania niektórych sieci handlowych lub

eprasa.pl f3f299252a

hurtowni, to natychmiast została ona wykorzystana do podgrzania wewnętrznej walki politycznej.

Antypisowska opozycja już dawno temu doszła do wniosku, że najlepszym, a być może jedynym sposobem na odsunięcie obecnej ekipy od władzy, jest kryzys gospodarczy, który uderzy w najbiedniejszych, a zatem w tych, którzy stanowią istotną część elektoratu PiS. I choć mimo wielu zaklęć ten wytęskniony kryzys wcale nie nadchodził, ciągle próbowano – zwłaszcza w zaprzyjaźnionych mediach – wmawiać opinii publicznej, że jest nieunikniony. Jego przyczyny miały być różne: od rozdawnictwa, którym ma być program 500+, po megalomanię, za którą uznano strategiczne inwestycje w rozwój państwa i jego bezpieczeństwo. Atakowano niemal wszystkie decyzje rządu, nawet w oczywisty sposób uzasadnione i racjonalne, jak choćby budowa muru na granicy z Białorusią lub gazociągu Baltic Pipe.

Należy więc przypuszczać, że pandemia i wybuch wojny na Ukrainie były uśmiechem losu dla antypisowskiej opozycji. Oto wreszcie spełniły się jej marzenia o grożącej nam wielkiej katastrofie. Co prawda, PiS nie doprowadził do pandemii ani nie wywołał wojny, ale skoro rządzi, to zawsze można obciążyć go odpowiedzialnością za skutki ogólnoświatowego kryzysu.

W ostatnich kilku tygodniach związane z opozycją media wręcz zostały zalane doniesieniami o zapaści gospodarczej, inflacji, drożyźnie i pogarszających się w związku z tym warunkach życia Polaków. Niektórych zamieszczonych w polskich mediach tekstów nie powstydziliby się nawet propagandyści Łukaszenki wypisujący brednie o kilometrowych kolejkach po kaszę gryczaną przed polskimi sklepami. Wzniecających panikę materiałów jest więcej niż informacji o rosyjskiej agresji, co można odczytywać w ten sposób, że to nie Kreml jest dziś największym zagrożeniem dla Polski, ale rządy PiS, które nie dają sobie jakoby rady z kryzysem. Trzeba więc je zmienić, by w Polsce się poprawiło. Wtedy Unia odblokuje obiecane miliardy euro z KPO i wszystkie problemy znikną.

To oczywiste kłamstwo, bo podstawowym warunkiem poprawy sytuacji jest zatrzymanie rosyjskiej agresji, a tego żaden rząd, zwłaszcza antypisowski i uległy Berlinowi, nigdy nie zagwarantuje. Mamy więc do czynienia z manipulacją i to potencjalnie groźną dla naszego bezpieczeństwa, bo odwracającą uwagę od ciągle realnego zagrożenia ze strony Moskwy.

NIEBEZPIECZNY STRACH

Opowieści o widmie gospodarczego krachu pod rządami PiS znalazły jednak wreszcie swoje uzasadnienie w obiektywnie pogarszających się warunkach życia. Lemingi, będące główną podporą elektoratu PO, są straszone inflacją, która wkrótce pożre ich pieniądze zgromadzone na kontach bankowych, oraz gwałtownie rosnącymi ratami kredytów zaciągniętymi w latach złudnej prosperity Tuska. Z kolei u uboższej części społeczeństwa, która nie ma ani oszczędności, ani kredytów do spłacenia, są podsycane obawy przed ogromnymi podwyżkami. O tym, że te działania są skuteczne, może choćby świadczyć wspomniana eksplozja irracjonalnego strachu przed brakiem cukru i pustymi półkami oraz stadny instynkt rzucenia się do sklepów. Problem z cukrem jest przy tym dość niewygodny wizerunkowo dla obecnej władzy, bo starsi pamiętają zapewne jeszcze, że od kartek na cukier zaczął się kryzys epoki Gierka. I ten strach mniej zamożnych Polaków przed biedą jest potencjalnie najbardziej niebezpieczny dla rządzącej ekipy Zjednoczonej Prawicy.

W lipcowym sondażu pracowni Kantar Public, słynnej z tego, że wyniki jej badań często premiują antypisowską opozycję, aż 71 proc. ankietowanych uznało, że sprawy w kraju podążają w złym kierunku. Zauważono też, że tak niskich wskazań nie było w Polsce od grudnia 2013 r., a jeśli chodzi o prognozy osobistej sytuacji materialnej badanych – od 2004 r. Z przytoczonego sondażu wynika również, że największymi pesymistami są wyborcy całej opozycji: począwszy od zwolenników PO, przez elektorat Lewicy i Polski 2050, na Konfederacji kończąc.

> Należy przypuszczać, że pandemia i wybuch wojny na Ukrainie były uśmiechem losu dla antypisowskiej opozycji. Oto wreszcie spełniły się jej marzenia o grożącej nam wielkiej katastrofie

Niestety, nie udało mi się znaleźć informacji na temat przyczyn tak negatywnych wskazań. Bo one dopiero dałyby do myślenia. Ważne jest przecież, kogo ankietowani obarczają winą za obecną sytuację. Wszystko jednak wskazuje na to, że punkt widzenia jak zwykle zależy od poglądów politycznych, a nie od realnej sytuacji ankietowanych. A zatem sondaż niewiele wnosi poza tym, że PiS znajduje się w rzekomej izolacji politycznej i społecznej, co zresztą dobrze współgra z obowiązującą narracją opozycji.

Niezależnie jednak od tego, jak zinterpretujemy podobne sondaże, są one dowodem realnego zaniepokojenia w społeczeństwie, które poważnie obawia się skutków kryzysu. Antypisowcy zręcznie pobudzają takie nastroje, manipulują i wykorzystują każdą trudność, by przeciągnąć na swoją stronę uboższych Polaków, którymi zawsze pogardzali, ale bez których poparcia lub choćby zneutralizowania nie da się sięgnąć po władzę w Polsce. W gruncie rzeczy jest to więc bitwa o elektorat PiS, a przynajmniej o jego socjalną część.

Kryzys szybko się nie skończy i warto to powiedzieć wprost. Może jednak skończyć się dla nas wszystkich bardzo źle, jeśli część Polaków będzie podejmowała decyzje o przyszłości swojego państwa pod wpływem celowo wywołanej paniki.

eprasa.pl f3f299252a

Naszą podstawą jest z jednej strony nowoczesne szkolenie, a z drugiej – tradycja w sercu. Będziemy więc bardzo mocno osadzeni w fundamentach sięgających powstania warszawskiego – mówi ***płk Marek Pietrzak***, dowódca powstającej 18. Stołecznej Brygady Obrony Terytorialnej, w rozmowie z Markiem Pyzą i Marcinem Wikłą

Obronimy Warszawę

Dlaczego powstaje warszawska brygada Wojsk Obrony Terytorialnej, jedyna operująca w konkretnym mieście? Będziecie jednostką przeznaczoną do obrony stolicy w przypadku jej zagrożenia?

Marek Pietrzak: Ambicją każdej z brygad obrony terytorialnej jest zaznaczenie własnej specyfiki. Stołeczna różni się od innych tym, że nie działa na terenie leśnym ani nawet mieszanym, tylko po prostu w mieście. Łączy się w tym kilka elementów, z których wypływają zadania do wykonania. Każdy zna historię Warszawy, tak ciężko doświadczonej podczas II wojny światowej, szczególnie podczas powstania warszawskiego, więc w oczywisty sposób będziemy się przygotowywali do walki w mieście i do jego obrony. Będziemy na to kładli szczególny nacisk.

Już pierwszego dnia ruszycie z rekrutami w miasto? Jak to będzie wyglądało w praktyce?

Na pewno nie stanie się to podczas 16-dniowego szkolenia podstawowego. Pierwszy rok (po dwa dni w miesiącu) to szkolenie indywidualne, a drugi – szkolenie specjalistyczne. Myślę więc, że ćwiczenia z walki w mieście mogłyby zacząć się od trzeciego roku szkolenia. Oczywiście pewne elementy będziemy przemycali wcześniej, tym bardziej że już mamy w WOT specjalistów w tej dziedzinie, np. dr. Pawła Makowca, wykładowcę Zakładu Obrony Terytorialnej z Akademii Wojsk Lądowych, autora książki o tym, jak Warszawa przygotowywała się do walki w 1944 r. Nie wszyscy wiedzą, że wywiad Armii Krajowej miał bardzo precyzyjne opracowania każdej z miejskich kamienic. Struktura budynku, grubość ścian i stropów, budulec drewniany lub betonowy – to wszystko miało znaczenie pod kątem ich przydatności do walki i obrony. Wiedziano, z których zabudowań zrobić szaniec, a które zburzyć, by powstała na ulicy barykada. Nie wiem, czy takie prace są dzisiaj prowadzone, ale podobne zadania widziałbym dla sekcji rozpoznania, którą buduję w strukturze brygady.

Od czego więc zacznie się to szkolenie?

Kolejnym filarem naszej misji jest tzw. urban search and rescue, czyli działania poszukiwawczo-ratownicze. W tym elemencie bardzo mocno łączą się aspekty kryzysowe w czasie pokoju z działaniem wojennym. Widzimy, jak Rosjanie niszczą ukraińskie miasta, mamy do czynienia z gruzowiskami, w których

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl f3f299252a

trzeba prowadzić wielkoskalowe operacje ratownicze. W takich sytuacjach zawsze będzie brakowało rąk do pracy. Z czasem będziemy też u nas rozwijać wykorzystanie psów, by te działania prowadzić jeszcze skuteczniej zarówno w czasie pokoju, jak i wojny.

Czy dla żołnierzy, którzy się do was zgłaszają, istotne jest, że będą służyli w stolicy?

Wniosek o utworzenie brygady warszawskiej został złożony na długo przed wybuchem wojny na Ukrainie. I o ile ten kontekst ma teraz wpływ na kształtowanie jednostki, to pomysł wziął się z czego innego. Właśnie z zapotrzebowania ochotników, którzy chcieli służyć w stolicy, a musieli jechać do Siedlec, Płocka, Pomiechówka albo Zegrza. Mieliśmy wtedy sporo sygnałów, że rekruci z Warszawy inaczej to sobie wyobrażali, bardzo częste były pytania o możliwość służby na miejscu, w ich mieście.

A jakie znaczenie ma w tym wszystkim historia Warszawy jako miasta bohaterskiego, bohatersko bronionego?

Od początku mówiłem, że podstawą 18 brygady WOT jest z jednej strony nowoczesne szkolenie, a z drugiej – tradycja w sercu. Będziemy więc bardzo mocno osadzeni w fundamentach sięgających powstania warszawskiego. Niedawno mieliśmy spotkanie z przedstawicielami Światowego Związku Żołnierzy AK grupy Kampinos, którzy już zabiegają o to, byśmy przejmowali ich tradycje. Podsyłają nam kandydatów na patronów. Mamy też propozycje z IPN oraz innych środowisk i – mówiąc z przymrużeniem oka – zaczyna nam się robić z tym kłopot. Procedura jest taka, że wyłonimy patrona na zebraniu żołnierskim, czyli niekoniecznie musi nim zostać kandydat, którego ja bym w tym miejscu widział [śmiech]. Nie wchodźmy jeszcze teraz w szczegóły i nazwiska, zapewniam, że wszyscy kandydaci, których teraz mamy, to są wspaniałe postacie, głównie związane w Warszawą i jej bohaterstwem, wybór nie będzie więc łatwy.

Rozmawiamy tuż przed 78. rocznicą wybuchu powstania warszawskiego, a brygada jest dopiero na początku formowania. Będzie was widać podczas tegorocznych uroczystości 1 sierpnia?

Mimo że jesteśmy na starcie, nie wyobrażam sobie byśmy nie zaistnieli. Skoro zostałem wyznaczony na dowódcę, to za punkt honoru stawiam sobie uczestnictwo brygady warszawskiej w takim stopniu, w jakim będzie to możliwe. Szybkim ruchem przenieśliśmy żołnierzy z innych mazowieckich brygad, którzy są warszawiakami, i z ich pomocą obstawimy część uroczystości. Ale muszę podkreślić, że tradycja jest konieczna, ona buduje, jednak nie może nas obciążać. Będę czuwał nad tym, by nie zachwiała się proporcja naszych obowiązków, np. wobec kombatantów i pomocy im, a efektywnym szkoleniem.

> Ambicją każdej z brygad obrony terytorialnej jest zaznaczenie własnej specyfiki. Stołeczna różni się od innych tym, że nie działa na terenie leśnym ani nawet mieszanym, tylko po prostu w mieście. W oczywisty sposób będziemy się przygotowywali do walki w mieście i do jego obrony

Waga obrony stolicy to jest coś wielkiego. Widzieliśmy, że Kijów z miejsca stał się celem rosyjskiego natarcia, na szczęście tego zadania nie zrealizowano. Z jakimi motywacjami zgłaszają się ludzie do warszawskiej brygady WOT?

Widać, że zainteresowanie jest naprawdę duże. Cieszy mnie to, że w zasadzie wszyscy w taki sam sposób rozumiemy terytorialność – jako konieczność bronienia własnego domu, w tym przypadku stolicy. Wiemy, kim z zawodu są nasi żołnierze, to widzimy w aplikacjach, ale o ich osobistych motywacjach porozmawiamy, gdy do nas przyjdą. Ta grupa, która zgłasza się jako pierwsza, to bez wątpienia ludzie, którzy mają patriotyzm w sercu i byliby gotowi bronić Warszawy do końca. Jednym z zadań postawionych nam przez ministra obrony narodowej jest budowanie etosu wojskowego na bazie historycznej, będziemy to robili we współpracy z Instytutem Pamięci Narodowej. A już dzisiaj mogę powiedzieć, że WOT to miejsce łączące profesje, które w codziennym życiu obok siebie nie mają okazji funkcjonować. Tutaj nauczyciel, kierowca czy księgowa staną się częścią jednej struktury. Naszym zadaniem jest czerpanie z doświadczenia bardzo różnych dziedzin.

W jakim tempie zapełnia się pana teczka z podaniami o przyjęcie do służby?

Miesiąc po wyznaczeniu mnie na dowódcę i tydzień po rozpoczęciu procesu rekrutacji zameldowano mi, że mamy już blisko 50 chętnych z 200, których będziemy mogli przyjąć na pierwsze 16-dniowe szkolenie podstawowe. Zrobimy je jeszcze w tym roku. To cel bardzo ambitny, ale takie są wymagania, więc im sprostamy. W zasadzie można by spokojnie wszystko przygotować i zrobić pierwsze szkolenie wiosną przyszłego roku, ale uznałem, że nie ma na co czekać. Tempo naszej pracy jest tak duże, żeby nie stracić zapału tych ludzi, którzy już się zgłosili. Wszystkie nasze działania, zamówienia, budowa miasteczka kontenerowego są podporządkowane jednemu terminowi. 15 października na bramie stanie 200 ochotników, wtedy musimy ich przyjąć. 30 października mamy pierwszą przysięgę.

Wcześniej był pan rzecznikiem Wojsk Obrony Terytorialnej, więc ma pan ogląd całości. Czy wśród kandydatów do WOT w stolicy, mieście specyficznym, innym od pozostałych, widzi pan jeszcze dokładniejszy przekrój społeczny?

W segregatorze z kandydaturami mam specjalną zakładkę dla osób nieco

eprasa.pl f3f299252a

odbiegających od standardu przeciętnego kandydata na żołnierza. Jest tu rzecznik prasowy jednej z centralnych instytucji państwowych, audytor z międzynarodowej korporacji z dyplomem MBA czy doświadczony fotograf. Członkini zarządu wielkiej spółki Skarbu Państwa wraz z małżonkiem piszą: „Prezes zwolnił nas z zadań mobilizacyjnych, w czym możemy panu pomóc?". W kolejnym mejlu czytam: „Pana emocjonalny wpis na kanale społecznościowym spowodował, że zainteresowałem się WOT. Widzę pana wielkie zaangażowanie w ten projekt, chciałbym zainteresować nim swoich pracowników". Zjeżdżam wzrokiem do podpisu: prezes firmy IT. Dzwoni pewien mężczyzna, słyszę: „Jestem menedżerem w jednym ze szklanych wieżowców w Warszawie, można powiedzieć, że jestem przedstawicielem korposzczurów. Chciałbym panu powiedzieć, że wśród nas też można rekrutować, są tu patrioci, którzy z potrzeby serca przyjdą do pana służyć. Stać nas na szkolenie w wykonaniu żołnierzy wojsk specjalnych, ale niezależnie od tego wielu z nas chętnie wstąpi do WOT". Kolejny telefon: „Jestem pracownikiem Metra Warszawskiego, mógłbym rekrutować u nas w firmie". Dziewczyna z Polskich Linii Kolejowych pisze, że i u nich są kandydaci, którzy będą składali aplikacje. Serce rośnie!

Będzie miał pan specjalistów w każdej dziedzinie. A pan Maciek, którego przed chwilą nam pan przedstawiał, będzie tworzył oddział do walki wręcz?

To utytułowany zawodnik MMA, kolejnym jest Paweł Jóźwiak, który u mnie będzie wuefistą. To niezwykle doświadczony gość, ma bogate dossier w walkach, mnóstwo zwycięstw, tytułów. Wyszkolił do MMA swoją córkę, która też jest już moim żołnierzem. Rzeczywiście robimy pewien projekt w porozumieniu z Legia Fight Club, a właściwie dwa. Za dużo jeszcze nie mogę o nich powiedzieć, musi wam na razie wystarczyć, że na bazie 18 brygady będziemy szkolić instruktorów walki wręcz w innych jednostkach OT. MMA przestało być podwórkową bijatyką, idzie za nim pewne przesłanie, patriotyzm, budowa umiejętności pracy w zespole, no i podnoszenie poziomu samej walki. Jeśli mamy chętnych do pomocy z tych środowisk, trzeba to wykorzystać.

Jak wojna wpłynęła na podejście Polaków do WOT? Coś w nas uruchomiła? Jest większy napływ chętnych do służby?

Na pewno. Po 24 lutego sporo było zapytań o samo przeszkolenie bez wiązania się z wojskiem. Pytali, czy u nas jest to możliwe. Odpowiadałem, że niestety nie. Gdy do nas przyjdziecie, przejdziecie szkolenie, ale potem musicie się z nami związać i podpisać kontrakt. Możecie go rozwiązać dowolnego dnia, ale co do zasady jesteście do nas przywiązani. Stajecie się żołnierzami służby czynnej z wszystkimi profitami i pewnymi wymaganiami. Wielu to nie zraziło i zgłosili się do służby.

> Miesiąc po wyznaczeniu mnie na dowódcę i tydzień po rozpoczęciu procesu rekrutacji zameldowano mi, że mamy już blisko 50 chętnych z 200, których będziemy mogli przyjąć na pierwsze 16-dniowe szkolenie podstawowe. Zrobimy je jeszcze w tym roku

Ukraińcy zaczęli budować obronę terytorialną nieco wcześniej od nas, bo w 2014 r., ale za to w dużo trudniejszych warunkach. Czy ich doświadczenia w tej kwestii mogą być dla nas pomocne?

Gościliśmy niedawno w Warszawie dwóch oficerów i jednego podoficera z kijowskiej 112 brygady obrony terytorialnej. Objechali kilka naszych jednostek, byli na spotkaniu w dowództwie. Zdali nam fajną relację z tego, jak się budowali, co może być cenne na wypadek podobnych zdarzeń u nas. My jesteśmy już dużo dalej, bo mamy stworzonych 15 brygad. U nich nagle przed bramą jednostki stanęło 2 tys. ochotników, a dosłownie kolejnego dnia budowali już barykady na ulicach Kijowa. My nie tworzymy jednostki pod lufami karabinów, lecz w czasie pokoju, gdy możemy to robić w miarę spokojnie. Owszem, narzuciłem sobie w miarę szybkie tempo, ale nie wynika ono z tego, że jakiś przeciwnik jest na granicy, lecz taki po prostu jestem. Ale na pewno część spośród tych, którzy stawią się u nas 15 października i rozpoczną szkolenie podstawowe, zrobi ten krok właśnie pod wpływem wydarzeń za naszą granicą.

A jaka jest dla Wojska Polskiego najważniejsza nauka z brutalnej lekcji zafundowanej Ukrainie przez Rosję?

Taka, że nie ma co odkładać na bok myślenia o tradycyjnych konfliktach, z którymi mieliśmy do czynienia dziesiątki lat temu. Okazuje się, że artyleria jest niesamowicie ważna. Dlatego nasz dowódca, gen. Wiesław Kukuła, zapowiada tworzenie oddziałów artyleryjskich ze sprzętem o większych kalibrach niż moździerze, które mamy na wyposażeniu. Poznaliśmy też w praktyce model działania Rosjan, odkryli przy tym swoje słabe strony.

Panu jako artylerzyście pewnie dobrze się tego słucha.

Oczywiście! Teraz nasza armia pięknie rozkwita i to mnie niesamowicie cieszy. Wywodzę się z artylerii, więc dostrzegam ten olbrzymi skok, który wykonała w tym obszarze nasza armia. I wykona, bo przecież właśnie podpisujemy umowy na dostawy i produkcję ponad 1 tys. czołgów i armatohaubic. To nie do przecenienia.

Zapadają się teraz pod ziemię ci, którzy snuli wizję cyberwojen, technologizacji konfliktów.

To prawda. Okazuje się, że miasta są miejscami kluczowymi, o nie toczą się najkrwawsze walki. Choć wyglądają nieco inaczej niż kilka dekad temu. Np.

eprasa.pl f3f299252a

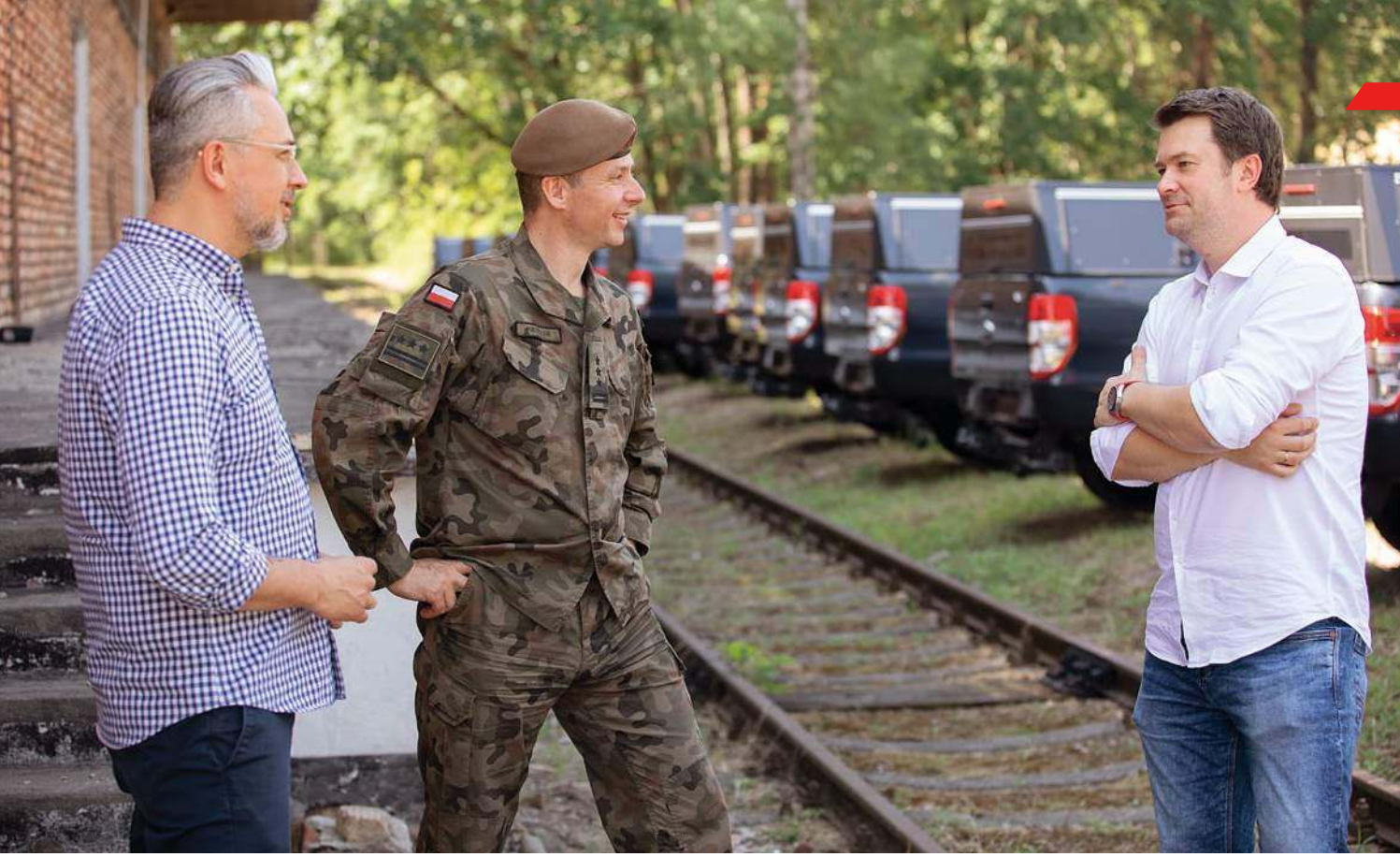

wielką rolę odgrywają bezzałogowce zapewniające bardzo dobry wgląd w bezpośrednią sytuację. Ukraińcy podkreślali, że dzięki dronom najkrótszego zasięgu mogli widzieć, co jest po drugiej stronie budynku, w ich najbliższym rejonie rażenia, nawet w zasięgu broni ręcznej. I dzięki temu mieli przewagę nad przeciwnikiem, który takich kompetencji nie miał, szedł na ślepo.

Ale zanim do takich sytuacji dochodzi, miasta są atakowane z odległości – artylerią lub z powietrza. Jaka w takim razie będzie rola SBOT w obronie stolicy, skoro przeciwnik będzie daleko, a wy nie będziecie dysponować sprzętem dosięgającym go?

Jeżeli przeciwnik nie podejdzie blisko, to znaczy, że wojska operacyjne zrealizują swoje zadania. Pamiętajmy, że moja brygada będzie tylko wycinkiem całego systemu. Wokół mamy 5 i 6 brygadę OT, które odpowiadają za całe Mazowsze.

Czyli będziecie rozwiązaniem na ten najczarniejszy scenariusz, gdy wróg już wchodzi do Warszawy?

Oczywiście, że tak. Spójrzmy na Ukrainę. Gdyby desanty, które próbowały zdobywać lotnisko Hostomel pod Kijowem, nie zostały zmiecione w zalążku, uchwyciły ten przyczółek i mogły tam wylądować siły zasadnicze, to wtedy sytuacja potoczyłaby się zupełnie inaczej. Na to musimy się przygotowywać. Na najczarniejszy scenariusz.

Jak duże jest niebezpieczeństwo, że ten konflikt dosięgnie i nas?

Nie mnie na to pytanie odpowiadać, nie jestem w sztabie generalnym. Mamy różne scenariusze, analizy, o których nie będziemy mówić głośno. Ale jeśli wsłuchają się panowie w wypowiedzi polityków, dowódców, ekspertów z think tanków, uważnie popatrzą na to, co dzieje się w tej chwili na Ukrainie, to wykreuje nam się pewien obraz. Sytuacja nie jest sielankowa. I dlatego musimy brać pod uwagę scenariusz najbardziej negatywny.

Od tego jest wojsko.

Właśnie. Jeżeli mamy wojnę za naszymi granicami, to – choć tego nie chcemy – musimy się przygotować do tego, że może ona rozlać się na nasze terytorium. I co wtedy? Jakie pytania usłyszymy, gdy okaże się, że wojsko nie było na to gotowe?

Jest pan zadowolony z tego, jak dziś, w odniesieniu do początku pana służby zawodowej, wyglądają możliwości Wojska Polskiego?

W 1996 r. poszedłem do szkoły oficerskiej w Toruniu. To były lata przemian pod każdym względem. Spotykałem oficerów z czasów słusznie minionych, ale szło nowe, zmienialiśmy kurs na zachodni, pierwsi oficerowie wyjeżdżali na zachodnie akademie wojskowe. Przez wiele lat miałem pod sobą żołnierzy służby zasadniczej i pamiętam te wszystkie wyzwania, ten nakazowy tryb służby.

A jaki miał być? To przecież armia!

Ale nie osiągnie ona sukcesu samymi rozkazami, nawet najmądrzejszymi. Zawsze dawałem dużo z siebie, dość ekspresyjnie podchodziłem do zadań, bardzo się w nie angażowałem. Dzięki temu otaczający mnie ludzie zarażali się tą energią i wszystko funkcjonowało. Ale jeśli pytaliście panowie o zasadnicze zmiany w wojsku, to one są właśnie tu. Zamiast zmuszać kogoś do służby, mamy coraz więcej ochotników o ogromnym potencjale. Przychodzą z potrzeby serca, poświęcają swój czas, trochę sprawy rodzinne, zawodowe, oferują armii swoje kwalifikacje zdobyte gdzieś indziej i angażują się na 100 proc. To jest ogromny kapitał Wojska Polskiego.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl f3f299252a

Dziś z samych tylko programów 500+ i Rodzinnego Kapitału Opiekuńczego rodzice mogą otrzymać od państwa 120 tys. zł na dziecko. Za rządów PO-PSL tych środków nie było

Fot. Andrzej Wiktor

Podatkowy iloraz rodzinny to ciekawa propozycja

Z Marleną Maląg, minister rodziny i polityki społecznej, rozmawia Dorota Łosiewicz

Środowiska wielodzietnych, np. Związek Dużych Rodzin Trzy Plus, postulują, by polityka prorodzinna w Polsce ewoluowała z charakteru świadczeniowego w kształt podatkowy. Czy to możliwe do osiągnięcia przed wyborami?

Marlena Maląg: Polityka prorodzinna naszego rządu nie ma jedynie charakteru świadczeniowego, choć oczywiście zdajemy sobie sprawę, że o tym zwykło się mówić najwięcej. Dzieje się tak dlatego, że rodziny doceniły troskę i zaangażowanie państwa. Rodzice wiedzą, że trud wychowania i utrzymania dziecka nie spoczywa jedynie na nich – dziś mogą liczyć na realne wsparcie państwa. I to bez względu na wyjątkowe, bezprecedensowe warunki, z którymi rząd mierzy się w ostatnich dwóch latach. W czasie pandemii przeznaczyliśmy ponad 200 mld zł na ratowanie przedsiębiorstw przed bankructwem, chroniąc blisko 8 mln Polaków przed bezrobociem. To właśnie dzięki temu dziś mamy jeden z najniższych poziomów bezrobocia w całej

eprasa.pl f3f299252a

Unii Europejskiej. Teraz zdecydowanie odpowiadamy na kolejne wyzwania, którymi są putinflacja i duża migracja obywateli Ukrainy spowodowana rosyjską agresją. W tym przypadku również podejmujemy zdecydowane, ale przemyślane działania, które mają zapewnić bezpieczeństwo polskim rodzinom – również w aspekcie ekonomicznym. Dlatego ani przez moment nawet nie rozważaliśmy wstrzymania wypłaty świadczeń rodzinnych. To kwestia zaufania. Rodziny mogą mieć pewność, że nikt im tych środków nie zabierze. Zarówno ja, jak i cały rząd możemy to zagwarantować. Ale polityka prorodzinna to również więcej żłobków czy ułatwienia w godzeniu życia rodzinnego i zawodowego. Szacujemy, że w sumie w tym roku na politykę prorodzinną przeznaczymy 85,8 mld zł. Choć właściwie lepiej byłoby powiedzieć, że zainwestujemy 85,8 mld zł, bo rodzina i dzieci, które się w niej rodzą, to nasza najlepsza inwestycja. Ta kwota oznacza niemal trzykrotny wzrost wydatków na rodzinę w porównaniu z 2014 r. To historyczna zmiana.

To jednak nie są zmiany w systemie podatkowym. Co z nimi?

System podatkowy również zmieniamy, tak by był on bardziej przyjazny rodzinom. Ważnym i społecznie oczekiwanym krokiem było zwiększenie kwoty wolnej do 30 tys. zł oraz obniżenie PIT z 17 proc. do 12 proc. dla osób na skali podatkowej. Warto również wspomnieć o podwyższeniu pierwszego progu podatkowego o 40 proc. z poziomu 85,5 tys. zł do 120 tys. zł. Te zmiany to również element szerszej tarczy antyinflacyjnej, która chroni budżety rodzin. Z kolei specjalnie z myślą o rodzinach wielodzietnych na początku roku wprowadziliśmy PIT-0 dla rodzin 4+. Tym programem są objęci rodzice wychowujący co najmniej czworo dzieci, niezależnie od tego, czy są zatrudnieni na etacie, czy są przedsiębiorcami, czy wychowują dzieci razem, czy są samotnymi rodzicami. Dzięki temu zdecydowana większość podatników, którzy wychowują co najmniej czworo dzieci, nie płaci PIT, a w portfelach rodzin realnie pozostaje więcej środków.

Niezwykle ciekawym i pożądanym rozwiązaniem wydaje się postulowane przez te środowiska wprowadzenie ilorazu rodzinnego. Mechanizm polega na tym, że można by się rozliczać wspólnie z dziećmi, nie tylko będąc samotnym rodzicem, ale także w przypadku małżeństwa. To znosiłoby podatkową dyskryminację małżeństw. Realna perspektywa? Postulaty wprowadzenia ilorazu pojawiały się także w Polskim Ładzie. Chodzi o to, by podstawa obliczania składki zdrowotnej była uzależniona nie od prostego dochodu podatnika, ale również od liczby osób pozostających na utrzymaniu w jego rodzinie. To rozwiązanie wydaje się sprawiedliwe.

To ciekawa propozycja, jednak wymagająca dogłębnych analiz. Skłaniamy się ku wszystkim rozwiązaniom, zwłaszcza dotyczącym prawa podatkowego, które będą przyjazne dla rodzin, stąd już wspomniane przeze mnie zmiany, które wprowadziliśmy w tym roku. Wielokrotnie udowodniliśmy, że wsparcie rodzin to priorytet naszego rządu. Dziś z samych tylko programów 500+ i Rodzinnego Kapitału Opiekuńczego rodzice mogą otrzymać od państwa 120 tys. zł na dziecko. Za rządów PO-PSL tych środków nie było.

W wyniku inflacji dziś to nie jest to samo 500 zł co w 2016 r. Czy będzie waloryzacja świadczenia 500+?

Wiem, jak ważny dla wielu rodzin jest to program i jak wiele zmienił. Jednak naszą politykę prorodzinną realizujemy systemowo, kierując nowe rozwiązania do tych obszarów, które najbardziej potrzebują wsparcia. Tak było np. z uruchomieniem Rodzinnego Kapitału Opiekuńczego i dofinansowań do żłobków. Rodzice małych dzieci potrzebowali większego wsparcia, dlatego zapewniliśmy im dodatkowe środki na każde drugie i kolejne dziecko między pierwszym i trzecim rokiem życia. Od tego roku mogą oni otrzymać miesięcznie nawet 500 zł przez dwa lata albo 1000 zł przez rok. Można więc powiedzieć, że ta grupa rodziców przez dwa lata otrzymuje niejako podwojone 500+. Jednocześnie uruchomiliśmy dodatkowe wsparcie dla rodziców jedynaków – te osoby mogą skorzystać z dofinansowania do pobytu dziecka w żłobku, klubie dziecięcym lub u dziennego opiekuna w wysokości nawet 400 zł miesięcznie. Niektórzy już nie pamiętają, że świadczenie 500+ także ewoluowało – początkowo otrzymywały je jedynie rodziny z co najmniej dwójką dzieci lub najuboższe. Później program został rozszerzony i obecnie każde dziecko może korzystać z tych środków na równych zasadach. Tak więc również w obszarze świadczeń finansowych cały czas proponujemy rodzinom nowe rozwiązania i odpowiadamy na bieżące potrzeby.

Wciąż słychać ze strony rodzin wielodzietnych, że wielką bolączką są kwestie mieszkaniowe, a rządowe programy za mało wychodzą naprzeciw tym potrzebom. Obecnie większość programów działa od strony popytowej (co powoduje wzrost cen), a nie podażowej.

Kwestie mieszkaniowe są bardzo ważne dla rodzin, wiemy, jak są istotne przy podejmowaniu decyzji o powiększaniu rodziny. Również w Strategii Demograficznej 2040 wskazujemy na konieczność działań, jeśli chodzi o siłę nabywczą młodych ludzi i zwiększenie podaży mieszkań. Ściśle współpracujemy z ministrem rozwoju i technologii Waldemarem Budą na rzecz rozwiązań wspierających młode małżeństwa i rodziny z dziećmi w zaspokojeniu potrzeb mieszkaniowych. I w tej kwestii przyjęty przez rząd kierunek działań jest zgodny z oczekiwaniami Polaków. W niedawnym badaniu CBOS Polacy wskazali, że państwo powinno przede wszystkim ułatwiać ludziom zakup mieszkań lub budowę domów, a dopiero w dalszej kolejności wspierać budowę mieszkań na wynajem w przystępnej cenie lub budownictwo komunalne. I nasze programy dokładnie odpowiadają na te oczekiwania. Już teraz udało się wypracować wiele ważnych i oczekiwanych rozwiązań, czego przykładem jest program „Mieszkanie bez wkładu własnego", ułatwiający uzyskanie kredytu hipotecznego i przewidujący częściową spłatę przy narodzeniu

eprasa.pl f3f299252a

kolejnych dzieci w rodzinie. Ważnym rozwiązaniem jest również ustawa zezwalająca na budowę domu jednorodzinnego do 70 mkw. jedynie na podstawie zgłoszenia. Dzięki niemu rodziny mogą zaoszczędzić nie tylko kilka tysięcy złotych, ale również wiele cennego czasu. Zamiast zajmować się biurokracją, mogą znacznie szybciej przystąpić do realizacji inwestycji.

A co z osobami, których nie stać na zakup mieszkania lub budowę domu?

Z myślą o tej grupie osób są realizowane np. Społeczne Inicjatywy Mieszkaniowe (SIM). To będzie przełomowe rozwiązanie w budowie mieszkań o umiarkowanym czynszu. Mieszkania z czasem będzie można wykupić na własność. Program ten realizujemy we współpracy z samorządami i wiem, że coraz więcej gmin zgłasza swoje zainteresowanie. Z kolei ci, którzy już wcześniej wzięli kredyty hipoteczne, dziś mogą skorzystać z wakacji kredytowych. To było bardzo potrzebne wsparcie, tym bardziej że wśród kredytobiorców znaczną część stanowią młode małżeństwa i rodziny z dziećmi. Niezbędne było podjęcie takich działań, które zabezpieczą rodziny przed utratą lokali mieszkalnych ze względu na brak możliwości spłaty znacznie powiększonych rat kredytu.

Jak zmienił się wizerunek rodzin wielodzietnych w Polsce w ostatnich latach? Czym rząd może się pochwalić, a nad czym warto wciąż pracować?

Rodziny wielodzietne przez lata były niedoceniane, a ich potrzeby niezauważane. Dlatego od samego początku naszych rządów tak duży nacisk kładliśmy na promowanie i wzmacnianie wartości, jaką jest rodzina. Stąd też zmiana nazwy resortu, którym obecnie kieruję – to był sygnał, że właśnie potrzeby rodzin będą wyznacznikiem kierunku naszych działań. Dziś już widzimy wyraźną, pozytywną zmianę w społecznym postrzeganiu wielodzietności. Oczywiście dużą rolę odegrały w tym nowe programy rodzinne, a także takie działania jak np. zachęcanie pracodawców do wspierania pracujących rodziców. To jest właśnie jeden z tych obszarów, który nadal chcemy rozwijać. W przyszłej nowelizacji Kodeksu pracy wprowadzimy rozwiązania ułatwiające obojgu rodzicom dzielenie się obowiązkami i wzmacniające ochronę ojców przed zwolnieniem. W innej nowelizacji, którą już teraz zajmuje się Sejm, regulujemy zasady pracy zdalnej. Taka forma pracy to także ciekawe rozwiązanie ułatwiające godzenie życia zawodowego z rodzinnym, co może przełożyć się na większą satysfakcję z wykonywanej pracy, a w konsekwencji na jej większą wydajność.

> Naszą politykę prorodzinną realizujemy systemowo, kierując nowe rozwiązania do tych obszarów, które najbardziej potrzebują wsparcia. Tak było np. z uruchomieniem Rodzinnego Kapitału Opiekuńczego i dofinansowań do żłobków

Jak bardzo wprowadzenie pracy zdalnej do Kodeksu pracy wpłynie na rynek pracy w Polsce?

Pandemia COVID-19 zrewolucjonizowała procesy gospodarcze, zmuszając do powstawania nowych rodzajów działalności gospodarczej, zmian modeli biznesowych, sposobu funkcjonowania firm, pracowników, systemów kształcenia. Nie tylko wsparcie finansowe, ale też umożliwienie świadczenia pracy w trybie zdalnym wprowadzone w ramach tarczy antykryzysowej pomogło zachować miejsca pracy. To właśnie dzięki temu rozwiązaniu w czasie lockdownu firmy mogły utrzymać ciągłość działań operacyjnych. Praca zdalna, która wcześniej była rzadkością, dziś w wielu sektorach stała się normą, dlatego zdecydowaliśmy się na jej wprowadzenie na stałe do porządku prawnego, implantując ją do Kodeksu pracy. Daje też ona szanse do podejmowania zatrudnienia przez osoby z niepełnosprawnością lub mieszkające na terenach ze słabą infrastrukturą. Dostrzegamy także potencjalne korzyści logistyczne związane z odblokowaniem coraz bardziej zatłoczonych centrów miast, gdzie pracownicy nie byliby zmuszani do nieraz wielogodzinnych i wielokilometrowych dojazdów i powrotów z pracy. Ten czas mogliby poświęcić na życie rodzinne.

W tej chwili mamy w Polsce najniższe po 1989 r. bezrobocie. Polska jest tu liderem wśród państw UE. Czy tych wyników nie popsuje napływ pracowników z Ukrainy?

Tak, polska jest liderem, jeśli chodzi o niskie bezrobocie, co potwierdzają zarówno dane krajowe, jak i europejskie. Stopa bezrobocia rejestrowanego w końcu czerwca wyniosła 4,9 proc. – o 0,2 proc. mniej niż miesiąc wcześniej. To oznacza, że bezrobocie w Polsce spada mimo napływu pracowników z Ukrainy. Obecnie pracodawcy wskazują na braki kadrowe w wielu branżach i potrzebę szukania pracowników poza krajem. W Polsce jest zatrudnionych już ponad milion cudzoziemców, z czego po 24 lutego pracę w Polsce znalazło 358 tys. obywateli Ukrainy – dzięki tym osobom wiele firm może nadal się rozwijać. Ci pracownicy płacą tu podatki i przyczyniają się do rozwoju gospodarki. Nasz rynek pracy wskutek interwencji rządu wykazał odporność na kryzys – dwa lata po wybuchu pandemii i mimo wojny za naszą wschodnią granicą w Polsce odnotowaliśmy właśnie najniższe bezrobocie od 32 lat. To konsekwencja dobrze zaplanowanych i monitorowanych działań rządu. Polacy mogą czuć się bezpiecznie, wiemy, jak skutecznie reagować na różne kryzysy. Udowodniliśmy to już niejednokrotnie.

Autopromocja

eprasa.pl f3f299252a

Poznaj najlepszych **polskich sportowców**

w dyscyplinach bardziej i mniej znanych:

- najważniejsze wydarzenia w karierze
- sukcesy na światowych arenach
- medale, puchary, nagrody
- pasje nie tylko sportowe

Czytaj na:

wPolityce.pl/sport

PARTNER CYKLU:

ORLEN

eprasa.pl f3f299252a

Konkurent Trumpa

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Kto będzie walczył dla republikanów o Biały Dom w 2024 r.? Były prezydent Donald Trump wciąż cieszy się największym poparciem, ale kontrkandydatów nie brakuje. Najbardziej obiecującym jest gubernator Florydy Ron DeSantis

eprasa.pl f3f299252a

Były prezydent USA Donald Trump przyzwyczaił się już do tego, że jest witany przez zwolenników republikanów niczym gwiazda rocka. Nie inaczej było 23 lipca w Tampie na Florydzie, gdzie enfant terrible amerykańskiej polityki przemawiał do ponad 5 tys. młodych konserwatywnych działaczy. „Dwa razy walczyłem o fotel prezydenta i dwa razy wygrałem!" – grzmiał Trump na tle gromkich oklasków. „Za drugim razem wypadłem nawet lepiej niż za pierwszym. Będziemy musieli to powtórzyć" – dodał, czyniąc po raz kolejny aluzję do swojego startu w wyborach prezydenckich w 2024 r., którego jak dotąd oficjalnie nie potwierdził. Bo zwycięstwo w 2020 r. zostało mu skradzione i za dwa lata nastąpi rewanż. Ale czy rzeczywiście tak będzie?

Dzień przed występem Trumpa ktoś inny był równie entuzjastycznie witany, tym razem przez konserwatywnych studentów, w Tampie – gubernator Florydy Ron DeSantis. Pytani przez Associated Press na obu wiecach młodzi ludzie, kogo wolą: Trumpa czy DeSantisa, nie potrafili dokonać jednoznacznego wyboru. „Szczerze mówiąc, to tak, jak być zmuszonym wybrać, które dziecko jest twoim ulubionym" – powiedział 19-letni Leo Milik z Barrington w stanie Illinois. Jego zdaniem obaj politycy mają swoje wady i zalety. Na razie skłania się ku Trumpowi. Na razie.

Gubernator Florydy staje się bowiem z każdy dniem popularniejszy. Trump oczywiście wciąż z nim wygrywa (oraz innymi republikańskimi pretendentami, takimi jak Mike Pence czy Nikki Haley) w każdym krajowym sondażu. Popiera go prawie połowa konserwatywnych wyborców (49 proc.), a DeSantisa jedna czwarta (25 proc.). Ale sondaże zrealizowane w poszczególnych stanach mówią coś zupełnie innego. W Michigan w sondażu „The Detroit News" DeSantis jest zaledwie 3 pp. za Trumpem (45 do 42), a w New Hampshire to gubernator Florydy prowadzi przewagą 2 pp. nad byłym prezydentem (jeszcze rok temu Trump miał nad nim przewagę 28 proc.). Nie wspominając o Florydzie, gdzie DeSantis wyprzedza Trumpa aż o 21 pp. W badaniu podczas czerwcowej, wpływowej konferencji Western Conservative Summit, zjazdu ponad 2 tys. republikańskich działaczy odbywającego się co roku na przedmieściach Denver, DeSantis wyprzedził byłego prezydenta o 4 pp. „Gwiazda Trumpa gaśnie. Powoli, bo powoli, ale jednak gaśnie" – twierdzi pismo „The New Yorker". A do wyborów pozostały jeszcze dwa lata.

ŻELAZNY KONSERWATYSTA

Nie da się ukryć, że gubernator Florydy stał się nadzieją dla tych w Partii Republikańskiej, którzy uważają, że Trump jest niegodny Białego Domu, oraz dla liberalnych mediów, które szczerze nienawidzą byłego prezydenta. „Wszystko lepsze niż Trump" – głoszą jednomyślnie media, takie jak „The New York Times" i konserwatywny „The National Enquirer". „Trump jest narcyzem. DeSantis ma dobrą etykę pracy, jest inteligentny i rozumie politykę. Przede wszystkim jest młody i zdyscyplinowany" – zachwyca się „New York Post".

Zarówno Trump, jak i DeSantis twierdzą, że kanalizują wściekłość elektoratu, który czuje się wyszydzany i odrzucany przez liberalny mainstream. Gubernator Florydy jest przy tym nie mniej, a może nawet bardziej konserwatywny niż Trump. W lutym, podczas występu na Conservative Political Action Conference (CPAC) w jednym z kurortów niedaleko Orlando, mówił o Ameryce atakowanej przez lewicowe elity. Jego zadaniem jako gubernatora, jak zaznaczył, jest zwalczanie krytycznej teorii rasowej w szkołach, niekontrolowanej imigracji, big techu, lewicowych oligarchów, prokuratorów finansowanych przez Sorosa, transpłciowych sportowców i mediów korporacyjnych. Jak dodał, stworzył na Florydzie cytadelę wolności, która stała się latarnią morską dla ludzi cierpiących pod rządami autorytarnymi. I choć DeSantis oficjalnie walczy tylko o reelekcję na stanowisko gubernatora w jesiennych wyborach, jego przemówienia brzmią tak, jakby miał na myśli całą Amerykę. „W takich czasach jak te nie ma substytutu dla odwagi" – mówił w Orlando. „Potrzebujemy ludzi w całym kraju, gotowych włożyć pełną zbroję Bożą" – dodał. Jak pisze „The New Yorker" DeSantis wydaje się stworzony do sukcesu.

Urodzony w 1978 r. polityk, który ma włoskie korzenie (jego pradziadkowie emigrowali na początku XX w. z Włoch do USA), dorastał w dzielnicy robotniczej w Dunedin na Florydzie, gdzie jego rodzice wciąż mieszkają w skromnym jednopiętrowym domku, którego trawnik zdobi amerykańska flaga. Jego ojciec pracował dla Nielsena (instalował mierniki oglądalności przy domowych odbiornikach), matka była pielęgniarką. Ronald Dion DeSantis uczęszczał do szkoły katolickiej, później studiował w Yale, gdzie grał w drużynie baseballowej, ukończył Harvard Law School, służył w wojsku (Navy Seals) w Iraku. Przez krótki czas pracował jako adwokat marynarki wojennej w Guantanamo. Później był zastępcą prokuratora Florydy i przez pięć lat zasiadał w Izbie Reprezentantów. Skromne początki uczyniły z niego polityka nad wyraz ambitnego. „Zawsze był skupiony i zmotywowany. Musiał pracować, by sfinansować studia" – powiedział jego ojciec w rozmowie z „The New Yorker". Był m.in. asystentem elektryka. W 2010 r. poślubił prezenterkę telewizyjną Casey Black. Para ma troje dzieci.

„Jest przystojny" – zaznaczył John Morgan, prawnik z Orlando, który pracował z DeSantisem. „Jego żona jest naprawdę ładna. Cała jego rodzina jest ładna. Wyglądają jak z katalogu" – dodał.

Gubernator Florydy sprzeciwia się aborcji i małżeństwom osób tej samej płci. Jest zwolennikiem kary śmierci i niskich podatków.

BARDZIEJ NIEBEZPIECZNY OD TRUMPA?

Gdy w 2018 r. startował w wyścigu o fotel gubernatora Florydy, otrzymał wsparcie od Trumpa. W spocie wyborczym występował wraz ze swoimi dziećmi – jedno z nich było ubrane w śpioszki z napisem „Make America Great Again". Razem budowali mur z klocków Lego, czyniąc aluzję do muru budowanego przez ówczesnego prezydenta na granicy z Meksykiem. Gdy został gubernatorem, natychmiast stał się przedmiotem krytyki liberalnych mediów. Przede wszystkim z powodu polityki sanitarnej. Lockdown na Florydzie trwał krótko, już na jesieni 2020 r. życie w stanie toczyło się tak jak przed pandemią COVID-19. DeSantis sprzeciwiał

Fot. Hunter Cranian/Shutterstock.com

eprasa.pl f3f299252a

się także obowiązkowi noszenia masek. Z tego powodu zyskał przydomek „DeathSantis". Mimo iż liczba zgonów w stanie była niższa niż gdzie indziej, szczególnie w porównaniu ze stanami rządzonymi przez demokratów. DeSantis ustanowił także specjalną grupę roboczą do monitorowania oszustw wyborczych oraz zaproponował zmiany w prawie dotyczącym głosowania listownego. To w tym głosowaniu – tak utrzymują republikanie – doszło do największej liczby nieprawidłowości podczas wyborów prezydenckich w 2020 r.

Na ruch Black Lives Matter gubernator zareagował ustawą o zwalczaniu zamieszek i zwiększeniem funduszy dla policji. Nie zgodził się także na wprowadzenie do programu szkolnego obowiązkowego nauczania tzw. krytycznej teorii rasowej. Na tym się jednak nie zatrzymał. W marcu br. podpisał dwie ustawy – pierwsza nazywana „Dont's Say Gay" (Nie mów „gej"), która ma ograniczyć dyskusję na temat tożsamości płciowej i orientacji seksualnej w szkołach podstawowych i przedszkolach. Druga pod nazwą „ustawa o wolności indywidualnej" i zwana „ustawą woke" ma uniemożliwić lewicową indoktrynację uczniów. „Nie pozwolimy na to, by dolary podatników z Florydy były wydawane na uczenie dzieci nienawiści do naszego kraju lub do siebie nawzajem" – podkreślił DeSantis w jednym z przemówień. W odpowiedzi oskarżono go o rasizm, seksizm, homofobię, autorytaryzm oraz pielęgnowanie kultu jednostki.

Zbyt wiele władzy zgromadził na Florydzie, tak twierdzi Rick Wilson, autor książki „Wszystko, czego dotyka Trump umiera" (Everything Trump Touches Dies). „On rządzi tak, jakby nie było stanowego kongresu, opozycji. To groźne" – utrzymuje Wilson. DeSantis krytyką się nie przejmuje. „To tylko szum" – wyznał w jednym z wywiadów.

A tego szumu wkrótce będzie zapewne więcej. Reelekcje na gubernatora ma bowiem w kieszeni – 56 proc. mieszkańców Florydy ocenia jego rządy pozytywnie. Zdaniem „The Washington Post" dlatego, że DeSantis jest mądrzejszy, młodszy i szczuplejszy od Trumpa, ale jest równie groźny, a nawet groźniejszy. Według gazety jako prezydent DeSantis ucieleśniałby „Trumpa 2.0" – bardziej kompetentną i nieobciążoną wersję, wydajniejszą, bardziej bezwzględną i zdolną do przeforsowania swojego programu. Ale mniej charyzmatyczną.

WYJŚĆ Z CIENIA

Ale tylko wtedy, jeśli uda mu się usamodzielnić i wyjść z cienia byłego prezydenta. „Może mu się to udać" – uważa redaktor naczelny konserwatywnego magazynu „National Review" Rich Lowry. W długim gościnnym komentarzu dla „The New York Times" Lowry napisał, że DeSantis ucieleśnia nową Partię Republikańską. „Nie cofnie on partii do okresu sprzed 2016 r., kiedy Trump nie był w niej jeszcze dominującym czynnikiem. Jednak zwiastuje on dla niej nową erę" – zaznaczył publicysta.

> Gubernator Florydy sprzeciwia się aborcji i małżeństwom osób tej samej płci. Jest zwolennikiem kary śmierci i niskich podatków

Gubernator Florydy podjął już pierwsze kroki, by odciąć się od Trumpa. Na pierwszym wiecu byłego prezydenta po przegranych wyborach w Sarasocie na Florydzie się nie pojawił – mimo iż Trump go osobiście zaprosił. W posiadłości byłego prezydenta w Mar-a-Lago na Florydzie pokazał się jak dotąd zaledwie kilka razy. W swojej obecnej kampanii na Florydzie DeSantis w ogóle nie ubiega się o wsparcie „teflonowego Dona". Gdy Trump czynił aluzję do startu w wyborach prezydenckich w 2024 r., De Santis ani otwarcie go nie wsparł, ani nie wykluczył własnego startu. Oficjalnie były prezydent w pełni popiera Rona, a on jego. Coraz częściej wyciekają jednak informacje do prasy, że Trump ma być poirytowany zachowaniem swojego protegowanego. Ma go denerwować to, że DeSantis nie chce otwarcie wykluczyć startu w republikańskich prawyborach, że zbudował sobie własną bazę wiernych fanów. I że okazuje niewdzięczność temu, kto umożliwił mu swoim poparciem pierwszą wygraną na Florydzie. To dzięki niemu – uważa Trump – DeSantis robi karierę.

Republikanie są podzieleni. Jedni chcą, by Trump po raz trzeci ubiegał się o fotel prezydencki, inni wolą DeSantisa w roli kandydata na najwyższy urząd w państwie. Trzecia frakcja marzy o wspólnym wyścigu Trump–DeSantis – gubernatora Florydy widzieliby w roli wiceprezydenta.

Demokraci także są podzieleni. Jedni woleliby ponowne stracie Trump–Biden niż zderzenie najstarszego prezydenta USA z młodym republikańskim wilkiem, nieobciążonym śledztwem w sprawie szturmu na Kapitol w styczniu 2021 r. Inni wskazują na zasługi DeSantisa, podkreślają, że przeznaczył znaczne fundusze na konserwację bagien na Florydzie, podwyższył płace w służbie publicznej, m.in. nauczycielom, i wypłacił premie ratownikom medycznym. Gdyby Biden miał przegrać wybory (jeśli wystartuje), to lepiej z DeSantisem niż Trumpem.

Gubernator Florydy ma w każdym razie poparcie działaczy GOP w swoim stanie. Wszędzie powiewają flagi z napisem „Make America Florida" (Uczyńmy z Ameryki Florydę). DeSantis ma także wypełnioną kasę kampanijną – udało mu się zebrać już 129 mln dol. od darczyńców, a to dopiero początek. Starczyłoby to na kampanię wyborczą na Florydzie i prawybory republikanów. Czy wystartuje przeciwko Trumpowi?

„Gdziekolwiek się nie pojawia – podkreśla »The Washington Post« – słyszy, że jest następnym w kolejce, naturalnym następcą. To nakręca jego ambicję i ego" – podkreśla gazeta. I dodaje, że zapewne nie boi się starcia z Trumpem. Ale wie także, że w przeciwieństwie do byłego prezydenta ma czas. „On ma zaledwie 43 lata i jeszcze długą polityczną drogę przed sobą. Jeśli uzna, że Trumpa nie da się teraz pokonać, zapewne odpuści sobie konfrontację" – czytamy.

eprasa.pl f3f299252a

SIECI

Dodatek z okazji 78. rocznicy wybuchu powstania warszawskiego

63 dni wolności

PARTNER MERYTORYCZNY

Muzeum Powstania Warszawskiego

PARTNERZY DODATKU

ORLEN

PKO Bank Polski

TOTALIZATOR SPORTOWY

eprasa.pl f3f299252a

Hitler i Putin są do siebie podobni

Z wolnością jest jak z powietrzem – gdy jej nie brakuje, nikt jej nie zauważa. Agresja Rosji na Ukrainę uświadomiła wielu osobom, że – mówiąc metaforycznie – możemy nagle zacząć się dusić

Z Janem Ołdakowskim, dyrektorem Muzeum Powstania Warszawskiego, rozmawia Marcin Wikło

Czy patrząc na ukraińskie miasta niszczone teraz przez rosyjskiego najeźdźcę, ma pan skojarzenia ze zburzoną przez Niemców w 1944 r. Warszawą? Czy takie porównanie jest w ogóle uprawnione?

Jan Ołdakowski: Gdy w serwisach informacyjnych są pokazywane zdjęcia zburzonych miast na Ukrainie, szczególnie te wykonane z dużej wysokości, to przez chwilę waham się, czy to przypadkiem nie jest nasz film „Miasto ruin". Tak samo wiosną 1945 r. wyglądała Warszawa widziana z samolotu lecącego nad stolicą Polski. Film jest dość wierną rekonstrukcją, zrobioną w technice animacji komputerowej. A zdjęcia z drona przelatującego np. nad Mariupolem nie są żadną rekonstrukcją. Gdy je oglądam, zawsze potrzebuję chwili, by się zastanowić, który z tych światów jest na ekranie.

Czyli „Miasto ruin" wraca jako materiał do porównań, bo teraz ta historia w pewnym sensie się powtarza?

Te skojarzenia są oczywiste. Po rosyjskim ataku zginęło mniej Ukraińców niż Polaków w czasie powstania warszawskiego, więc w tym sensie współczesna wojna jest wciąż mniej krwawa, ale ukraińskie miasta są niszczone tak samo metodycznie jak wówczas Warszawa.

Dlaczego dzieją się takie rzeczy? Dlaczego ktoś może mieć plan zniszczenia miasta?

To totalitarny plan mający na celu ukaranie przeciwnika – wypędzenie ludności cywilnej i zburzenie miasta. Hitler i Putin są w tym podobni.

Podobne są też grabieże, to działo się w Warszawie i dzieje się na Ukrainie.

W Warszawie ten plan był wyjątkowo perfidny. Szczególnie poruszył mnie fakt, że grupom, które rabowały naszą stolicę, polecono, by zabierały i wywoziły do Niemiec wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, ale oprócz rzeczy związanych z kulturą polską.

Te nie były cenne?

Były, ale czekał je inny los. Nawet jeśli to były dobre książki, obrazy czy rzeźby nawiązujące do polskości, miały być pozostawione albo zniszczone. Żeby nie stało się tak, że w Niemczech po latach gdzieś odnajdzie się np. świetny portret Piłsudskiego. Zabierano pościel, sztućce, publikacje – jeśli nie były po polsku. A wszystko to, co zawierało jakikolwiek polski motyw – pozostawiano na zniszczenie. Mam wrażenie, że ta grabież i to zniszczenie były wtedy jeszcze większe niż dzisiaj na Ukrainie.

W MPW na co dzień toczy się opowieść o wojnie. Czy było dla pana zaskoczeniem, że taki najazd jak wtedy na Polskę – z użyciem artylerii, czołgów i piechoty – wydarzy się jeszcze w dzisiejszym, bardzo skomputeryzowanym świecie?

Zawsze mieliśmy świadomość, że opowiadamy o wydarzeniach nieabstrakcyjnych. O wydarzeniach z przeszłości, ale takich, które mogą się powtórzyć. Wszędzie tam, gdzie rządzi dyktator, który ma totalitarny pomysł na podbój sąsiednich krajów, takie zagrożenie jest realne. Co prawda, rozum i emocje podpowiadały, że to jest niemożliwe, ale – jak widzimy – historia się nie skończyła. Francis Fukuyama w swoim eseju z 1989 r. jednak popełnił błąd. Rolą MPW jest także przygotowywanie polskiej elity, polskiej klasy politycznej do tego, żeby już żadne powstanie nigdy nie wybuchło. Polskie powstania zawsze są reakcją na pojawienie się obcego okupanta. Gdyby w Warszawie pojawiły się wrogie wojska, nie trzeba by było długo czekać, aż wybuchłoby przeciwko nim powstanie.

eprasa.pl f3f299252a

Fot. Andrzej Wiktor

Czy MPW pokazuje powstanie jako przestrogę, a także wskazówkę, by bronić polskich granic?

Gwarancja naszej suwerenności jest zarazem gwarancją tego, że powstania nie będą się powtarzały. Często mówię osobom, które są krytyczne wobec decyzji o wybuchu powstania warszawskiego, że walka nie rozgorzała pod wpływem nasilenia nastrojów insurekcyjnych, tylko z powodu obecności obcych sił.

Czyli Warszawa zaczęła walczyć nie pod wpływem impulsu, ale raczej w wyniku procesu. Jak on przebiegał? Co ostatecznie przeważyło o wybuchu powstania?

Wnioski, które za chwilę przytoczę, wynikają z rozmów m.in. z Janem Nowakiem-Jeziorańskim. Polska jako wspólnota polityczna zdecydowała o wznieceniu powstania warszawskiego, czyli przeciwstawieniu się niemieckiej okupacji, już 27 września 1939 r., w dniu, w którym powołano Polskie Państwo Podziemne. Celem tej struktury było przejęcie władzy w Polsce wyzwolonej własnymi siłami. Na okupowanym terenie mogło się to stać tylko za pomocą zbrojnego wystąpienia, powstania, które rozleje się na cały kraj.

Mówimy nawet dzisiaj o 63 dniach wolności Polski w czasie powstania.

Bo to prawda. Ujawniła się wówczas wolna Rzeczpospolita. Nie miała numeru, ale gdyby powstanie się powiodło, zapewne już od tego momentu mówilibyśmy o III RP. Wolna Polska miała swoje władze, struktury, rytuały. Zaczęła funkcjonować Krajowa Rada Ministrów, ogłaszano akty prawne, ukazały się dwa Dzienniki Ustaw.

Była jakaś alternatywa?

Na pewno nie było możliwości, żebyśmy działali razem z Niemcami. Z dwóch powodów. Po pierwsze, założyliśmy, że do własnej niepodległości dojdziemy w inny sposób, a po drugie, Niemcy nie byli zainteresowani jakąkolwiek współpracą z nami na zasadzie partnerstwa. Mogli nas co najwyżej traktować jako nieco lepszych podludzi potrzebnych do obsługi III Rzeszy. To był kolejny element procesu dochodzenia do decyzji o wybuchu powstania. Jest jeszcze jedna kwestia, bardzo ludzka – mówił o tym Jan Nowak-Jeziorański. On przybył do Polski, żeby powiedzieć: „Nie róbcie powstania, bo nikt wam nie pomoże". Był o tym przekonany, naprawdę tak uważał. Jednak zobaczył tutaj ludzi, którzy ryzykują życie, by jego kurierska misja się powiodła. Zobaczył też, po kilku latach nieobecności, okupowaną stolicę. Dotarło do niego wówczas, że nie można powstania nie zrobić, że nie da się po pięciu latach budowania struktur oporu powiedzieć: „Słuchajcie, to my pozwolimy Niemcom się wycofać, niech tu wejdą Sowieci, a my będziemy na to patrzeć". Bo to by to pokolenie zniszczyło.

Czyli jednak były w tym emocje.

Moja babcia poszła do powstania jako osoba dojrzała, 36-letnia. Ona nie zastanawiała się nad skutkami, nie kalkulowała, że na pewno Polacy odniosą zwycięstwo. Powiedziała mi, że poszła z powodów moralnych. Przeciwko złu. Ujęła to w nieco inne słowa, ale dla niej okupacja niemiecka była wcielonym złem. Nawet na poziomie metafizycznym, religijnym. I powstańcy chcieli to zło odrzucić.

Prof. Barbara Otwinowska powiedziała kiedyś, że w rozmowach między sobą oni nawet nie nazywali tego „patriotyzmem". Po prostu robili to, co uważali za słuszne?

I nie przychodziło im do głowy, że można zachować się inaczej. Nie było dyskusji o zachowaniu dobrym lub złym. To było oczywiste.

Przez dłuższy czas żyliśmy w czasie pokoju, przynajmniej w naszej części świata. Opowieść o wojnie była więc, szczególnie dla młodszych osób, nieco abstrakcyjna. Czy teraz to się zmieniło?

Motto Muzeum Powstania Warszawskiego jest zaczerpnięte ze słów Jana Stanisława „Sobola" Jankowskiego, delegata rządu na kraj, wicepremiera, który tak tłumaczył swój udział w powstaniu: „Chcieliśmy być wolni i wolność sobie zawdzięczać". A z wolnością jest jak z powietrzem – gdy jej nie brakuje, nikt jej nie zauważa. Dzisiejsi 30-latkowie nie pamiętają czasów, w których wolności nie było, nie wiedzą więc też, że może jej nie być. Agresja Rosji na Ukrainę uświadomiła wielu osobom, że – mówiąc metaforycznie – możemy nagle zacząć się dusić. Wojna jest bowiem załamaniem się wszystkiego. O tym dotychczas młodzi ludzie nie myśleli wcale.

eprasa.pl f3f299252a

Czym więc była dla nich wolność?

Na przykład swobodnym dostępem do nielimitowanego internetu. W tzw. dobrych czasach, gdy nie mieli powodu, by myśleć o naprawdę strasznych rzeczach, zabranie im tego oznaczałoby katastrofę. I nagle wybucha wojna, a wraz z nią pojawia się świadomość, że może być dużo, dużo gorzej. Dostęp do internetu okazuje się na końcu potrzeb w sytuacji, gdy może być zagrożone miejsce, w którym mieszkamy, czy życie nasze i naszych bliskich. Mam więc nadzieję, że ta wojna, która dotyczy nas tylko pośrednio, uświadomi młodym Polakom wartość wolności. Opowieść prezentowana w MPW jest uniwersalna, a jej puentą ma być stwierdzenie, że jeżeli wolność będzie zagrożona, to należy jej bronić. Nawet z bronią w ręku, na barykadzie.

Dzisiejszą wojnę w sporej części oglądamy na żywo w internecie. Jak świat dowiadywał się o tym, że w 1944 r. Warszawa walczy. Jakim echem się to niosło?

To jest ciekawe zagadnienie, bo nierzadko informacje rozchodziły się w miejscach nieoczywistych. Powstańcze radiostacje Błyskawica nadawały codzienne audycje odbierane nawet w Wielkiej Brytanii. Przykładowo powstanie warszawskie bardzo przeżywała Ameryka Południowa. Oczywiście aktywne były środowiska polonijne w Stanach Zjednoczonych czy w Wielkiej Brytanii. Sprawdziliśmy też, co na ten temat mówiły media związane z Sowietami – oni ekscytowali się tym, że 1 sierpnia 1944 r. Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego przeniósł się z Chełma do Lublina. O walczącej Warszawie ani słowa, a to odległość zaledwie 150 km. W czasie PRL zrobiono wiele, by powstanie warszawskie wyciąć z dyskursu publicznego – to się zaczęło od razu po wojnie, nawet podczas procesów norymberskich mordy na warszawiakach nie stanowiły osobnego punktu aktu oskarżenia przeciwko niemieckim dowódcom.

Czy to dlatego żaden zbrodniarz nie został rozliczony np. za rzeź Woli, czyli bezprecedensową zbrodnię na ludności cywilnej?

Wraz z Instytutem Pileckiego przygotowujemy ważną wystawę „Wola 1944: Wymazywanie". Pokażemy na niej nieznane dotąd materiały odnalezione przez Hannę Nowak-Radziejowską z berlińskiego oddziału instytutu. To m.in. materiały z wizji lokalnych, które miały posłużyć do osądzenia jednego z dwóch głównych zbrodniarzy. Miały, bo – jak wiadomo – były to działania nieskuteczne. Heinz Reinefarth nigdy nie poniósł odpowiedzialności, m.in. dlatego, że nic w tej sprawie nie zrobiły władze PRL. Po wojnie był mecenasem, posłem landtagu, burmistrzem miasta Westerland na wyspie Sylt, w jednej z najbogatszych gmin w Niemczech. Wiódł spokojne i dostatnie życie.

> Opowieść prezentowana w MPW jest uniwersalna, a jej puentą ma być stwierdzenie, że jeżeli wolność będzie zagrożona, to należy jej bronić. Nawet z bronią w ręku, na barykadzie

Czego ma uczyć ta wystawa?

Decyzja o organizacji ekspozycji zapadła już po rosyjskiej agresji. Wystawa ukazuje przebieg wydarzeń na Woli na początku sierpnia 1944 r. z perspektywy mieszkańców dzielnicy – będzie można zobaczyć rzeczy osobiste ofiar, a także świadectwa ocalonych. Przypominamy o tragedii tysięcy rodzin. Ale przesłanie wystawy jest jeszcze bardziej uniwersalne. Chcemy za jej pomocą podkreślić, że gdy są popełniane takie zbrodnie jak teraz w Buczy, Irpieniu czy Borodziance, trzeba zrobić wszystko, by dokumentować wydarzenia, zbierać relacje świadków i gromadzić materiał dowodowy. Bo tylko w ten sposób możemy doprowadzić do osądzenia zbrodniarzy. W imieniu ludzkości trzeba dopaść tych, którzy mordowali dzieci i kobiety, którzy dopuszczali się tych wszystkich okropności tylko dlatego, że Władimir Putin ma inny pomysł na współczesną Ukrainę niż ona sama. Władze PRL nie zajmowały się zbieraniem relacji i dokumentowaniem rzezi Woli. Podobny los spotkał inne ofiary Niemców. Efekt jest taki, że do dziś zidentyfikowaliśmy ok. 50 tys. ofiar cywilnych powstania warszawskiego, a nic nie wiemy o 70–100 tys. zamordowanych warszawiakach. Nie znamy nawet ich nazwisk – wykreślono ich, wymazano. W tym punkcie ludobójczy plan Hitlera się powiódł.

Wraca temat reparacji, których Polska będzie domagała się od Niemiec. 1 września mamy poznać pierwszą część raportu o stratach wojennych. Badania wskazują, że rośnie w Polakach poczucie, że powinniśmy domagać się od Berlina zapłaty. Jakie jest pańskie zdanie?

Pierwszy z tym tematem skonfrontował się Lech Kaczyński, który jako prezydent Warszawy powołał zespół do spraw oszacowania strat wojennych stolicy Polski. Pracami zespołu kierował obecny dyrektor Zamku Królewskiego w Warszawie prof. Wojciech Fałkowski. Było to pierwsze omówienie tematu na forum publicznym i pierwsza próba oceny tego, co straciliśmy. A przecież w przypadku Warszawy nie chodzi tylko o przypadkowo zburzone budynki po ostrzale artyleryjskim. Miasto było niszczone celowo. Ze zdjęć lotniczych, które pozyskaliśmy ze Stanów Zjednoczonych, wynika, że jeszcze 28 grudnia 1944 r. wysadzano Pałac Saski, pałac Brühla i pomnik księcia Józefa Poniatowskiego. Cenne, symboliczne zabytki i miejsca bliskie polskiemu sercu. Działo się to prawie trzy miesiące po upadku powstania, tuż przed wkroczeniem do miasta Sowietów. To było robione z nienawiści i za to ktoś powinien zapłacić. Jeśli ktoś dzisiaj głosi pogląd, że nie należy obciążać Niemiec, czyli spadkobiercy państwa, które 78 lat temu przeprowadziło w Polsce anihilację miasta i jego mieszkańców, to ja ten pogląd uważam za dziwaczny.

Reklama | 48/0422/F

eprasa.pl f3f299252a

PAMIĘĆ, HISTORIA, TRADYCJA

Dbamy o tożsamość narodową
i wspólne dziedzictwo.

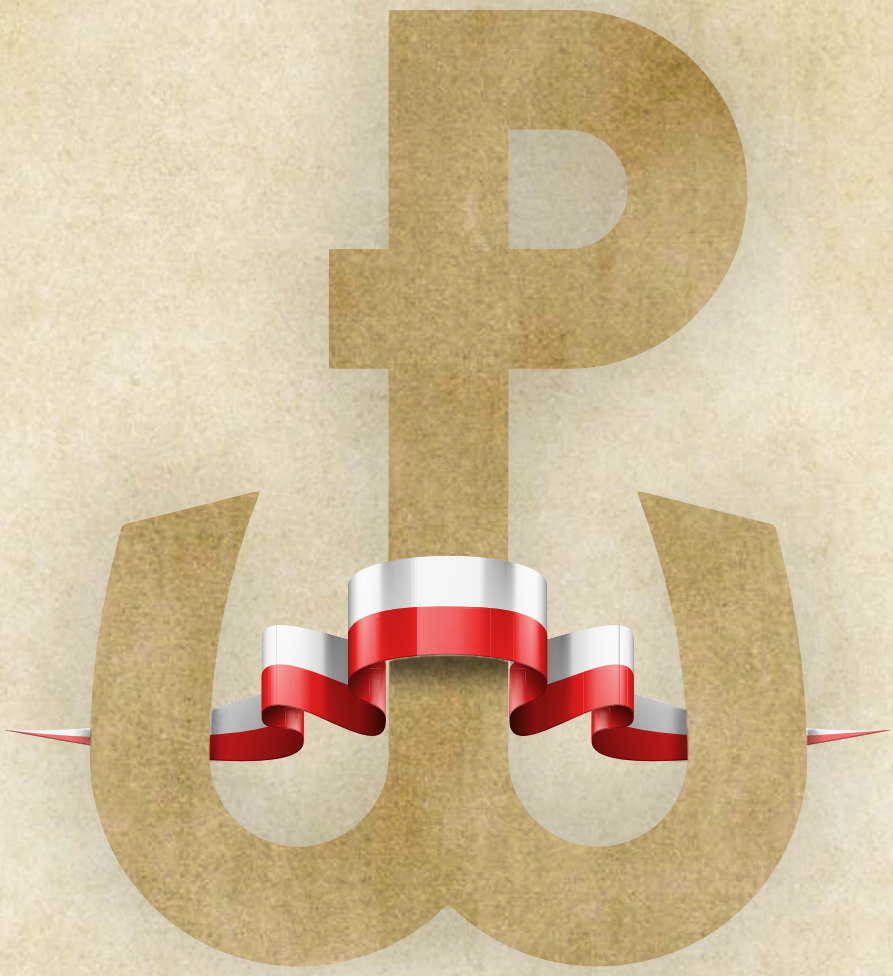

Jesteśmy Partnerem obchodów **78. rocznicy Powstania Warszawskiego** oraz Partnerem akcji **BohaterON – Włącz historię!**

eprasa.pl f3f299252a

Dzieci powstańczej Warszawy

KATARZYNA UTRACKA

W walczącej stolicy obok ponad 50 tys. powstańców przebywało ok. 900 tys. cywilów, wśród nich rzesza dzieci. Wszyscy jednoczyli się w wysiłku, by chronić najmłodszych od wszechobecnego okrucieństwa wojny

Przede wszystkim zabraniano dzieciom zbliżania się do terenów zagrożonych bezpośrednimi walkami. Starano się również zapewnić im wszelkie pozory normalnego życia. Organizowano więc teatrzyki kukiełkowe, gry, zabawy i konkursy, wychodziła też prasa dziecięca. Dzięki tym działaniom najmłodsi warszawiacy chociaż na chwilę mogli zapomnieć o okrucieństwie wojny.

Nie wszystkie jednak dzieci obserwowały rozgrywające się wydarzenia z daleka – wiele z nich na swój sposób pomagało powstańcom. Chłopcy i dziewczęta w wieku 12–15 lat wspierali służby sanitarne i aprowizacyjne, byli przewodnikami kanałowymi i łącznikami walczących oddziałów, kolportowali powstańczą prasę, roznosili listy. Byli też tacy, którzy dodawali sobie lat, chcąc walczyć na pierwszej linii frontu.

MAŁY POWSTANIEC

Na fotografiach z sierpnia i września 1944 r. często pojawiają się dzieci, których historie są wplecione w powstańczą rzeczywistość. Mali warszawiacy napełniają piaskiem worki wykorzystywane do budowy barykad, podają wiadra z wodą podczas akcji gaśniczych i pomagają w opiece nad rannymi. Widzimy, jak dzielą los rodziców

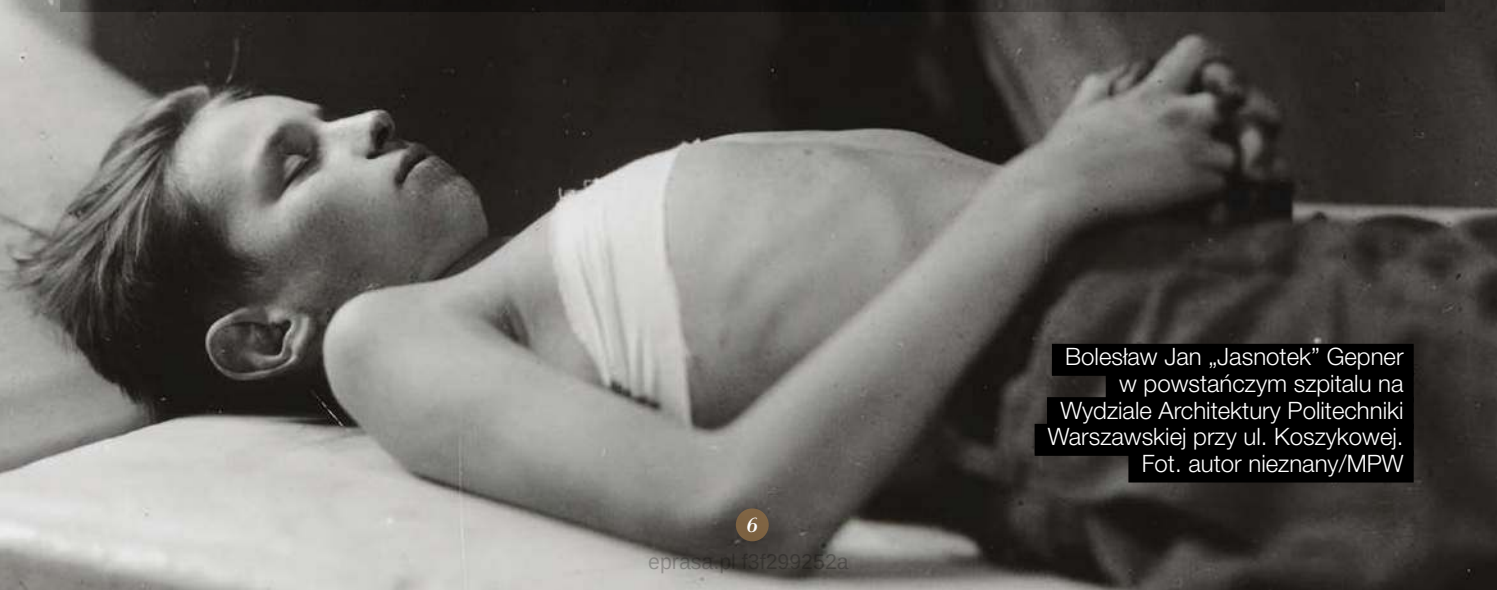

Bolesław Jan „Jasnotek" Gepner w powstańczym szpitalu na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej przy ul. Koszykowej. Fot. autor nieznany/MPW

eprasa.pl f3f299252a

– przebiegają ostrzeliwane ulice pod osłoną barykad, ukrywają się w piwnicach i schronach. Są też tacy, którzy nie mogąc brać udziału w walkach, chcą choć na chwilę poczuć się jak prawdziwi żołnierze. Pozują więc w za dużym hełmie i z bronią w ręku pożyczoną od starszych kolegów. Obraz ten posłużył Jerzemu Jarnuszkiewiczowi, studentowi Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, później profesorowi tej uczelni, jako inspiracja do zaprojektowania w 1946 r. figury Małego Powstańca.

W 1983 r. pomnik Małego Powstańca stanął pod murami Starego Miasta z inicjatywy harcerzy Chorągwi Stołecznej ZHP. Gdy rzeźba pojawiła się w przestrzeni miasta, szybko stała się jednym z najbardziej rozpoznawalnych polskich pomników. Postać dziecka w powstańczym umundurowaniu z pistoletem maszynowym stała się dla wielu Polaków symbolem powstańczej Warszawy. Niestety, utrwaliła też nieprawdziwy obraz dziecka walczącej Warszawy, które na równi z dorosłymi bierze udział w walce bez żadnych szans na wygraną.

NA SŁUŻBIE

Najmłodsi mieszkańcy stolicy nie walczyli z bronią w ręku. Władze powstańcze powierzyły im inne zadania. W pierwszych dniach sierpnia 1944 r. utworzono Harcerską Pocztę Polową, w której służbę pełnili zawiszacy – harcerze w wieku 12–14 lat z najmłodszej grupy wiekowej Szarych Szeregów. Ci „roznosiciele radości" – jak nazwała ich powstańcza prasa – dostarczyli od 150 tys. do nawet 200 tys. przesyłek.

Nieco starsze dzieci przenosiły paczki z żywnością, butelki z benzyną i przekazywały meldunki. Pełniły również służbę jako łącznicy i przewodnicy kanałowi. Na Żoliborzu działał 227 pluton określany mianem „szczurów kanałowych". Tworzyli go harcerze Bojowych Szkół (w wieku 15–17 lat), do których dołączono funkcyjnych Zawiszy. Harcerze prowadzili rozpoznanie oraz pełnili funkcje przewodników kanałowych. To na nich spoczywał ciężar przenoszenia kanałami broni, amunicji, a także żywności z Żoliborza na odizolowaną od reszty miasta Starówkę.

Niejednokrotnie dzieci zawyżały swój wiek, chcąc być przyjętymi do powstańczego oddziału. Tak było w przypadku chociażby 12-letniego Witolda „Warszawiaka" Modelskiego. Chłopiec w pierwszych dniach powstania dołączył do słynnego batalionu Parasol na Woli, a po przejściu na Stare Miasto został łącznikiem w batalionie Gozdawa. 23 sierpnia został odznaczony Krzyżem Walecznych (był najmłodszym powstańcem uhonorowanym tym odznaczeniem), otrzymał też awans na kaprala. Po ewakuacji Starówki przeszedł na Czerniaków. Poległ 20 września w walkach o utrzymanie ul. Wilanowskiej. Jest on patronem Sali Małego Powstańca w MPW. Takich historii było jednak więcej. Swoją metrykę musieli mocno zawyżyć również 9-letni łącznicy Jerzy „Pilot" Grzelak, Jan „Sokolik" Kuźmiński i Donat „Kindzior" Ignatowicz.

Zdarzało się również, że młodzi powstańcy dodawali sobie lat, chcąc walczyć z bronią w ręku. Tak było w przypadku Mirosława „Generała" Biernackiego. W konspiracji należał do Szarych Szeregów. Brał udział w akcjach Organizacji Małego Sabotażu „Wawer". Podczas powstania jako 16-letni kapral walczył w zgrupowaniu Chrobry II. Dowodził grupą harcerzy obsadzającą niewielki budynek na rogu ul. Towarowej i Siennej, nazywany Kurzą Stopką. „Generał był naprawdę urodzonym dowódcą – wspominał po latach swojego dowódcę Jerzy »Młot« Zakrzewski. – Atletycznej postawy, chłopiec, który miał 16–17 lat, ale 170–180 cm wzrostu, wagi koło 80–90 kg, siłacz po prostu. Odważny i poza tym o bardzo szybkiej orientacji i dobrze wyszkolony". 30 sierpnia „Generał" został śmiertelnie postrzelony. Pośmiertnie, po raz drugi, został odznaczony Krzyżem Walecznych. Dziś jego imię nosi Szkoła Podstawowa nr 26 przy ul. Miedzianej w Warszawie.

Łącznicy kanałowi, tzw. szczury kanałowe, na podwórku bloku przy ul. Krasińskiego 20. Sierpień–wrzesień 1944 r.

Fot. autor nieznany/MPW

Z VIRTUTI NA PIERSI

Wielu młodych powstańców w uznaniu za swoje zasługi zostało uhonorowanych wysokimi odznaczeniami. Najmłodszym powstańcem, który otrzymał najwyższe polskie odznaczenie wojenne – Order Virtuti Militari – był kpr. Jerzy „Magik" Bartnik. 14-latka osobiście odznaczył sam dowódca AK gen. Tadeusz „Bór" Komorowski. Chłopiec był żołnierzem batalionu Parasol, a następnie batalionu Gustaw, gdzie dowodził sekcją łączników-butelkarzy. W walkach o utrzymanie Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych został ranny w głowę (stracił prawe oko). Szczęśliwie przeżył powstanie. Zmarł w 2011 r.

„RATUJCIE DZIECI, NASZE, WASZE, POLSKIE, WARSZAWSKIE DZIECI…"

W powstańczej Warszawie oprócz harcerzy z Szarych Szeregów zaangażowanych w działalność powstańczą przebywały także młodsze dzieci, w tym niemowlęta. Wszyscy jednoczyli się, żeby otoczyć je opieką i zapewnić bezpieczeństwo. Instytucjami, które włączyły się w pomoc najmłodszym warszawiakom, były Rada Główna Opiekuńcza i Polski Czerwony Krzyż. Współpracowały one ściśle z powstańczą administracją cywilną.

Dla najmłodszych organizowano schroniska i zbiórki żywności, otwierano kuchnie mleczne, gromadzono mleko i odżywki. Prasa powstańcza wzywała wszystkich do opieki nad najmłodszymi warszawiakami. „Ratujcie dzieci, nasze, wasze, polskie, warszawskie dzieci..." – alarmował „Biuletyn Informacyjny". Władze cywilne na Żoliborzu zwracały się do mieszkańców dzielnicy z apelem: „Nie możemy być obojętni, gdy

eprasa.pl f3f299252a

ratować trzeba puchnące z głodu dzieci i ich matki". Na murach miasta pojawił się nawet plakat zaprojektowany przez ppor. Mieczysława „Narbuta" Jurgielewicza z hasłem: „Mleko dla dzieci – one muszą przetrwać".

Pomocy najmłodszym warszawiakom udzielała też Armia Krajowa. Na rozkaz dowódcy powstania utworzono Wojskową Służbę Społeczną, której głównym zadaniem było utrzymanie stałej łączności między wojskiem a ludnością cywilną. Matkom karmiącym i dzieciom pomagali również harcerze. Otwierali kuchnie, organizowali zbiórki i zachęcali do samopomocy. Opieką nad nieletnimi zajmowało się także Pogotowie Harcerek prowadzące punkty dla bezdomnych dzieci. Niestety, skutki tych akcji były mizerne i nie obniżyły wysokiej śmiertelności wśród dzieci.

Plakat Mieczysława „Narbuta" Jurgielewicza wzywający do opieki nad najmłodszymi

Fot. ze zbiorów MPW

DZIECIĘCE NIEŚMIERTELNIKI

W zbiorach MPW znajdują się liczne przedmioty związane z najmłodszymi warszawiakami. Szczególnie poruszającymi eksponatami są identyfikatory, w które rodzice zaopatrywali swoje dzieci. Jeden z takich dziecięcych nieśmiertelników został wykonany z białej tkaniny z wyhaftowanym czerwoną nicią napisem „Andrzej Stanisław Wawrzeńczak". Został umieszczony w złotej papierośnicy w beciku siedmiomiesięcznego wówczas Andrzeja. W czasie powstania rodzina Wawrzeńczaków mieszkała przy ul. Grzybowskiej, stamtąd przeniosła się na Świętokrzyską, a następnie na Lwowską. Wyciągnięci z domu wraz z innymi mieszkańcami zostali pognani na Dworzec Zachodni. Stamtąd trafili do obozu przejściowego w Pruszkowie. Ojciec i dziadek zostali wywiezieni na roboty przymusowe do Niemiec. Matka wraz z małym Andrzejem i innymi kobietami z rodziny przez Skierniewice przedostała się do Końskich. Po udzieleniu pomocy przez instytucje charytatywne oraz mieszkańców Końskich udali się do Kielc, gdzie doczekali końca wojny. Dziadek i ojciec szczęśliwie powrócili po wojnie do rodziny. Oprócz identyfikatora Andrzej Wawrzeńczak przekazał do muzeum swoje niemowlęce ubranka z powstania.

Nie wszystkie jednak dzieci miały tyle szczęścia. Wraz z przedłużającymi się walkami przybywało osieroconych i zagubionych najmłodszych warszawiaków. Organizowano dla nich schroniska i przytułki. Utworzono też punkty przyjmujące zgłoszenia o zaginionych. Listy z nazwiskami w formie komunikatów rozwieszano w wyznaczonych miejscach. Publikowała je także prasa powstańcza. Tylko do redakcji „Biuletynu Informacyjnego" codziennie napływało niemal tysiąc zgłoszeń o poszukiwanych, znaczną część z nich stanowiły dzieci. Nazwiska zaginionych podawano również za pośrednictwem radia.

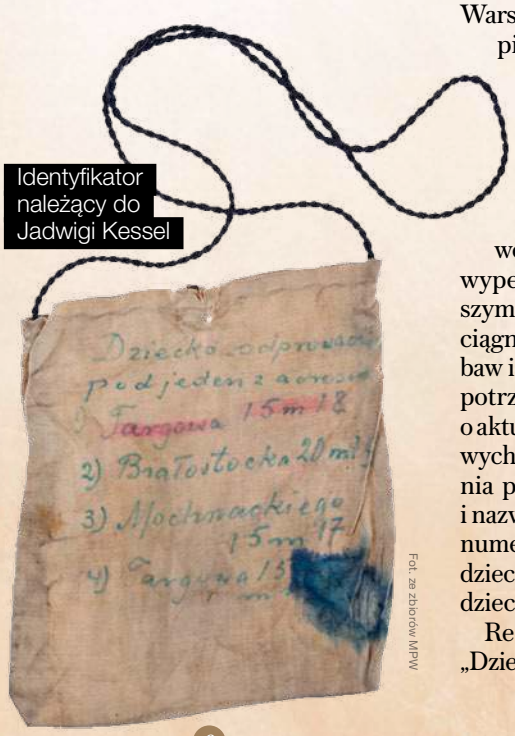
Identyfikator należący do Jadwigi Kessel

Fot. ze zbiorów MPW

NAMIASTKI NORMALNEGO DZIECIŃSTWA

Obok wszechogarniającego okrucieństwa wojny zdarzały się chwile beztroskiej radości. Jeden z powstańczych fotografów, Tadeusz „Bończa" Bukowski, utrwalił na zdjęciach przedstawienie teatrzyku lalkowego „Kukiełki pod Barykadą". Spektakle kukiełkowe w oprawie muzycznej odbywały się w drugiej połowie sierpnia na podwórkach i w bramach kamienic Powiśla i Śródmieścia. Wśród widzów dominowała publiczność dziecięca, która w skupieniu i z wypiekami na twarzy oglądała przedstawienia. Niestety, te chwile zapomnienia i beztroski szybko mijały i wracała okrutna wojenna rzeczywistość – życie w piwnicach, strach przed bombardowaniami i wszechobecna śmierć.

„JAWNUTKA" I „DZIENNIK DZIECIĘCY"

Ucieczkę od wojennej rzeczywistości zapewniała najmłodszym prasa dziecięca. Na Żoliborzu ukazywało się ilustrowane pisemko dla dzieci „Jawnutka", które z czasem zmieniło nazwę na „Dziennik Dziecięcy". Jego współredaktorką była wybitna pisarka dziecięca Maria Kownacka. Nie był to jednak jedyny tytuł dziecięcy ukazujący się w powstańczej Warszawie. Na Mokotowie wychodziło pisemko „Dzieci Mokotowa", pisane i ilustrowane przez małych warszawiaków.

W przeciwieństwie do mokotowskiej gazetki zachowały się wszystkie numery „Jawnutki" i „Dziennika Dziecięcego". Podstawowym celem twórców pisemka było wypełnienie wolnego czasu najmłodszym żoliborzanom, a tym samym odciągnięcie ich od niebezpiecznych zabaw i pomysłów. Równocześnie istniała potrzeba informowania starsze dzieci o aktualnych wydarzeniach. „Jawnutka" wychodziła od 12 do 16 sierpnia. 18 sierpnia pisemko zmieniło szatę graficzną i nazwę na „Dziennik Dziecięcy". Odtąd numery parzyste były przeznaczone dla dzieci w wieku 7–12 lat, a nieparzyste dla dzieci starszych – do 16 lat.

Redakcja „Jawnutki", a następnie „Dziennika Dziecięcego" zachęcała swo-

eprasa.pl f3f299252a

ich młodych czytelników do czynnego włączenia się w redagowanie gazetki przez nadsyłanie własnych opowiadań, wierszy, zagadek i rysunków, a także informacji i sugestii dotyczących zamieszczanych tekstów. Przy tekstach zostawiano wolne miejsca, które dzieci zapełniały własnymi kolorowymi ilustracjami. Każdy więc egzemplarz pisemka miał inną, uzależnioną od fantazji i zdolności właściciela szatę graficzną. Obok sielskich obrazków i bajkowych postaci pojawiały się rysunki przedstawiające sceny z powstania. Najlepsze rysunki redakcja nagradzała słodyczami i kolorowymi kredkami. W sumie od 12 sierpnia do 23 września 1944 r. ukazało się 29 numerów pisemka.

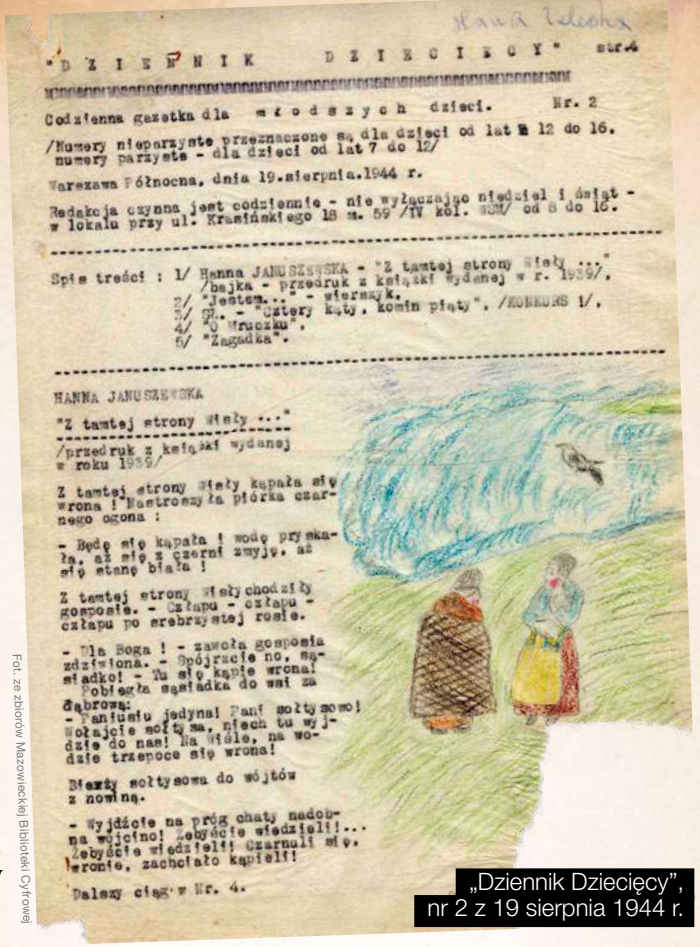

"DZIENNIK DZIECIĘCY" str.4

Codzienna gazetka dla młodszych dzieci. Nr. 2

/Numery nieparzyste przeznaczone są dla dzieci od lat 12 do 16. numery parzyste - dla dzieci od lat 7 do 12/

Warszawa Północna, dnia 19.sierpnia.1944 r.

Redakcja czynna jest codziennie - nie wyłączając niedziel i świąt - w lokalu przy ul. Kramińskiego 18 m. 59 /IV kol. SGM/ od 8 do 16.

Spis treści : 1/ Hanna JANUSZEWSKA - "Z tamtej strony Wisły ..." /bajka - przedruk z książki wydanej w r. 1939/.
2/ "Jestem..." - wierszyk.
3/ M. - "Cztery kąty, komin piąty". /KOMEDIA 1/.
4/ "O Mruczku".
5/ "Zagadka".

HANNA JANUSZEWSKA

"Z tamtej strony Wisły ..."

/przedruk z książki wydanej w roku 1939/

Z tamtej strony Wisły kąpała się wrona ! Nastroszyła piórka czarnego ogona :

- Będę się kąpała ! wodę prysnęła, aż się z czerni zmyję, aż się stanę biała !

Z tamtej strony Wisły chodziły gosposie. - Człapu - człapu - człapu po srebrzystej rosie.

- Dla Boga ! - zawoła gosposia zdziwiona. - Spójrzcie no, sąsiadko! - Tu się kąpie wrona!
Pobiegła sąsiadka do wsi za dąbrową:
- Panfusiu jedyna! Pani sołtysowo! Wołajcie sołtysa, niech tu wyjdzie do nas! Na Wiśle, na wodzie trzepoce się wrona!

Biegły sołtysowa do wójtów z nowiną.

- Wyjdźcie na próg chaty nadobna wójcino! Żebyście wiedzieli!... Żebyście wiedzieli! Czarnuli się, wronie, zachciało kąpieli!

Dalszy ciąg w Nr. 4.

„Dziennik Dziecięcy", nr 2 z 19 sierpnia 1944 r.

Fot. ze zbiorów Mazowieckiej Biblioteki Cyfrowej

ŚMIERĆ

Mimo wysiłków dorosłych wiele dzieci zginęło w czasie pełnienia służby lub pod gruzami zbombardowanych kamienic. Zdarzało się również, że mali warszawiacy ginęli w masowych egzekucjach. Tak było chociażby w przypadku dzieci Wandy Felicji Lurie. Kobieta, będąc w dziewiątym miesiącu ciąży, przeżyła zbiorową egzekucję, w której straciła troje dzieci w wieku 3, 6 i 11 lat. Mimo ran kobieta przeżyła, leżąc dwa dni przygnieciona zwłokami rozstrzelanych na terenie fabryki Ursus przy ul. Wolskiej. Po wydostaniu się na ulicę ponownie została pojmana. Zapędzono ją do pobliskiego kościoła, skąd trafiła do obozu przejściowego w Pruszkowie. 20 sierpnia 1944 r. urodziła syna, któremu nadała imię Mścisław.

O tragicznych losach warszawskich dzieci przypominają liczne eksponaty znajdujące się w zbiorach MPW. Są to m.in. lalki należące do ofiarodawczyni Anny Stańczykowskiej-Piotrowskiej i jej siostry Ewy. Stroje uszyły własnoręcznie w czasie okupacji. W czasie powstania kilkuletnie wówczas siostry Stańczykowskie wraz z matką przebywały w piwnicy przy ul. Wiktorskiej. Dwa dni przed kapitulacją dzielnicy w ich dom uderzył niemiecki pocisk, tzw. krowa. Ewa Stańczykowska zginęła tego dnia wraz z matką (zmarły w wyniku amputacji zmiażdżonych nóg). Przeżyła jedynie Anna.

Kolejny poruszający eksponat można zobaczyć w sali poświęconej Harcerskiej Poczcie Polowej. Jest to koszulka z plamami krwi i dziurami po pociskach należąca do 13-letniego zawiszaka Bolesława „Jasnotka" Gepnera. Chłopiec został śmiertelnie postrzelony 30 sierpnia u zbiegu ul. Lwowskiej i Koszykowej. „To był młody chłopiec. Nie wiem, mógł mieć 11, może więcej lat, dokładnie wieku nie uściślę. Tłumaczyli mu, że snajper poluje na takich jak on, że trzeba o innej godzinie, kiedy już będzie ciemno, trochę spróbować przejść, a on się uparł i oczywiście od razu go śmiertelnie postrzelili. Mam w oczach, jak go niosą przez podwórko, blond włosy rozmierzwione i przez ręce przewieszony chłopak. Ten chłopiec miał na nazwisko Gepner" – wspominała po latach Barbara Kołecka, w powstaniu mieszkanka ul. Koszykowej. Ojciec chłopca, adwokat, zginął w powstańczej egzekucji. Przeżyła matka, Stefania, która pod pseudonimem „Anna" pełniła służbę w szpitalu polowym. Niezwykłą pamiątkę rodzinną przekazała do muzeum siostra Bolka, Maria Gepner.

* * *

Ostateczna liczba nieletnich powstańców jest trudna do ustalenia. Według bazy MPW, liczącej ponad 52 tys. uczestników powstania, liczba powstańców urodzonych między 1927 a 1935 r. wynosi ponad 5,5 tys. osób (1927 – 2122 osoby, 1928 – 1641, 1929 – 945, 1930 – 467, 1931 – 189, 1932 – 105, 1933 – 31, 1934 – 11, 1935 – 3). Po upadku powstania część młodocianych powstańców trafiła do niemieckiej niewoli. Kiedy 18 października 1944 r. w Stalagu 344 Lamsdorf (Łambinowice) na Śląsku Opolskim Niemcy zorganizowali apel, wystąpiło ok. 550 żołnierzy w wieku od 10 do 18 lat. W grupce tej znalazło się 49 chłopców poniżej 15. roku życia. Była to tylko część najmłodszych powstańców, wielu bowiem w obawie przed rozdzieleniem ze starszymi kolegami nie zgłosiło się na apel. Pozostali małoletni żołnierze, a także dzieci niezaangażowane w działalność powstańczą wraz z rodzicami przeszli przez obóz przejściowy w Pruszkowie, skąd zostali wywiezieni na roboty przymusowe do Rzeszy bądź trafili w głąb okupowanej Polski.

Łącznicy z 2 Harcerskiej Baterii Artylerii Przeciwlotniczej „Żbik" Zgrupowania „Gurt" na podwórzu kamienicy przy ul. Kredytowej 3. 13 sierpnia 1944 r.

Fot. Joachim „Joachim" Joachimczyk/MPW

eprasa.pl f3f299252a

Dezerterzy sprzymierzeńcy

Losy żołnierzy niemieckich i węgierskich, którzy przyłączyli się do powstania warszawskiego, były żywym wyrazem sprzeciwu wobec machiny totalitaryzmu i piekła wojny oraz przykładem pogmatwania losów i pojęć

MICHAŁ TOMASZ WÓJCIUK

Podczas badań nad cudzoziemcami w szeregach powstania warszawskiego (PW) określiłem liczbę powstańców obcokrajowców na mniej więcej 300 osób reprezentujących ponad 20 narodowości (co opublikowałem kilka lat temu). Dalsze badania pozwolą zapewne uszczegółowić te dane. Jest bardzo trudno stwierdzić, jaki w tej grupie procent stanowili dezerterzy, ponieważ grupa żołnierzy, która porzuciła siły pacyfikujące i przyłączyła się do Polaków, nie była jednolita narodowościowo, różne były jej motywy, możliwości i zakres działania.

Źródła wskazują, że w przypadku Węgrów na pewno większość z nich była dezerterami. Uciekinierzy z wojska z pozostałych nacji znajdowali się w zdecydowanej mniejszości, a przeważali np. zbiegli z niewoli niemieckiej czerwonoarmiści, stanowiący mozaikę narodowościową. Siły tłumiące PW były znacznie bardziej zróżnicowane etnicznie niż oddziały powstańcze. Nie dziwią wobec tego ich odmienności ideologiczne, mentalnościowe, kulturowe i moralne, gdyż w ich szeregach znajdowali się wbrew swojej woli przedstawiciele różnych nacji zarówno europejskich, jak i azjatyckich.

W sposób wyrazisty zaznaczył się w PW udział Alzatczyków, których ojczyznę Niemcy zajęli w 1940 r. Wcielani przymusowo w szeregi formacji okupanta traktowali dezercję z nich jako nakaz patriotyzmu i wyraz buntu. W związku z tym wczuwali się w problematykę polskiej walki, utożsamiali ją ze swoim własnym położeniem.

Przed PW z polską konspiracją nawiązał kontakt 24-letni przedwojenny nauczyciel Hubert Vengoli (Vengelli), który zdezerterował z Luftwaffe. Przylgnęło do niego określenie „Degolista" z racji sympatii żywionych wobec Wolnych Francuzów. W szeregach kompanii Janusz batalionu Harnaś brał udział w walkach o Halę Mirowską pierwszego dnia PW, kiedy zniszczył gniazdo niemieckich karabinów maszynowych. Paradoksem było to, że po przeciwnej stronie barykady znajdowali się Ślązacy. Kilku z nich wzięto wtedy do niewoli. Następnie walczył na ul. Marszałkowskiej. Został śmiertelnie ranny 15 sierpnia u zbiegu ul. Żelaznej i Łuckiej.

Na początku sierpnia na Woli do 3 plutonu Felek 2 kompanii batalionu Zośka dołączył Alzatczyk, dezerter z Wehrmachtu, kpr. Roger „Rożek" Bartlet, pochodzący z Metzu, gdzie przed wojną pracował jako agent handlowy wytwórni napojów. Poległ ok. 30 sierpnia na Starym Mieście.

Przykładem poplątanych wojennych losów są dzieje tajemniczego oficera Petro Conwersi, który w rzeczywistości prawdopodobnie nikomu nie zdradził prawdziwych personaliów. Pochodził ze słonecznej Italii, a zdezerterował z wojska skierowanego na front wschodni. Z polską konspiracją na Żoliborzu był związany już przed PW, stąd miał lewe dokumenty na nazwisko Filipowicz. Był ujmująco sympatyczny, ale cechowała go brawura. Niejednokrotnie odwiedzał znajomych w czasie godziny policyjnej. Poległ w pierwszych dniach PW na Żoliborzu podczas ataku na Instytut Chemii przy ul. Rydygiera.

Dosłownie w ostatniej chwili przed wybuchem PW, 28 lipca, zjawił się w Warszawie Czech z Morawskiej Ostrawy, Albin Huška, który wcielony przymusowo do wojska w 1939 r., służył w jednostkach sanitarnych Wehrmachtu na froncie wschodnim, m.in. pod Smoleńskiem. Zdezerterował z zapasem me-

eprasa.pl f3f299252a

Fot. NN, Zbiory Muzeum Powstania Warszawskiego

Zbiórka kompanii Janusz batalionu Harnaś w podwórzu domu przy ul. Mazowieckiej 4. Pierwszy z lewej, bez nakrycia głowy, strz. „Bauman"

dykamentów, bronią i amunicją. Przyjęty w szeregi powstańcze po komisyjnej weryfikacji, od początku PW walczył na barykadzie przy ul. Marszałkowskiej, gdzie 6 sierpnia został ranny w prawą rękę i obie nogi. Rękę amputowano mu do łokcia. Po wojnie wrócił do ojczyzny.

W połowie trzeciego tygodnia PW prasa donosiła o przejściu na stronę polską aż kilkudziesięciu przedstawicieli azjatyckich nacji służących w oddziałach niemieckich. Problem badawczy w tej kwestii polega na tym, że choć pisano w prasie, a nawet sugerowano w dokumentacji powstańczej, że są oni dezerterami, to w rzeczywistości byli jeńcami z Armii Czerwonej. Niemcy chcieli budować w oparciu o nich kolaboracyjne wschodnie formacje wojskowe, co nie było w smak głównym zainteresowanym. Wykorzystywano więc ich do wszelkich prac pomocniczych często dość upokarzających. Grupę takich 20 osób na terenie fabryki Deringa na Woli odnaleźli powstańcy ze zgrupowania Chrobry II. Nazywano ich ogólnie Kaukazczykami, choć pochodzili z różnych stron. Do końca PW z narażeniem życia służyli w szeregach polskich w formacjach pomocniczych, o czym świadczą rozkazy i raporty wojskowe.

„POLAK, WĘGIER – DWA BRATANKI"

Niemieckiej 9 Armii podlegał rozlokowany pod Warszawą węgierski 2 Korpus Rezerwowy. Jego żołnierze nie kryli życzliwych postaw wobec Polaków. Znanych jest wiele dezercji Węgrów i bardziej bądź mniej udane próby przedostawania się do oddziałów powstańczych. Zdaniem Marii Zimy do PW przyłączyło się ok. 100 Węgrów, najwięcej znalazło się ich w szeregach grupy Kampinos (do 40 osób). Niektórzy za odwagę i bezprzykładne męstwo okazane w ogniu walki zostali odznaczeni, choćby István Darvasi i István Garami. Pod koniec sierpnia w szeregach grupy Kampinos znaleźli się także: Zoltán Freireich, Miklós Jakab, Sándor Lantos, Pál Kovács. Wzięli udział w bitwach pod Pociechą i Truskawiem oraz w ostatniej batalii grupy Kampinos stoczonej 29 września pod Jaktorowem. Ponad tydzień przed tym starciem, 15 września, walcząc w polskich szeregach, polegli: Károly Hunyadi, Andras Toth i József Verer.

DZIECI TYSIĄCLETNIEJ RZESZY

Żołnierz plutonu 209 zgrupowania Żaglowiec na Żoliborzu, Leszek „Lech" Henisz, wspomniał, że w jego oddziale służył rodowity Niemiec, były żołnierz Wehrmachtu o pseudonimie „Anton", który specjalizował się w broni maszynowej ze szczególnym uwzględnieniem uzbrojenia pancernego. Nie znał języka polskiego, ale na tyle, na ile mógł się porozumieć z kolegami z oddziału, dość wyraźne komunikował, że nie ma zamiaru wracać do piekła frontu wschodniego, które już widział i przed którym uciekał.

Na śródmiejskich placówkach twardego frontu, w 1 kompanii zgrupowania AK Bartkiewicz służył uciekinier z Luftwaffe w stopniu podoficera Willi Lampe. Pełnił służbę na placówkach Królewska 31, 33 i 35. Zajmował się szkoleniem żołnierzy w obsłudze niemieckiej broni. Ok. 20 sierpnia został odesłany do sztabu komendanta Okręgu Warszawa AK.

Niedaleko, bo też w Śródmieściu Północnym, w szeregach kompanii Janusz batalionu Harnaś służył również dezerter z Luftwaffe, którego nazwisko przepadło w mrokach wojny. Walcząc w polskich szeregach, miał najniższy stopień wojskowy strzelca, a znano go pod pseudonimami „Bauman" bądź „Ludwik". Zasłynął jako niezrównany snajper. Podczas ataku niemieckiego na polskie placówki przy ul. Bielańskiej 8 sierpnia razem z sierż. pchor. Janem „Listowskim" Horochem, operując bronią maszynową, uśmiercili bądź ranili aż 57 żołnierzy wroga. Pod koniec PW „Bauman" uratował kolegę z oddziału. Razem z plut. Adamem Podkólińskim o pseudonimach „Michał", „Olszewski" i „Ali Baba", który trafił z nim na Mokotów, tuż przed kapitulacją dzielnicy usiłowali się z niej wydostać. Kiedy zatrzymał ich patrol niemiecki, Podkóliński powiedział, że uratował życie rannemu żołnierzowi niemieckiemu, co potwierdził jego towarzysz. To ocaliło mu życie. Przeżył także „Bauman", który uciekał dalej z polskimi rozbitkami najpierw do Italii, a później do Ameryki Południowej.

eprasa.pl f3f299252a

Na Targówku dowódcą drużyny w zgrupowaniu 670 był st. strz. Zygmunt Deske, pseudonim „Dezerter" albo „Mały Dezerter", który pochodził z niemieckiej ewangelickiej rodziny z Lipna. Po zajęciu tego miasta przez Niemców w 1939 r. został wcielony do Wehrmachtu. Uczestniczył w walkach na froncie wschodnim. Prawdopodobnie w 1943 r. pociąg, którym jechał, został zaatakowany przez żołnierzy AK. Deske, widzący każdego dnia beznadzieję i okrucieństwa wojny, przyłączył się do partyzantów. Następnie, szukając zapewne młodszej o dwa lata siostry Adeli, trafił do Warszawy. Odnalazł ją, ale w mieście zastało ich PW. Oboje wzięli w nim udział, a Adela oddała powstańcowi Stanisławowi „Józefowi" Gęsickiemu rękę. Po wojnie Deske padł ofiarą represji stalinowskich. Był więziony do 1956 r.

Niemiecka forteca Bank Gospodarstwa Krajowego, zdjęcie z 1935 r.

Fot. NN, Zbiory Narodowego Archiwum Cyfrowego

GULASZ Z KOTA UPICHCONY PRZEZ PSA

14 sierpnia z potężnej niemieckiej twierdzy utworzonej w gmachu Banku Gospodarstwa Krajowego u zbiegu Al. Jerozolimskich i Nowego Światu wyrwało się pięciu Polaków przymusowo służących w Wehrmachcie. Usiłowali dotrzeć do stanowisk powstańczych z dość znacznym uzbrojeniem. W czasie ucieczki od niemieckich kul poległo trzech. Dwaj, którym udało się przedrzeć, przynieśli dwa ręczne karabiny maszynowe, pistolet maszynowy, pięć karabinów i bezodrzutowy granatnik przeciwpancerny (Panzerfaust) oraz plecak wypełniony amunicją. Ta dezercja, o której pisała prasa powstańcza, była wyjątkowa. Do poddania się większych grup Polaków w niemieckich mundurach niekiedy dochodziło, ale zazwyczaj wtedy, kiedy rodacy stawali naprzeciw siebie niemal twarzą w twarz. Podczas walk o archikatedrę, też w połowie sierpnia, po wymianie zdań z powstańcami na polską stronę przeszło 12 uzbrojonych poznaniaków.

Częściej w szeregach polskich spotykało się dezerterów „indywidualnych". W Oddziale Osłonowym Wojskowych Zakładów Wydawniczych służył pochodzący ze Śląska szofer z wojska niemieckiego plut. Jan Wilhelm, który po wzięciu do niewoli na początku PW przeszedł na stronę polską, na co wyrażono zgodę. Po kapitulacji dowódca oddziału por. Stefan „Steb" Berent, mając na względzie jego bezpieczeństwo, przekazał go stronie niemieckiej jako jeńca.

W pierwszych dniach PW w 2 plutonie kompanii Grażyna batalionu Harnaś służył kpr. Bronisław „Wyga" Walkowiak, pochodzący z Pomorza uciekinier z Wehrmachtu. Czwartego dnia walk przydzielono go do oddziału specjalnego Gustaw-Harnaś. 23 sierpnia uczestniczył w zdobyciu kościoła św. Krzyża i komendy policji. Ponad dwa tygodnie później, 11 września, został ciężko ranny w wieżowcu Prudential na pl. Napoleona, z którego powstańcy obserwowali postępy sowieckiej ofensywy na Pradze. Zmarł w konsekwencji odniesionych ran 15 września. Wspominał go kolega z oddziału, dowódca drużyny, plut. pchor. Kazimierz Radwański, pseudonim „1559" albo „Kazik": „Bardzo dzielny chłopak. Był ciężko ranny i po kilku dniach zmarł. Bardzo był poharatany".

W tym samym oddziale służył też kpr. Franciszek „Frycek" Pies, Polak z Cieszyna, który zdezerterował z Wehrmachtu. Podobnie jak Wyga od 1 do 4 sierpnia był w kompanii Grażyna, później w oddziale specjalnym Gustaw-Harnaś. Wspominając go po wojnie, prof. Witold Kieżun, znany w oddziale pod pseudonimem „Wypad", powiedział, że był bardzo dzielny. Z armii wroga uciekł kilka tygodni przed PW. Ukrywając się w Warszawie, nawiązał kontakt z organizacją. Kpr. pchor. Andrzej „Cowboy" Ligęza wspominał, że „Frycek" objawił niepoślednie zdolności kucharskie i rzeźnicze w czasie, gdy nie było z czego przyrządzać potraw. Nawet ponad 70 lat nie zatarło smakowych walorów jego specjałów – może właśnie z uwagi na nazwisko kucharza: „Pamiętam wspaniały smak potrawki z kota z kaszą pluj" – wspominał „Cowboy".

DZIWNE KOLEJE LOSU PANA HENRYKA

Ciężkie losy prowadziły Henryka Kaczmarczyka, który w chwili wybuchu PW miał 21 lat. Na podstawie dokumentów można je szczegółowo zrekonstruować. Henryk pochodził z Bydgoszczy. Ojciec, Roman, był żołnierzem Legionów i weteranem wojny polsko-bolszewickiej. Henryk był harcerzem. W wojnie 1939 r. służył jako goniec przy Komendanturze Placu Garnizonu w Bydgoszczy. Po zajęciu rodzinnego miasta przez Niemców wyjechał do Opatowa. Tam – dzięki stryjowi Edwardowi, który jako por. Roll był komendantem podobwodu AK Opatów – został zaangażowany w prace wywiadu AK. Strukturom konspiracyjnym przysłużył się, będąc tłumaczem w urzędzie miejskim.

Reklama | 35/0722/F

eprasa.pl f3f299252a

WYŚPIEWAJMY
NASZĄ PAMIĘĆ

WARSZAWIACY ŚPIEWAJĄ (NIE)ZAKAZANE PIOSENKI
Z UDZIAŁEM ORKIESTRY I CHÓRU POD KIEROWNICTWEM JANA STOKŁOSY.

Na wspólne śpiewanie piosenek powstańczych zaprasza
Partner wydarzenia **Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo.**

1 SIERPNIA, GODZ. 20.30, PL. PIŁSUDSKIEGO

PGNiG

eprasa.pl f3f299252a

W tym czasie rodzice zataili przed władzami niemieckimi posiadanie syna, co jednak wyszło na jaw w wyniku donosu. Henryk musiał wrócić. Z uwagi na niebezpieczeństwo zdekonspirowania opatowskiego podziemia także dowódcy Henryka z AK radzili mu wyjechać. Oprócz tego, gdyby się nie ujawnił, jego rodzicom groził obóz koncentracyjny. Scenariusz po powrocie był dość łatwy do przewidzenia. W maju 1943 r. Henryk został wcielony do Wehrmachtu do 11 Dywizji Pancernej. Po półrocznym przeszkoleniu skierowano go do Francji, a następnie w kwietniu następnego roku do Wiednia. Dwa miesiące później znalazł się w transporcie kolejowym zmierzającym na wschód przez terytoria Generalnego Gubernatorstwa. 2 lipca 1944 r. jego pociąg dojechał do Warszawy. I wtedy nastąpiła awaria maszyny, więc Henryk uciekł z transportu w pełnym ekwipunku z bronią krótką i długą, które mu przysługiwały. Dotarł do działających w konspiracji krewnych ojca, którzy przygotowali mu lokum w piwnicy przy ul. Żurawiej 30, zorganizowali fałszywe dokumenty na nazwisko Wiśniewski. Nie poprzestali jednak na samym tylko ukrywaniu byłego żołnierza wrogiej armii, bo tajemniczym Wiśniewskim zainteresowali komórkę AK. Jako dezerter Henryk był szczególnie cenny, dlatego też w niedługim czasie skontaktował się z nim tajemniczy oficer AK, który stał się od tej pory jedynym kontaktem z organizacją znanym tylko z pseudonimu „Marszałek". Sprawa Henryka była szczegółowo badana przez polskie podziemie. Dwukrotnie przed kilkuosobowymi komisjami składał on zeznania, które były protokołowane. Chcąc włączyć się w prace organizacji, Henryk poprosił o przyjęcie do niej, co zaaprobowano. Złożył przysięgę żołnierza AK, a „Marszałek" poinformował go, że w trakcie PW będzie znajdował się do dyspozycji dowództwa. Przed powstaniem zabierano Henryka na pogadanki, których tematem była taktyka niemieckich wojsk pancernych oraz techniczne walory broni przeciwnika.

Na początku PW bydgoszczanin uczestniczył w walkach o budynek Poczty Głównej. W następnych dniach wielokrotnie sprawdzał się jako tłumacz w przesłuchaniach jeńców, a także uczestniczył w walkach, podczas których został ranny w głowę. W połowie sierpnia skierowano go na ul. Czackiego, gdzie miał pełnić funkcje instruktora uzbrojenia. Tam też dostał przydział do 1 plutonu 3 kompanii pułku im. gen. Sikorskiego. Dowodził drużyną w walkach w rejonie ul. Traugutta, Czackiego i Krakowskie Przedmieście. Wciąż też był zabierany do sztabu komendy Okręgu Warszawa AK, by tam pracować jako tłumacz. Pod koniec sierpnia podczas walk na ul. Królewskiej został zraniony w lewą dłoń odłamkiem granatnika, otrzymał też postrzał w brzuch. Opatrzono go w podziemiach szpitala polowego przy ul. Czackiego. Nie dawano mu wielkiej szansy na przeżycie. Podczas pobytu w szpitalu jego oddział odszedł na inne pozycje, do którego dotarcie było dość kłopotliwe, zwłaszcza że Henryk wymagał stałej opieki lekarskiej. W drugiej połowie września zjawił się „Marszałek", który doprowadził go do 3 kompanii zgrupowania Chrobry II. Jego rany były jednak na tyle ciężkie, że nie kierowano go już do walk.

Po kapitulacji PW było wiadomo, że nie może trafić do obozu, bo jako na dezerterze ciążył na nim wyrok śmierci. W ucieczce pomogła mu sanitariuszka Janina „Janka" Pietruszka-Żychowska.

W „wolnej" Polsce nie miał łatwego życia, był szykanowany za przynależność do AK i służbę w Wehrmachcie. Prawa inwalidy wojennego przyznano mu dopiero w 1963 r., a kombatanckie w 1986 r. Skończył studia i pracował w Zakładach Graficznych Państwowych Zakładów Wydawnictw Szkolnych w Bydgoszczy, Wojewódzkim Biurze Projektów i Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Komunikacyjnym. Ceniony za kompetencje i wysokie kwalifikacje zawodowe, zajmował kierownicze stanowiska, ale do PZPR nie wstąpił. Na ordery nie miał co liczyć...

Żołnierze kompanii Grażyna ok. 10 sierpnia 1944 r. podczas czyszczenia broni na dziedzińcu kamienicy przy ul. Mazowieckiej 4. Karabin Mauser trzyma prawdopodobnie kpr. Franciszek „Frycek" Pies

Fot. NN, Zbiory Muzeum Powstania Warszawskiego

„JAK TO NA WOJENCE ŁADNIE..."

Dezercja jest tematem niezwykle skomplikowanym, a przez to wymagającym wnikliwych badań porównawczych. Żołnierze wroga, którzy rozumieli powstańców, a co więcej – przyłączali się do nich i walczyli za ich sprawę, budzili zrozumiały szacunek i wdzięczność. Choć nie mówili wiele, bo często dzieliły ich bariery językowe, to pod twardą, żołnierską skorupą nosili rozdarte serce, osobiste tragedie i wspomnienie bliskich, którzy byli gdzieś daleko. Trudne wybory i ogromne ryzyko z jednoczesną potężną nadzieją na przetrwanie pchały dezerterów z armii wroga w wielką niewiadomą, która może była lepszym wyborem, a może mniejszym złem. Często nawiązywali kontakt z warszawską konspiracją jeszcze przed PW, ale zdarzały się przejścia na stronę polską także podczas toczonych walk miejskich.

eprasa.pl f3f299252a

W hołdzie bohaterom.

Energetycy w Powstaniu Warszawskim

78 lat temu, gdy zmęczona wojną i niemiecką okupacją Warszawa zerwała się do wspólnego buntu, do walki stanęli także pracownicy Elektrowni Powiśle. Oddział warszawskich energetyków, walczący pod dowództwem kpt. Stanisława „Cubryny" Skibniewskiego, nie tylko przejął kontrolę nad elektrownią, ale też utrzymał dostawy energii dla walczącego miasta

Postawa załogi Elektrowni Powiśle jest dziś symbolem najwyższego oddania i miłości do ojczyzny. Książkę o tej walce, pt. „Obrońcy Warszawy. Energetycy w Powstaniu Warszawskim", napisał Michał Tomasz Wójciuk, a publikację przygotowały wspólnie PGE Polska Grupa Energetyczna i wydawnictwo Biały Kruk.

PIELĘGNOWANIE PAMIĘCI

PGE od wielu lat jest zaangażowana w kultywowanie pamięci o energetykach walczących na warszawskim Powiślu.

„1 sierpnia 1944 r. Warszawa powstała, aby walczyć o wolną Polskę. Armia powstańcza licząca ok. 30 tys. ludzi reprezentowała cały przekrój mieszkańców miasta. Na tym tle wyróżniał się oddział z Powiśla, którego członkowie pochodzili z jednego zakładu pracy. Byli to energetycy z elektrowni miejskiej, którzy dzięki swojej odwadze osiągnęli jeden z najważniejszych sukcesów militarnych powstania warszawskiego – zdobyli elektrownię na Powiślu i odpierali przez ponad miesiąc ataki Niemców, jednocześnie dostarczając energię elektryczną do całego miasta" – pisze w przedmowie do książki Wojciech Dąbrowski, prezes zarządu PGE Polskiej Grupy Energetycznej.

– Dzięki elektrowni, jej obrońcom i pracownikom była zapewniona łączność, mogły działać szpitale, drukarnie czy warsztaty zbrojeniowe. Mogło funkcjonować także powstańcze radio, a głos powstania poszedł w świat i był wykorzystywany przez stacje zachodnie w serwisach informacyjnych. PGE Polska Grupa Energetyczna co roku na Powiślu oddaje hołd załodze miejskiej elektrowni. Czujemy nie tylko wielką dumę, ale także obowiązek przybliżenia Polakom historii bohaterskich energetyków biorących udział w powstaniu. W ten sposób pielęgnujemy pamięć o ich wyjątkowych czynach i etosie pracy energetyka – zauważa prezes Dąbrowski.

ETOS BOHATERÓW

Świetnie zorganizowana konspiracja działała na terenie Elektrowni Powiśle przez cały okres niemieckiej okupacji. Od samego początku dowodził nią ówczesny dyrektor zakładu, kpt. Stanisław „Cubryna" Skibniewski. Kiedy wybiła godzina W, jego oddział liczył zaledwie 63 pracowników elektrowni. Ze wspomnień dowódcy opublikowanych w 1963 r. wynika, że podobnie jak cała walcząca Warszawa energetycy od początku zmagali się z dostępem do broni i amunicji. Mimo to, mając do dyspozycji zaledwie ok. 25 pistoletów i kilkadziesiąt granatów, stawiali opór świetnie uzbrojonym 180 niemieckim żołnierzom.

Wróg miał świadomość, jak ważnym i strategicznym obiektem dla całej Warszawy jest elektrownia. Ataki nie ustawały, a pracownicy robili wszystko, by w tych trudnych warunkach nie przerwać pracy i zapewnić ciągłość dostaw energii wszystkim mieszkańcom stolicy. Co więcej, energetycy z Powiśla nie tylko utrzymywali dostawy prądu, ale też podłączali prowizorycznymi liniami piekarnie, punkty dowodzenia, warsztaty i szpitale służące powstańcom. Odłączali także zasilanie w tych miejscach, które zostały opanowane przez niemieckie oddziały.

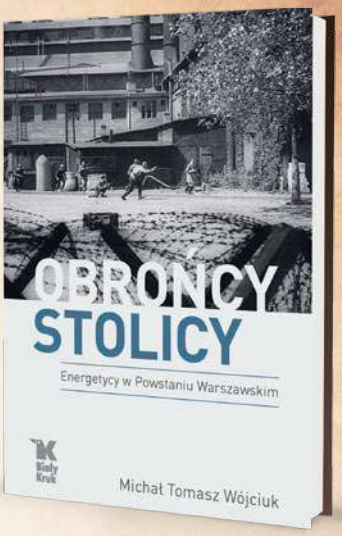

O tym, jak wielkie było zaangażowanie i jak ogromna była determinacja załogi elektrowni, mogą świadczyć choćby listy, których fragmenty opublikowano 14 sierpnia 1944 r. w „Robotniku": „Trzymamy się jednak mocno – przy dużych brakach. Roboty huk. Robimy bez zmian i bez wytchnienia po 12 godzin na dobę, aby dostarczyć ludności prądu, abyście mogli słuchać radia, aby nasze pisma mogły być drukowane. Duch u nas jest dobry. Wytrwamy i przetrwamy".

WALCZYLI DO KOŃCA

Energetycy wbrew wszystkiemu przetrwali 36 dni i nocy nieustannej walki. 3 września Niemcy zburzyli nastawnię elektrowni, a dzień później rozpoczął się szturm na Powiśle, którego jedną z konsekwencji było bombardowanie i unieruchomienie zakładu, dostarczającego prąd do walczącej Warszawy. Obrońcy w takich warunkach przetrwali do 5 września, gdy po południu, w związku z brakiem amunicji, na rozkaz Cubryny oddział wycofał się z elektrowni. 6 września padło całe Powiśle.

Koniec walki na terenie elektrowni nie oznaczał jednak ostatecznego końca walki. Żołnierze kpt. Cubryny walczyli w Warszawie aż do kapitulacji powstania 2 października 1944 r. W czasie wojny zginęło 450 pracowników elektrowni. Umierali w walce o wolną Warszawę, na frontach i w obozach koncentracyjnych. 26 z nich odznaczono Orderem Virtuti Militari. Ich poświęcenie i walka są dla kolejnych pokoleń symbolem niezwykłego hartu ducha i oddania ojczyźnie.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 50/0422/F

eprasa.pl f3f299252a

Od prawej: Jan Markowski, sanitariuszka Małgorzata (Janina Załęska), NN, Wacław Żdżarski

Fot. Domena publiczna

Na powstańczej scenie

Irena Kwiatkowska, Jeremi Przybora, Stefan „Wiech" Wiechecki, Danuta Szaflarska, Mieczysław Fogg. A także wielu innych twórców i artystów. Poprzez ich losy Agnieszka Cubała, autorka książki „Artyści '44", przedstawia czasy okupacji i powstania warszawskiego

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Irena Kwiatkowska nie lubiła wracać wspomnieniami do czasów wojny. Uważała, że następne pokolenia nie zrozumieją tego, co się wtedy czuło i przeżywało.

Gdy nadeszła godzina W, miała 32 lata. Z kolejnych tygodni zapamiętała m.in. zmęczenie. Dokuczało tak mocno, że nie było siły zastanawiać się nad tym, co będzie. Pozostawało zdać się na los. Zwłaszcza gdy nad głową przelatywały rozgrzane do czerwoności szrapnele.

Jako łączniczka (ps. „Katarzyna") wypracowała swój sposób poruszania się pod ostrzałem. Gdy przebiegała przez ulicę, uskakiwała, biegła zygzakiem. Udało się. Nie została nigdy ciężko fizycznie ranna. W pamięci zostały jednak traumatyczne doświadczenia. Związane m.in. z występami w szpitalach, gdzie spotykała dawnych kolegów z estrady i teatru: „całych w bandażach, poranionych, cierpiących. Niektórzy nie mieli już rąk albo nóg. Nie wiadomo było, czy przeżyją...".

PAMIĘTNY WIECZÓR

Jeremi Przybora (rocznik 1915) pracował jako spiker w Polskim Radiu już we wrześniu 1939 r. W sierpniu 1944 r.

eprasa.pl f3f299252a

znów trafił przed mikrofon. Tak wspominał ten czas: „Najsilniejsze przeżycie patriotyczne, jakiego doznałem podczas powstania, to ów pamiętny wieczór po moim zgłoszeniu się do radia. Włócząc się wtedy po pl. Napoleona i jego najbliższej okolicy wśród powiewających biało-czerwonych sztandarów, słuchając tu i ówdzie śpiewanych patriotycznych pieśni, mijając grupki roześmianych i szczęśliwych ludzi, poczułem pierwszy raz po pięciu latach na tym skrawku niepodległej Warszawy zapach wolności, namacalne dotknięcie jakiegoś szczególnego rodzaju szczęścia. [...] trwało (ono) tylko te kilka chwil wieczoru zapadającego nad żywym jeszcze i życia spragnionym, zaledwie draśniętym, ale jeszcze nie rannym, jeszcze śmiercią nie naznaczonym, miastem".

Alina „Alina" Janowska i Włodzimierz „Węgliński" Horbaczewski

Fot. MPW

ETIUDA Z SERCA

O występach na scenach Powiśla i Śródmieścia w sierpniu i wrześniu 1944 r. Tadeusz Fijewski (rocznik 1911) mówił: „Nie można tego nazwać teatrem. To po prostu spotkanie aktora z ludźmi dotkniętymi nieszczęściem, by pomóc im przetrwać. Recytowałem wiersze i monologi, Schiller grał na fortepianie i śpiewał".

Podczas walk – bywało – aktorskie umiejętności ratowały życie. Gdy w pierwszych dniach powstania Niemcy uformowali z warszawiaków żywą tarczę, by chronić swoje czołgi, Fijewski odegrał – jak to określił – „etiudę umierającego na serce".

SANITARIUSZKA MAŁGORZATKA

„Ależ, Krzysiu, napędziłeś nam wszystkim strachu! Doktor Wiesław twierdził, że nic już z Ciebie nie będzie. Udało mi się zdobyć ampułki sympatolu. Wpakowałam ci całą porcję. Jak widzisz, żyjesz, serce funkcjonuje!" – usłyszał po wybudzeniu pianista i kompozytor Jan Krzysztof Markowski (rocznik 1913, ps. „Krzysztof"). W podzięce za opiekę skomponował dla ślicznej Janiny Załęskiej (rocznik 1919, ps. „Małgorzata") jedną z najbardziej znanych powstańczych piosenek. Słowa napisał Mirosław Jezierski (rocznik 1922, ps. „Karnisz"). Oprócz „Sanitariuszki Małgorzatki" autorski duet stworzył też m.in. słynny „Marsz Mokotowa".

ŚPIEWAŁ I ŚPIEWAŁ

O tym, że podczas powstania wziął udział w 104 koncertach, Mieczysław Fogg (rocznik 1901) dowiedział się w... 1958 r. w Londynie. Spotkał tam Olgę Roesler (ps. „Żeromska"), która z ramienia Biura Informacji i Propagandy rejestrowała każdy jego powstańczy występ.

„Wędrowaliśmy w tandemie (z akordeonistą Wiesławem Brodzińskim) od rana do późnych godzin nocnych. Nasze codzienne peregrynacje z pieśnią i piosenką nie były chyba mniej niebezpieczne od pełnienia powstańczych funkcji z karabinem" – oceniał Fogg po latach.

A jak na ich występy reagowali słuchacze? Pisarka i poetka Józefa „Mieczysława" Radzymińska, tak przedstawiła wrażenia z koncertu, który odbył się 22 sierpnia 1944 r.:

„Miękki, ściszony, tęskny głos śpiewaka, blask świec, zasłuchani żołnierze, myśl o grobach, znękanie, głód, choroba, niepewność, tęsknota i niepokój o matkę – może to wszystko stało się powodem moich łez, nie wiem. [...] Fogg śpiewał i śpiewał. Piosenki płynęły jedna za drugą, niepowstrzymane, bez przejścia, wiązanką jakąś, cały snop piosenek, sprawiało to wrażenie, jakby chciał nas nasycić piosenką Warszawy, byśmy zapomnieli o głodzie i o tym, co jeszcze przyjdzie nam tu znieść".

MIAŁAM TO SZCZĘŚCIE

1 sierpnia 1944 r. Danuta Szaflarska (ur. 1915), przebywała na ul. Polnej wraz z matką, mężem, pianistą Janem Ekierem, i maleńką córeczką Marysią. Pierwszej nocy przed budynek zajechał czołg. Wystrzelony przez niego pocisk trafił w piwnicę sąsiedniego domu.

„Miałam to szczęście, że nikt z moich najbliższych nie zginął ani nie został ranny, ale gdy przypominam sobie czas powstania warszawskiego, to trudno mi dziś zrozumieć, jak udało nam się przetrwać tę gehennę aż 63 dni – wspominała aktorka po wojnie. „Okazuje się, że człowiek jest w stanie przywyknąć do wszystkiego. Nabiera z czasem jakiejś twardości, odporności".

W sierpniu i we wrześniu 1944 r. czuwała nad nią Opatrzność. Kiedyś, tuż po tym, jak wybiegła z dzieckiem z domu, przypomniała sobie o pozostawionym obrazku Matki Boskiej Ostrobramskiej. Wróciła po niego i w tym momencie w miejsce, w którym się wcześniej znajdowała, uderzył pocisk – zginęło osiem osób.

„Czy się bałam? Bałam się bomb, szrapneli, granatów. Bałam się o mamę, która tak dzielnie mi towarzyszyła i opiekowała się Marysią. Bałam się o męża, który występował z koncertami...".

eprasa.pl f3f299252a

CHŁOPCY PROSILI, BYM POCZYTAŁ

Mówiono, że jest tak warszawski jak kolumna Zygmunta czy Zamek Królewski. On sam określał siebie mianem „warszawiaka na 24 fajerki".

Stefan „Wiech" Wiechecki (rocznik 1896), twórca słynnych felietonów, chcąc wesprzeć powstanie, rozpoczął współpracę z jedną z gazetek ukazujących się na Starym Mieście. Poza tym uczestniczył w budowaniu barykad, gaszeniu pożarów, odkopywaniu zasypanych, a w kwaterach powstańczych i szpitalach spotykał się z żołnierzami. Tak to wspominał: „Jeden z rannych miał moją książkę »W ząbek czesany«. Chłopcy prosili, aby im poczytać. Przy migającym ogarku świecy zacząłem czytać. Tuż za ścianami rozrywały się pociski, granatniki i moździerze, waliły się z łomotem stare mury, a myśmy sobie czytali o zezowatym baranku, o parasolu w śmietanie. Obok dochodziły jęki, to chirurdzy przeprowadzali bez narkozy amputację rąk i nóg. Ranni zapominali na chwilę o dręczącej rzeczywistości, uśmiechali się".

WYKRZYCZEĆ WSZYSTKO

Małgorzata Damięcka-Lorentowicz, aktorka kojarzona dziś z rolami dystyngowanych dam, gdy wybuchło powstanie miała 17 lat. Pod ps. „Duda" i „Świder" pełniła obowiązki sanitariuszki-łączniczki.

23 września 1944 r. najpierw cudem uniknęła rozstrzelania podczas masakry na podwórku domu przy ul. Solec 53, a potem udało się jej uciec z grupy skierowanej stronę al. Szucha, gdzie doszło do kolejnych zabójstw i zbiorowych gwałtów.

W lutym 1945 r., po powrocie do zniszczonej Warszawy, zgłosiła się do „wydziału grobownictwa PCK".

„Do Warszawy wróciłam, by pogrzebać swoich – mówiła. – Zobaczyłam raz jeszcze śmierć, którą tak dobrze poznałam w czasie powstania, bo na moich rękach konali najbliżsi koledzy. Wiosną 1945 r. zobaczyłam śmierć w stadium rozkładu i w zaduchu. Powinnam czuć wstręt – nie czułam. Potem pracowałam w kartotece działu poszukiwania rodzin. Codziennie komunikowałam żonom, matkom, córkom: »pani mąż nie żyje", »pani ojciec nie żyje«, »pani syn nie żyje«, »nie żyje«, »nie żyje«, »nie żyje«. Kiedyś zapytano mnie, czego najwięcej się lękam. Odpowiedziałam »uczucia strachu«. [...] Teatr to było jedyne miejsce, gdzie myślałam, że będę mogła wykrzyczeć wszystko, co było wtedy we mnie – rozpacz, zawód, strach i śmierć. Nie wykrzyczałam. Zostałam aktorką komediową".

Koncert Mieczysława Fogga tuż po wojnie

BIAŁA BLUZKA

21-letnią Alinę Janowską godzina W zastała w sklepie z artykułami papierniczymi przy ul. Marszałkowskiej, w którym pracowała. W eleganckiej białej bluzce, z broszką poszła do powstania. Tak opisywała zadania łączniczek: „Musiałyśmy nauczyć się poruszania pod ziemią, chodzić piwnicami, korytarzami, kanałami, bo na górze było już bardzo niebezpiecznie. Bywało, że czołgałam się na brzuchu, przeciskałam między ludźmi zbitymi w gęstą masę, czasami gubiłam kierunek. Mapa podziemna była trudna do zapamiętania, ale pomimo przysłowiowych egipskich ciemności doświadczenia z harcerstwa, wszystkie te marsze na azymut i podchody bardzo się przydały. Czekaliśmy na zrzuty z samolotów nadlatujących z angielskich lotnisk. Zazwyczaj nadaremno, bo trafiały one albo w niewłaściwe miejsca, albo okazywały się workiem sucharów, a myśmy przecież czekali na broń, której było jak na lekarstwo".

DŁUGA LISTA

Aktorzy, których pamiętamy z powojennych lat obok największych gwiazd II RP, z ikoną polskiego teatru Leonem Schillerem czy wybitnym scenografem Andrzejem Pronaszką na czele. Amanci filmu, choćby tacy jak Franciszek Brodniewicz. Najpiękniejsze aktorki 20-lecia (m.in. Elżbieta Barszczewska czy Tola Mankiewiczówna) i te, które serca widzów, jak Danuta Szaflarska, podbiły po wojnie. Gwiazdy estrady i znakomici muzycy (w tym Stefan Kisielewski), a na scenach powstańczych m.in. Mira Zimińska, Jan Ekier czy Józef Węgrzyn. I jeszcze robinson warszawski, Władysław Szpilman. I twórcy powstańczej, dziecięcej prasy oraz przedstawień dla najmłodszych...

– To tylko część długiej listy artystów, na których powstanie warszawskie odcisnęło swoje piętno – podkreśla Agnieszka Cubała, która ma już na swoim koncie takie książki, jak „Życie codzienne powstańczej Warszawy", „Igrzyska życia i śmierci. Sportowcy w Powstaniu Warszawskim" czy „Miłość '44". W najnowszej publikacji opisuje losy ponad 30 ludzi sztuki, które sierpień 1944 r. zastał w Warszawie, a ponad 300 twórców i artystów przywołuje w aneksie z rozszerzonymi opisami.

W podsumowaniu Agnieszka Cubała pisze: „Pamięć o tym, co wydarzyło się w roku 1944, pozwoli nam – być może – nie zapominać o tym, że wolność i pokój nie są dane raz na zawsze, a poczucie bezpieczeństwa może okazać się iluzoryczne".

Reklama | 12/0722/F

eprasa.pl f3f299252a

ORLEN

NA WAKACJE

-30 gr/l

-40 gr/l
z KARTĄ DUŻEJ RODZINY

Miesięcznie aż 3 promocyjne tankowania z Programem VITAY. Każde do 50 litrów taniej!

Ważna karta VITAY lub Wirtualna Karta VITAY uprawnia do uzyskania rabatu na 50 l benzyny lub oleju napędowego w wysokości 30 gr/l lub 40 gr/l w przypadku posiadaczy Karty Dużej Rodziny. Każdy dodatkowy litr powyżej 50 l rozliczany jest według ceny ofertowej podanej na dystrybutorze w trakcie tankowania. Promocja nie obejmuje autogazu (LPG), nie łączy się z innymi programami rabatowymi i promocyjnymi i jest ograniczona czasowo – termin obowiązywania w Regulaminie promocji. Promocja dla Zarejestrowanych Uczestników ORLEN VITAY. Regulamin promocji oraz lista stacji uczestniczących w promocji na stronie vitay.pl/rabaty

eprasa.pl f3f299252a

Bo o wolność trzeba się bić

W Muzeum Powstania Warszawskiego odbyła się właśnie premiera książki „Chcieliśmy być wolni" – owocu pracy zespołu historyków MPW. Czytelnicy otrzymali dzieło kompletne, nieskupiające się jedynie na militarnych aspektach powstania warszawskiego, ale przedstawiające z różnych perspektyw życie i walkę na stołecznym polu bitwy

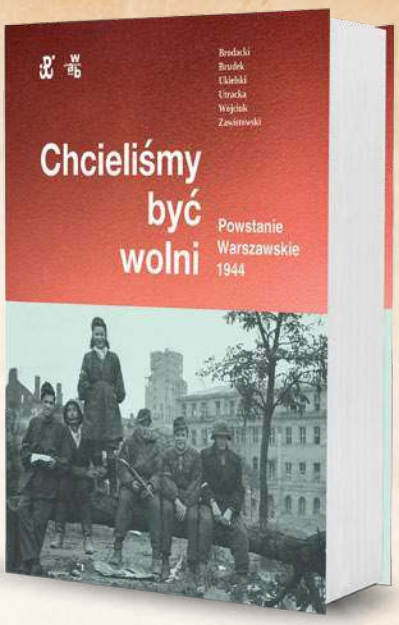

Opowieść o sierpniowym zrywie stolicy, przedstawiona przez sześcioro autorów, nie kończy się 2 października 1944 r. wraz z podpisaniem aktu o zaprzestaniu walk w Warszawie. Narracja sięga znacznie dalej, aż po czasy współczesne. Terytorialnie treść książki również nie osadza czytelnika wyłącznie wśród gruzów płonącego miasta – śmiało wychodzi poza nie, opisując walki w Puszczy Kampinoskiej, przestawiając losy oddziałów AK idących z odsieczą walczącej Warszawie. Zagłębia się także w tajniki moskiewskich pertraktacji między legalnym polskim rządem a Stalinem.

Wielką wartością książki jest zawarcie w niej rozdziału opisującego losy powstańców warszawskich w niewoli, z uwzględnieniem dokonywanych wbrew wszelkim ustaleniom kapitulacyjnym i z pogwałceniem konwencji wojennych zbrodni dokonywanych przez Niemców na polskich jeńcach.

Kolejnym cennym i wieńczącym historię Powstania Warszawskiego jest rozdział poświęcony jego upamiętnianiu od pierwszej rocznicy w 1945 r., przez próby zakłamania i zohydzenia Armii Krajowej i jej dowódców przez komunistyczne władze, po wybudowanie pomnika w Warszawie. I w końcu opisie inicjatywy prezydenta stolicy śp. Lecha Kaczyńskiego, mającej na celu utworzenie Muzeum Powstania Warszawskiego.

Autorzy książki – Rafał Brodacki, Paweł Brudek, Paweł Ukielski, Katarzyna Utracka, Michał Tomasz Wójciuk i Andrzej Zawistowski – są najlepszymi w Polsce, a zatem i na świecie, badaczami historii powstania warszawskiego. Ogrom ich wiedzy nie pochodzi jedynie ze studiowania dzieł innych historyków. Każde z nich poświęciło setki godzin na bezpośrednie rozmowy z ocalonymi powstańcami, żmudne analizy dokumentów, badanie powstańczych artefaktów i broni. Uczestniczyli w odnajdywaniu i otwieraniu nieodkrytych przez wiele lat konspiracyjnych skrytek w kamienicach, które przetrwały samo powstanie i późniejsze planowe wyburzanie stolicy przez niemieckich saperów.

Nie sposób wyobrazić sobie bardziej odpowiedniego zespołu naukowców, który mogłaby stworzyć biblię powstania warszawskiego. Mimo że katalog Biblioteki Narodowej zawiera ok. 1,2 tys. tytułów dotyczących sierpnia i września 1944 r., to historykom z MPW udało się napisać dzieło unikatowe i co równie ważne – takie, które czyta się, jakby wyszło spod jednego pióra.

„Chcieliśmy być wolni" jest prawdziwym popularnonaukowym almanachem powstania warszawskiego. Czytelnik znajdzie na jego kartach opis walk toczonych przez 63 dni, pozna życie codzienne żołnierzy i cywilów w oblężonym mieście, zrozumie problemy, z którymi się zmagali, a także zobaczy hart ducha, bez którego nie mogliby codziennie stawać do walki. Przez kolejne stronice będzie przeżywać radość z powstańczych zwycięstw, doświadczać goryczy porażek i pozna samotność, której doświadczali bohaterowie porzuceni przez aliantów. Opisany ogrom zbrodni dokonanych przez Niemców na bezbronnych mieszkańcach miasta bez względu na ich wiek czy płeć u niejednego czytelnika zaszkli oczy, a u tych mniej obeznanych z historią być może wywoła nawet niedowierzanie. Jednak bogata dokumentacja niemieckiego bestialstwa aż nadto potwierdza czyny przedstawicieli rasy panów.

Ogromnym atutem książki jest zawarta na jej kartach wyjątkowo bogata ikonografia. Obok wielu zdjęć archiwalnych są również prezentowane współczesne fotografie, m.in. eksponatów MPW, upamiętnień i obchodów rocznicowych powstania. Istotnym elementem publikacji są też mapy stolicy obrazujące kurczące się wraz z upływem dni terytorium wywalczonej przez powstańców na początku sierpnia 1944 r. wolnej Polski.

Nie sposób również nie wspomnieć o wyjątkowo szerokich marginesach, którymi są opatrzone stronice publikacji. Nie jest to zabieg mający na celu zwiększenie grubości woluminu. Na dosłownie każdym marginesie autorzy zamieścili ogrom informacji poszerzających opisywane zagadnienia – charakterystyki broni, życiorysy powstańców, opisy miejsc i wyjątkowych zdarzeń. Wszystko to w połączeniu z przystępnym językiem publikacji sprawia, iż jest ona wyróżniającą się pozycją na rynku wydawniczym, dostosowaną do potrzeb nowoczesnych czytelników.

Subiektywnie mocniej zaakcentowałbym powstańcze uzbrojenie – szczególnie to konspiracyjnej produkcji. Ukazanie zdolności polskiego państwa podziemnego do opracowania i wytwarzania różnych środków bojowych jeszcze dobitniej ukazałoby jego siłę. Na szczęście autorzy nie wzbraniają się przed ulepszaniem swojego dzieła w kolejnych jego edycjach.

„Chcieliśmy być wolni" powinno być obowiązkową lekturą dla wszystkich interesujących się polską historią, doskonale sprawdzi się jako pozycja pogłębiająca wiedzę w liceach. Książka ta będzie ozdobą każdego księgozbioru nie tylko ze względu na formę, ale przede wszystkim na wielopłaszczyznowy opis powstania warszawskiego i wydarzeń mu towarzyszących.

Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl f3f299252a

PROGRAM OBCHODÓW 78. ROCZNICY WYBUCHU POWSTANIA WARSZAWSKIEGO – WYBRANE WYDARZENIA

***19 lipca** • wtorek*
godz. 18.00
Premiera książki „Chcieliśmy być wolni. Powstanie Warszawskie 1944”
Sala pod Liberatorem, Muzeum Powstania Warszawskiego

***22 lipca** • piątek*
godz. 20.00
Koncert i premiera płyty „Wolne serca” Kwiat Jabłoni i goście – Park Wolności, Muzeum Powstania Warszawskiego

22 lipca – 7 sierpnia
„Pamięć »W« kadrze”
Czwarta edycja konkursu fotograficznego na najlepsze zdjęcie wykonane podczas obchodów rocznicy wybuchu powstania warszawskiego
Regulamin konkursu na: 1944.pl
Fotografie należy wysłać na: foto@1944.pl

***24 lipca** • niedziela*
godz. 18.00
Msza święta z udziałem powstańców, harcerzy i warszawiaków – Park Wolności, Muzeum Powstania Warszawskiego

***30 lipca** • sobota*
godz. 8.00
Apel rozpoczynający Zlot Harcerski „Wierni w życiu i służbie” w 78. rocznicę wybuchu powstania warszawskiego – Baza zlotu, Wybrzeże Gdyńskie, obok Centrum Olimpijskiego

godz. 8.00
Spotkanie powstańców warszawskich z prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej Andrzejem Dudą i prezydentem m.st. Warszawy Rafałem Trzaskowskim
Uroczystość nadania odznaczeń państwowych przez prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Park Wolności, Muzeum Powstania Warszawskiego
Wstęp z zaproszeniem dla powstańców i ich rodzin
Wydarzenie transmitowane na profilu Muzeum Powstania Warszawskiego na Facebooku

***31 lipca** • niedziela*
godz. 11.00
„Dziś – jutro – pojutrze, czyli konspiratorzy, powstańcy i naukowcy” – Rodzinne spotkanie edukacyjne – Park Wolności, Muzeum Powstania Warszawskiego **– Wstęp wolny**

1 sierpnia • poniedziałek
godz. 17.00
„Wolność łączy” – Akcja społeczna w miejscach pamięci powstania warszawskiego na terenie całej Warszawy

godz. 20.30
„Warszawiacy śpiewają (nie)zakazane piosenki” – Wspólne śpiewanie piosenek powstańczych z udziałem orkiestry i chóru pod kierownictwem Jana Stokłosy
Pl. Marszałka Józefa Piłsudskiego
Śpiewniki do pobrania na: 1944.pl
Wydarzenie transmitowane w TVP1 i na profilu Muzeum Powstania Warszawskiego na Facebooku

godz. 24.00
Uroczysta premiera spektaklu teatralnego „Kwatera bożych pomyleńców” w adaptacji i reżyserii Katarzyny Kasicy – Przedstawienie na motywach powieści Władysława Zambrzyckiego
Występują: Leszek Bzdyl, Maria Ciunelis, Grzegorz Falkowski, Barbara Jonak, Lech Łotocki, Zbigniew Waleryś
Sala pod Liberatorem, Muzeum Powstania Warszawskiego
Wstęp z zaproszeniem

***2 sierpnia** • wtorek*
godz. 9.00
Apel kończący Zlot Harcerski w 78. rocznicę Powstania Warszawskiego – Baza zlotu, Wybrzeże Gdyńskie, obok Centrum Olimpijskiego

***3–6 sierpnia** • środa–sobota*
godz. 20.00
Spektakl teatralny „Kwatera bożych pomyleńców” w adaptacji i reżyserii Katarzyny Kasicy – Przedstawienie na motywach powieści Władysława Zambrzyckiego – Sala pod Liberatorem, Muzeum Powstania Warszawskiego
Ograniczona liczba uczestników – Bilety do nabycia w kasie MPW oraz na: bilety.1944.pl i eventim.pl

***4 sierpnia** • czwartek*
godz. 17.00
Otwarcie wystawy „Wola 1944: Wymazywanie. Ludobójstwo i sprawa Reinefartha”
Antresola, Muzeum Powstania Warszawskiego
Wstęp z zaproszeniem

***5 sierpnia** • piątek*
godz. 18.00
Uroczystość w hołdzie ludności cywilnej Woli
Przy pomniku Pamięci 50 Tysięcy Mieszkańców Woli Zamordowanych przez Niemców podczas Powstania Warszawskiego 1944, skwer Pamięci w rozwidleniu ul. Leszno i al. Solidarności

godz. 19.00
Marsz Pamięci – Uroczyste przejście w kierunku cmentarza Powstańców Warszawy upamiętniające mieszkańców stolicy, którzy zginęli podczas powstania warszawskiego – w trakcie marszu będą wyczytywane ich nazwiska
Początek na skwerze Pamięci w rozwidleniu ul. Leszno i al. Solidarności
Wydarzenie transmitowane na profilu Muzeum Powstania Warszawskiego na Facebooku

godz. 20.30
Zakończenie Marszu Pamięci – Zapalenie zniczy na kurhanie przy pomniku Polegli Niepokonani i na wystawie „Zachowajmy ich w pamięci” poświęconej ofiarom cywilnym powstania warszawskiego – Park Powstańców Warszawy
Wydarzenie transmitowane na profilu Muzeum Powstania Warszawskiego na Facebooku

***6 sierpnia** • sobota*
godz. 10.00–20.00
„Labirynt ’44” – Gra plenerowa łącząca elementy zagadek edukacyjnych i escape roomu
Miejsce gry – zagadka do rozwiązania
Ograniczona liczba uczestników
Udział po rejestracji na: rejestracja.1944.pl

godz. 17.00
Masa Powstańcza 2022 – Przejazd rowerowy szlakiem Batalionu AK „Golski” – Start: park Wolności, Muzeum Powstania Warszawskiego
Udział po rejestracji: rejestracja.1944.pl
Wydarzenie transmitowane na profilu Muzeum Powstania Warszawskiego na Facebooku

---

CENTRUM INFORMACYJNE

Z myślą o powstańcach warszawskich, warszawiakach oraz turystach od 22 lipca do 2 sierpnia w Muzeum Powstania Warszawskiego działa centrum obchodów 78. rocznicy wybuchu powstania warszawskiego.

Czynne codziennie od godz. 10.00 do 18.00. Budynek C, Muzeum Powstania Warszawskiego, ul. Grzybowska 79, tel. (+48) 22 376 68 37, (+48) 22 539 79 36

Dodatek przy współpracy MPW przygotowali Andrzej Skwarczyński i Tomasz Ozdowy

eprasa.pl f3f299252a

Niemiecki ambaras

JAN PARYS

Wojna na Ukrainie przyniosła m.in. wzrost międzynarodowego znaczenia Polski. Jednocześnie nastąpiło widoczne osłabienie pozycji międzynarodowej Niemiec. To jednak nie znaczy, że politycy w Berlinie chcą szukać porozumienia z Polską. Przeciwnie

Niemcy widzą w Polsce główną przeszkodę w realizacji swojej dotychczasowej polityki zagranicznej i gospodarczej w Europie. Polska jako główny sojusznik USA w Unii Europejskiej kwestionuje bowiem ich prorosyjską politykę zagraniczną. Nasz kraj jest liderem wśród państw tworzących Trójmorze oraz w grupie tzw. Bukaresztańskiej Dziewiątki. Obie te struktury utrudniają RFN zajmowanie pozycji dominującej w Europie.

Niemcy nie działają wprost przeciwko Polsce, jednak zrobią wszystko, by uzależnić nas od Unii, w której mają głos decydujący. Zaraz po czerwcowym szczycie NATO w Madrycie nastąpił kolejny frontalny atak Brukseli na Polskę. Pełne uzależnienie Polski od UE jest warunkiem, by powrócił dawny układ sił w Europie, dzięki któremu Niemcy razem z Rosją mogły osłabiać wpływy USA na Starym Kontynencie.

* * *

Szczyt NATO w Madrycie był sukcesem USA. Wszystkie państwa paktu podpisały nową koncepcję strategiczną, w której Rosję określono jako zagrożenie. Niemcy nie mogły się uchylić od akceptacji tego aktu, bo groziłoby to izolacją polityczną. Jednak cały czas politycy niemieccy nie wyobrażają sobie architektury bezpieczeństwa w Europie bez Rosji. Delegacji niemieckiej w Madrycie nie udało się powstrzymać pomocy militarnej dla Ukrainy, by w ten sposób wymusić na władzach w Kijowie zawarcie rozejmu z Rosją. Brak udzielania pomocy wojskowej przez Berlin dla walczącej Ukrainy jasno świadczy o tym, że Niemcy były i są sojusznikiem Rosji, nawet kiedy trwa wojna. Nie jest też przypadkiem, że Niemcy blokują wypłaty środków z UE dla Polski, kiedy nasz kraj broni Europy przed rosyjską agresją.

Jedyna droga, by Niemcy mogły kontynuować politykę prorosyjską, to uderzenie w sojuszników USA w Europie. W niektórych państwach sprawę wzięli w swoje ręce agencji rosyjscy. Ostatnio doszło do perturbacji politycznych w Wielkiej Brytanii, Słowenii, Estonii i we Włoszech. W Polsce zmiany polityczne są inspirowane przez Berlin przy użyciu Komisji Europejskiej jako fasady. Wymiana władzy w Polsce jest w przygotowaniu i ma być dokonana przed wyborami parlamentarnymi przez naciski polityczne, atak propagandowy i szantaż finansowy. W tej chwili główną siłą wykorzystywaną do inicjowania przewrotu politycznego za pomocą szantażu finansowego w Polsce jest KE.

Politycy niemieccy mają świadomość, że wskutek uzależnienia energetycznego stracili zdolność do suwe-

Fot. Shutterstock

eprasa.pl f3f299252a

rennych decyzji. Są na łasce Moskwy, która odcinając dostawy surowców, może w każdej chwili wywołać w Niemczech potężny kryzys gospodarczy i polityczny. Przewrócenie rządu PiS jest nie tylko w interesie Niemiec. To także gwarancja dla Rosji, że wróci rosyjsko-niemieckie kondominium w Europie.

* * *

RFN od chwili zjednoczenia obu państw niemieckich prowadzi politykę, która ma im zapewnić pozycję globalnego gracza. Dzięki tanim surowcom z Rosji i wykorzystaniu parasola militarnego USA Niemcy mogły rozwinąć swój przemysł i stać się mocarstwem eksportowym. Politycy niemieccy dobrze pamiętają, że to przez udział Stanów Zjednoczonych w II wojnie światowej III Rzesza ją przegrała. Stąd w Berlinie od dawna podejmowane są inicjatywy, by osłabiać międzynarodową pozycję USA. Polityka wspierania Rosji ma dla RFN uzasadnienie zarówno polityczne, jak i gospodarcze – pozwala Niemcom osłabiać USA rosyjskimi rękoma. Zatem nikt nie powinien się dziwić, że Berlin nie udziela pomocy wojskowej walczącej Ukrainie. To nie jest przypadek, lecz część długofalowej strategii wspierania Rosji.

Atak KE na polski system prawny w lipcu 2022 r. jest częścią globalnej polityki Niemiec – wynika z postrzegania swoich interesów wobec USA i Rosji. Tu idzie nie tylko o to, że RP chce utrzymać swoją suwerenność, a Berlin chce nas widzieć jako państwo uzależnione. Chodzi o to, że Polska jest główną siłą proamerykańską w Europie. To widać na przykładzie obrony Ukrainy przez USA, która bez zaangażowania Polski nie byłaby możliwa.

Nasz kraj znalazł się w trudnej sytuacji. Główne państwo UE i nasz sąsiad prowadzi od zakończenia zimnej wojny politykę prorosyjską. Dla nas jest to skrajnie niebezpieczne. Polska wobec zagrożenia ze strony Rosji nie ma wyboru, musi szukać sojuszników wśród państw zdolnych do oporu wobec rosyjskiej dominacji. Zatem Polska jest zmuszona do odrzucenia kooperacji z Niemcami, dopóki Berlin będzie kontynuował politykę prorosyjską. Dziś taka współpraca nie ma sensu, bo stanowi zagrożenie egzystencjalne dla państwa polskiego. Obecnie władze Niemiec, a za nimi władze UE, zawsze wybiorą interes Rosji, lekceważąc bezpieczeństwo państw Europy Wschodniej.

W obliczu dominacji Niemiec w Unii Polska nie ma szans na poprawne i uczciwe relacje z władzami w Brukseli, te nie prowadzą negocjacji z Polską w dobrej wierze. KE wykonuje zadanie zlecone przez Berlin, by doprowadzić do całkowitego podporządkowania RP pod względem prawnym i politycznym. To, czy do tego dojdzie przez obalenie obecnego rządu, czy przez złamanie kręgosłupa politycznego władzy PiS, jest dla polityków z Berlina obojętne.

Ewentualna zmiana polityczna w Polsce będzie miała wpływ na układ sił w Europie i na pozycję USA na naszym kontynencie. Polska przestanie odgrywać rolę głównego obrońcy flanki wschodniej przed Rosją. Nasz kraj przestanie wspierać Ukrainę politycznie, materialnie i wojskowo. Nowa władza w Warszawie zacznie prowadzić dokładnie taką politykę jak Berlin, czyli werbalnie prozachodnią, a w rzeczywistości prorosyjską. Warto pamiętać, że rząd Platformy Obywatelskiej, kierowany przez premiera Tuska w 2008 r., odrzucił projekt budowy tarczy antyrakietowej w Polsce, bo było to zgodne z interesem Niemiec. Po dojściu do władzy Platforma wróci do prowadzenia polityki zagranicznej wyłącznie w interesie Berlina.

* * *

W lipcu 2022 r. KE dała Polsce dwa miesiące na rezygnację z suwerenności, tj. uznanie, że polska konstytucja jest podrzędna wobec unijnego prawa, a orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego mogą być anulowane przez władze Unii. Te żądania nie mają podstaw w traktacie o UE, który podpisała Polska. Jest to jedynie wynik nacisków niemieckich. Szef rządzącej partii Jarosław Kaczyński odpowiedział krótko: „Dosyć tego", czyli że na to zgody nie będzie. Jesienią br. ma być opublikowany w czterech językach raport o niemieckich zbrodniach w Polsce w czasie II wojny światowej oraz o poniesionych przez nasz kraj stratach materialnych. Będą także złożone pozwy sądowe wobec RFN o odszkodowania za tę wojnę. Takie odszkodowania RFN wypłaciła wielu krajom, ale nie chce wypłacić Polsce.

Wygląda na to, że wskutek agresji prawnej, którą KE organizuje wobec Polski, w Europie rozpocznie się polityczna wojna. W 1939 r. Niemcy chciały pozbawić Polskę suwerenności przez odebranie Gdańska i tzw. korytarz. Dziś chcą odebrać Polsce suwerenność przez uzależnienie naszego kraju od niemieckich marionetek w Brukseli. Taki rozwój wydarzeń wpłynie na sytuację wewnątrz UE i NATO. Z inicjatywy Berlina dojdzie do osłabienia Zachodu, czyli do wydarzeń w interesie Rosji. Dla Polski jest to spór o podstawy egzystencji i tak jak w 1939 r. nie może ona ulec czyimkolwiek żądaniom ograniczającym suwerenność. W XX w. Niemcy, współpracując z Rosją, doprowadziły do wybuchu II wojny światowej. Niestety, jak widać historia niczego nie nauczyła polityków z Berlina. Dziś, by kontynuować kooperację z Rosją, są gotowi wywoływać poważne konflikty z Polską i doprowadzić do destrukcji obecnych struktur europejskich. Widać, że zarówno Polskę, jak i Europę traktują wyłącznie instrumentalnie, jako narzędzie do realizacji własnych egoistycznych interesów.

Komisja Europejska nie jest właścicielem żadnych funduszów, a mimo to szantażuje RP, wstrzymując wypłatę środków finansowych. KE dysponuje środkami tylko dlatego, że Polska i inne kraje zobowiązały się spłacić zaciągane przez nią kredyty. Zatem Komisja zachowuje się wobec Polski jak kasjer, który jest złodziejem i nie wypłaca tego, co się komuś należy. Bo według KE Polska ma spłacać pożyczki, których nie otrzyma. I na dodatek, mimo że podżyrowaliśmy pożyczkę, to mamy spełniać wiele pozafinansowych żądań wymyślonych w Berlinie.

Jeżeli UE wymusi zmianę władzy w Polsce, nasz kraj zacznie odgrywać rolę głównych aktywów w prorosyjskiej polityce Niemiec. W tym sensie operacja, którą prowadzą Niemcy wobec Polski rękoma Unii, ma znaczenie międzynarodowe. Polityka UE wobec RP nie ma znaczenia bilateralnego i nie prowadzi jedynie do przewrotu wewnętrznego. To ma być według polityków z Berlina duży przewrót geopolityczny na terenie Europy. Ma powstać układ sił już bez wpływów USA na naszym kontynencie, czyli stanie się coś ważniejszego niż wojna na Ukrainie.

eprasa.pl f3f299252a

Tęczowa infiltracja

Kościół katolicki staje się dziś obiektem ideologicznej kolonizacji przez środowiska LGBT+, które próbują od środka zmienić jego nauczanie. Dlaczego Kościół jest bezbronny wobec tej inwazji?

GRZEGORZ GÓRNY

Współczesna demokracja liberalna na Zachodzie stworzyła swój własny „czas święty" z kalendarzem upamiętnień, rocznic i wydarzeń. W tej nowej świeckiej tradycji czerwiec jest obchodzony jako „miesiąc dumy gejowskiej". W tym okresie przestrzeń publiczna jest nasycona tęczową symboliką, a dni wypełnione rozlicznymi festynami i paradami. To zjawisko społeczne, kulturowe i obyczajowe wkracza także do Kościoła, nabierając wymiaru religijnego. W związku z tym w ub.m. doszło do wielu spektakularnych wydarzeń w świecie katolickim. Przywołajmy kilka z nich.

sprasa.pl f3f299252a

PROWINCJAŁ FRANCISZKANÓW

W Niemczech 300 franciszkanów z prowincji św. Elżbiety wybrało na swojego nowego przełożonego o. Markusa Fuhrmanna, który zaledwie kilka tygodni wcześniej dokonał coming outu i publicznie ogłosił, że jest homoseksualistą. Okazało się, że powyższa deklaracja otworzyła mu drogę do objęcia nowego stanowiska. Przysporzyła mu bowiem głosy licznych zakonników, którzy domagają się innowacji w Kościele. Sam Fuhrmann, kandydując na przełożonego, nie ukrywał, że jest zwolennikiem zniesienia celibatu kapłańskiego oraz wyświęcania kobiet na księży.

Wybór takiego, a nie innego prowincjała jest rezultatem zupełnego ignorowania obowiązującej w Kościele katolickim instrukcji Benedykta XVI z 2005 r. o zakazie przyjmowania do seminariów duchownych oraz wyświęcania na księży homoseksualistów. Ci ostatni nie tylko bez przeszkód wstępują do stanu kapłańskiego, lecz także dążą potem do zmiany nauczania moralnego Kościoła, a zwłaszcza etyki seksualnej.

GEJOWSKA HOMILIA O „CUDACH"

W kościele św. Patryka w Chicago ksiądz podczas mszy, zamiast wygłosić homilię, zaprosił do prezbiterium parę gejowską, Alexa Shingletona i Landona Duykę, którzy opowiedzieli o swoim „homoseksualnym małżeństwie". Odnosząc się do przeczytanego wcześniej fragmentu z Ewangelii, porównali oni rozmnożenie przez Chrystusa chleba i ryb do swojego ślubu cywilnego oraz do adoptowania przez siebie dwójki dzieci, nazywając te wydarzenia cudem.

Na ich występ w kościele wyraził zgodę tamtejszy metropolita kard. Blase Cupich, uchodzący za największego homolobbystę wśród wszystkich purpuratów na świecie. W swojej archidiecezji nie tylko propaguje on ideologię LGBT+, lecz także szykanuje księży, którzy publicznie krytykują akty homoseksualne. Ponieważ zasiada on w watykańskiej Dykasterii ds. Biskupów, ma wpływ zwłaszcza na mianowanie hierarchów katolickich na kontynencie północnoamerykańskim.

Fot. Matteo Nardone / Pacific Press / Shutterstock / East News

LESBIJSKIE „DEUS VULT"

W kościele parafialnym Beata Vergine del Carmelo w Montesilvano w diecezji Pescara proboszcz oddał podczas mszy głos dwóm lesbijkom, Danieli i Ariannie, które opowiedziały wiernym o swoim homoseksualnym związku. Kobiety stwierdziły, że to sam Bóg sprawił, iż natrafiły na siebie, a ponieważ Najwyższy nie może się mylić, zatem ich związek jest zaplanowany i pożądany przez Stwórcę. To jakby współczesna wersja słynnego zawołania papieża Urbana II z synodu w Clermont: „Deus vult" (Bóg tak chce).

Powyższa argumentacja zyskała akceptację Kościoła przynajmniej na szczeblu parafialnym, ponieważ miejscowy proboszcz, ks. Valentino – jak wyznała Arianna – „towarzyszy nam jako parze", by „pielęgnować naszą miłość". Kapłan przysłuchiwał się temu i kiwał aprobująco głową.

BŁOGOSŁAWIEŃSTWO W ŚWIĄTYNI

W kościele San Lorenzo w Budrio w archidiecezji bolońskiej odbyła się pierwsza we Włoszech uroczysta ceremonia pobłogosławienia pary jednopłciowej w świątyni katolickiej. Gejowski związek Pietro Morottiego i Giacomo Spagnolego, zawarty wcześniej przed urzędnikiem gminy, pobłogosławił w kościele ks. Gabriele Davalli, dyrektor Diecezjalnego Urzędu ds. Duszpasterstwa Rodzin.

Kapłani uczestniczący w uroczystości usprawiedliwiali swoją obecność tym, że nie można przecież nikomu odmówić błogosławieństwa. Najwidoczniej zapomnieli o nocie watykańskiej Kongregacji Doktryny Wiary z marca 2021 r., która wyraźnie zabrania błogosławienia związków jednopłciowych przez księży w świątyniach. Przyczyna jest prosta: Kościół z zasady nie może błogosławić grzechu, a akty homoseksualne z samej swojej natury są grzeszne.

Główny celebrans, ks. Davalli, przyznał, że o ceremonii poinformował wcześniej arcybiskupa archidiecezji, kard. Matteo Zuppiego, pełniącego od ponad miesiąca funkcję przewodniczącego Konferencji Episkopatu Włoch. Hierarcha nie wyraził sprzeciwu.

KAGAŃCOWY KODEKS

Z kolei w Szwajcarii nowy ordynariusz diecezji Chur, bp Joseph Maria Bonnemain, wprowadził kodeks mający na celu przeciwdziałanie nadużyciom, który muszą podpisać wszyscy podlegli mu księża i osoby świeckie. W dokumencie znalazły się m.in. następujące punkty: „Wyrzekam się jakichkolwiek negatywnych ocen rzekomo niebiblijnych zachowań dotyczących orientacji seksualnej", „Uznaję prawa seksualne za prawa człowieka, w szczególności prawo do samostanowienia seksualnego", „W rozmowach nie będę wypowiadał się samorzutnie o sprawach związanych z seksualnością", „Wyrzekam się wszelkich form dyskryminacji ze względu na orientację lub tożsamość seksualną".

Akceptacja powyższych punktów oznacza, że kapłani nie będą mogli mówić o zachowaniach seksualnych, które Biblia uznaje za grzeszne, ani zwracać wiernym uwagi na niebezpieczeństwa związane z przekroczeniem prawa naturalnego, norm moralnych i Bożego objawienia. Dlatego 44 księży z diecezji Chur napisało do swojego biskupa z list z prośbą o wycofanie kodeksu lub przeredagowanie go tak, by usunąć kontrowersyjne wymagania. Ich zdaniem dokument pod pretekstem walki z nadużyciami uderza w nauczanie Kościoła, wprowadzając do niego elementy ideologii LGBT+.

W odpowiedzi bp Bonnemain opublikował list, w którym powtórzył swoje żądanie, twierdząc, że wszystkie sporne fragmenty w kodeksie są zgodne z Magisterium. Wspomniani księża nie zgadzają się z jego interpretacją, zauważając, że w oficjalnym nauczaniu Kościoła nie ma mowy ani o orientacjach seksualnych, ani o samostanowieniu seksualnym, dlatego uważają postępowanie hierarchy za nadużycie.

KTO JEST PRZEŚLADOWANY

Najbardziej znany homolobbysta w Kościele katolickim, amerykański jezuita ks. James Martin, mianowany przez Franciszka konsultorem w Dykasterii ds. Komunikacji Stolicy

eprasa.pl/3i299252a

Apostolskiej, opublikował w gejowskim magazynie „Outreach" tekst, w którym napisał, że to nie przypadek, iż czerwiec jest jednocześnie miesiącem Najświętszego Serca Jezusowego i miesiącem dumy gejowskiej. Jego zdaniem te dwa wydarzenia znakomicie się uzupełniają. Po pierwsze: inicjatorzy wspomnianego święta, św. Małgorzata Maria Alacoque i św. Klaudiusz de la Colombière, byli przez swoich współczesnych niezrozumiani i odrzucani – zupełnie tak samo jak dziś przedstawiciele środowisk LGBT+. Po drugie: Chrystus jest najbliżej tych, którzy są najbardziej pogardzani i represjonowani na świecie, a więc – jak twierdzi ks. James Martin – reprezentantów ruchu LGBT+.

Amerykański jezuita pominął zupełnie fakt, że najbardziej prześladowaną grupą na naszym globie są dziś wyznawcy Chrystusa, co od dziesięcioleci potwierdzają wszystkie statystyki. Niezależnie od tego katolicyzm rzeczywiście jednak naucza, że serce Jezusa jest otwarte na wszystkich grzeszników – ale nie na grzech. Misją Kościoła jest odpuszczanie grzechów, a nie ich usprawiedliwienie. O tym jednak ks. Martin milczy.

„DOBRE" RADY DLA RODZICÓW

Narodowa Komisja Oceny Filmów to instytucja powstała w 1968 r. w ramach Konferencji Episkopatu Włoch. Jej zadaniem jest recenzowanie produkcji filmowej oraz jej rekomendowanie lub odradzanie pod kątem wartości społecznych, artystycznych, moralnych i religijnych. Inicjatorom przedsięwzięcia chodziło przede wszystkim o wskazanie katolikom, czy dany film jest odpowiedni dla ich rodzin lub dzieci. Każde dzieło komisja oceniała jako „polecane", „dopuszczalne", „wątpliwe" lub „niedopuszczalne". Dzięki temu rodzice we Włoszech, którzy nie mają czasu oglądać kreskówek, a mają zaufanie do episkopatu, mogli wyrobić sobie zdanie na temat tego, czy dany obraz może być obejrzany przez ich pociechy.

Ostatnio wspomniana instytucja zajęła się najnowszą produkcją animowaną wytwórni Disney i Pixar pt. „Buzz Astral". Jedne z głównych bohaterek tego filmu są lesbijkami, które całują się nawet na ekranie, a także sprawiają sobie dziecko. Wymowa jest taka, jakby homoseksualna miłość i rodzina były czymś całkowicie normalnym i akceptowalnym. Narodowa Komisja Oceny Filmów ani słowem nie zająknęła się jednak o tym wątku, sprzecznym przecież z nauką Kościoła, a zamiast tego zaleciła obraz jako wart zobaczenia, ponieważ koncentruje się on na wartości pracy zespołowej, pomagania sobie i solidarności.

> Coraz częściej są nagradzani w Kościele hierarchowie, którzy publicznie podważają oficjalną naukę katolicką na temat związków jednopłciowych. Awansowani są ci, którzy opowiadają się za akceptacją aktów homoseksualnych

NOWA LINIA PODZIAŁU

Powyższe przykłady poza promocją tej samej ideologii łączy jeszcze jedna wspólna rzecz. Żaden ze wspomnianych przypadków nie doczekał się reakcji ze strony hierarchii kościelnej, choć wszystkie dotyczyły propagowania postaw i zachowań sprzecznych z katolicyzmem. Zwłaszcza działania i zaniechania biskupów nie spotkały się z żadną reprymendą Stolicy Apostolskiej. Bardzo mocno kontrastuje to z postępowaniem Watykanu za pontyfikatu Jana Pawła II. W 1995 r. wystarczyło, że francuski biskup Jacques Gaillot wypowiedział się afirmatywnie na temat homoseksualizmu, sugerując, że nie jest to grzech, a spotkała go za to natychmiastowa kara. Został przez papieża w trybie ekspresowym odsunięty od kierowania diecezją Évreux.

Dziś tego typu sankcje w Kościele za podobne wypowiedzi należą już do przeszłości. Co więcej, awansowani i nagradzani są hierarchowie, którzy publicznie podważają oficjalną naukę katolicką na temat związków jednopłciowych, a nawet domagają się całkowitego jej porzucenia. Najlepszym przykładem są Stany Zjednoczone, gdzie aż pięciu kardynałów nominowanych przez Franciszka (Blase Cupich, Joseph Tobin, Kevin Farrell, Wilton Gregory i Robert McElroy) opowiada się za akceptacją aktów homoseksualnych.

To pokazuje, jak dalece duża część dzisiejszego Kościoła katolickiego została skolonizowana ideologicznie przez środowiska LGBT+. Zazwyczaj kiedy mówi się o „lawendowej mafii" wśród katolickiego duchowieństwa, ma się na myśli liczne nadużycia i skandale seksualne. Poza wymiarem cielesnym istnieje jednak także wymiar duchowy. W tej sferze sprowadza się on do postulatów zmiany doktryny Kościoła w trzech punktach. Po pierwsze: porzucenia nauki o grzesznym charakterze homoseksualnych aktów płciowych. Po drugie: przyjmowania do seminariów duchownych i wyświęcania na księży homoseksualistów (nadal obowiązuje w tej sprawie zakaz wydany przez Benedykta XVI, jednak jest on dziś masowo łamany przez wielu hierarchów, zwłaszcza w krajach zachodnich). Po trzecie: błogosławienia par jednopłciowych w świątyniach, a w przyszłości nawet organizowania im ceremonii małżeństwa.

Powyższe żądania cieszą się poparciem nie tylko księży gejów, lecz także licznych duchownych, którzy zostali mentalnie skolonizowani przez współczesne ideologie. To sprawia, że linia frontu w wojnie kulturowej nie przebiega dziś między Kościołem katolickim a światem liberalnym, lecz wewnątrz samego Kościoła.

eprasa.pl f3f299252a

Kto wie lepiej

Joanna Kulig, gwiazda nominowanej do Oscara „Zimnej wojny", promienna ambasadorka polskiego kina, wraca na rodzimy duży ekran. W komedii „Każdy wie lepiej" towarzyszą jej m.in. Grażyna Szapołowska i Andrzej Seweryn

Fot. Andrzej Wencel

eprasa.pl f3f299252a

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Po sukcesie nagrodzonej Złotą Palmą i nominowanej do trzech Oscarów „Zimnej wojny" Pawła Pawlikowskiego Joanna Kulig – odtwórczyni roli Zuli, która rozkochuje w sobie Wiktora (Tomasz Kot) – zyskała szansę na międzynarodową karierę. I na trzy lata – także z powodów pozazawodowych – zniknęła z polskich ekranów.

W tym czasie została mamą i zagrała m.in. w miniserialu Netfliksa „The Eddy", wyreżyserowanym przez Damiena Chazelle'a, twórcę głośnego „Whiplash" oraz nagrodzonego sześcioma Oscarami (w tym za reżyserię) musicalu „La La Land". Wzięła również udział w dwóch polskich produkcjach – serialu „Pajęczyna" oraz filmie, która wchodzi właśnie do polskich kin.

SCENICZNY LUZ

„Każdy wie lepiej" to komedia wyreżyserowana przez Michała Rogalskiego na podstawie scenariusza Krzysztofa Raka („Bogowie" i „Sztuka kochania. Historia Michaliny Wisłockiej"). Para głównych bohaterów (grają ich Joanna Kulig i Michał Czernecki) próbuje stworzyć szczęśliwą patchworkową rodzinę. Na przeszkodzie stają jednak intrygi najbliższych, w których wcielają się m.in.: Grażyna Szapołowska, Ewa Wencel, Maria Maj, Andrzej Seweryn i Maciej Musiałowski.

Ten ostatni po głośnej „Sali samobójców. Hejterze" w filmie Rogalskiego odsłania przed widzami komediowy talent. O tym, że poza aktorskimi i wokalnymi możliwościami ma też estradowy luz pokazał, występując w duecie z równie uzdolnioną wokalnie i scenicznie Joanną Kulig. Podczas czerwcowego koncertu „Uroczysty Wodecki" podbili publiczność wykonaniem utworu „Nad wszystko uśmiech Twój". W maju jako jurorka 75. Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Cannes Joanna Kulig zapracowała sobie na tytuł promiennej ambasadorki polskiego kina.

FILMOWE ZAKRĘCENIE

To była jej trzecia wizyta w Cannes. Pierwszą odbyła jako marząca o karierze dziewczyna. Potem, w 2018 r., trafiła na festiwal jako aktorka startującej w konkursie głównym „Zimnej wojny". W tym roku została jurorką sekcji Un Certain Regard, a kolorowe portale nie mogły się nachwalić jej pozytywnego wizerunku i kreacji na czerwonym dywanie.

Cannes dobrze się aktorce kojarzy. To od Złotej Palmy dla reżysera „Zimnej wojny" zaczęła się jej międzynarodowa przygoda: promocja w Europie, później wyjazd do Stanów, kampania oscarowa. „Chwilę potem urodził się Janek, mój syn. Kiedy wróciłam z USA, spędziłam sześć miesięcy w Paryżu na planie serialu »The Eddy«. Po nim miałam pół roku spokojniejszego macierzyństwa w Warszawie, bez pracy. I bach, zaczęła się pandemia" – opowiadała w rozmowie dla polskiej edycji „Vouge'a".

Kiedy branża znowu zaczęła funkcjonować, powstały zdjęcia do komedii „Każdy wie lepiej", zaraz potem aktorka pojechała na Litwę, na plan francuskiego „Kompromatu" w reż. Jérôme'a Salle'a. Później – jak wspomina w rozmowie – były trzy miesiące na ładowanie baterii, odwołanie kanadyjskiego projektu, a za chwilę zdjęcia „Pajęczyny". Po ich zakończeniu aktorka wpadła do Londynu, żeby pojawić się w odcinku serialu „Masters of the Air" Cary'ego Fukunagi, reżysera ostatniego bonda. Stamtąd wyjechała do USA, gdzie powstawał „She Came to Me" Rebecki Miller.

„Mieszkaliśmy w Los Angeles, ale latałam na próby do Nowego Jorku, chciałam się rozgadać" – opowiadała w wywiadzie.

Podczas całego wyjazdu towarzyszyli jej mąż, reżyser Maciej Bochniak, i synek. Potem z Los Angeles przeniosła się do Nowego Jorku na zdjęcia, a stamtąd do Paryża na przymiarki i dalej już prosto do Cannes. „Dużo tego! A przecież oprócz tego jest jeszcze życie..." – sumowała w rozmowie.

MOC DŁONI

Gdy pierwszy raz trafiła do Cannes, zrobiła sobie zdjęcie z odciskiem dłoni Andrzeja Wajdy. W tym roku sama zostawiła odcisk w Alei Gwiazd. Podkreślała, że było to dla niej wielkie przeżycie. O tyle większe, że następnego dnia dostała od swojego synka zdjęcie laurki, którą zrobił dla niej w przedszkolu z okazji Dnia Matki. Był to odcisk jego dłoni.

– Mała rączka i duża obok. Wielkie wzruszenie – podsumowała aktorka, która już parę lat wcześniej nie obawiała się odgrywać ról mam na ekranie. I robiła to przekonująco i z wdziękiem. Czy pomogły jej w tym doświadczenia wyniesione z wielodzietnej rodziny? Aktorka ma czworo rodzeństwa. Z pewnością dzięki takiemu zapleczu od małego mogła ćwiczyć familijne relacje.

Telewidzowie kibicowali jej bohaterce, Idze Małeckiej, w serialu „O mnie się nie martw". Teraz z pewnością chętnie zobaczą, jak z opanowaniem zmultiplikowanej rodziny (wyjątkowo aktywnych teściów, dzieci i byłych partnerów) radzi sobie Ania, bohaterka "Każdy wie lepiej". I jak, otoczona tak wyrazistymi kolegami-aktorami, w relacji z trójką nastolatków (grających dzieci głównej pary), odnajduje się Joanna Kulig.

Fot. Andrzej Wencel

eprasa.pl f3f299252a

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Za grubo! „Pokot” po paru latach

Na kanale Kino Polska trafiłem na film „Pokot” Agnieszki Holland i Kasi Adamik. Oglądałem go w kinie w 2017 r. i byłem ciekaw, czy wrażenia się powtórzą. Zarazem zerknąłem na to w apogeum awantury wokół wypowiedzi Olgi Tokarczuk.

Przypomnę, że pisarka ogłosiła, iż jej książki nie są dla idiotów. I że nie jest zainteresowana, by trafiły pod strzechy. Głównie ludzie lewicy, choć i ludzie dobrej zmiany, oskarżyli ją o klasizm. Moim zdaniem przesadnie, chociaż ton tej wypowiedzi świadczył o przeroście jej ego. Tymczasem „Pokot” to adaptacja powieści Tokarczuk „Prowadź swój pług przez kości umarłych”. Zakładam, że oddająca jej intencje. Wszak figuruje jako współautorka scenariusza.

To przypowiastka o mrocznych zakamarkach wiejskiej i małomiasteczkowej prowincji z Dolnego Śląska. Zestawiano klimat „Pokotu” z klimatem Davida Lyncha. Do pewnego stopnia trafnie, nawet jeśli mniej tu groteski i udawanej metafizyki, więcej rodzajowego realizmu. Kiedy patrzyłem na to w kinie, to przez pierwszą godzinę mnie wciągało.

To jest protest przeciw dominacji subkultury myśliwych. Czy ta dominacja jest tak przemożna na polskiej prowincji? Nie wiem. Dla Tokarczuk, a w ślad za nią dla Holland z Adamik, to symbol patriarchalnej przemocy, co czyniło mnie od razu odrobinkę nieufnym wobec dydaktyzmu. Ale nie cierpię polowań, chętnie bym ich zakazał, choć rozumiem siłę atawistycznych przyzwyczajeń. Dlatego przemawiało do mnie epatowanie okrucieństwem myśliwskich rytuałów. I nawet trochę kupiłem bardziej ogólne, obyczajowe przesłanie.

Do tego trzeba dodać sugestywność niektórych ludzkich portretów. Świetna jest Agnieszka Mandat jako dziwaczka buntowniczka Janina Duszejko, prowincjonalna nauczycielka walcząca z polowaniami. Doskonale wypadają portrety postaci pozytywnych i negatywnych: Andrzeja Grabowskiego, Wiktora Zborowskiego czy Jakuba Gierszała.

Nawet jeśli niektóre cząstkowe morały zdały mi się infantylne („holokaust owadów” wzięty z tekstu pisarza z RPA Johna Maxwella Coetzeego o „holokauście zwierząt”), próbowałem je odbierać niedosłownie. Na niedosłowny zapowiadał się też finał. Oto zwierzęta dokonują pomsty na swoich gnębicielach. Bawiło mnie, że w „Prawieku” dla Tokarczuk największą przewiną lokalnej elity stalinowskiej jest polowanie na zwierzęta, w czasach gdy polowano na ludzi. Ale tu wszystko zdawało się względnie przekonujące.

I tu muszę zaspoilerować. Kto nie widział, a chce być zaskoczony, niech dalej nie czyta. Otóż ostateczny finał „Pokotu” budzi mój głęboki moralny sprzeciw.

Wiem, że w wielu utworach usprawiedliwia się zabójstwo jako konsekwencję zemsty. Jaki w końcu sens ma „Morderstwo w Orient Expressie”, jeśli nie taki? Nie zawsze sam taką wymowę odrzucam. Zależy od rozkładu racji i emocji. Ale nauczanie, że rozliczne mordy z premedytacją dokonane przez sympatyczną postać mają usprawiedliwienie, bo są odpłatą za zabijanie zwierząt, to dla mnie za wiele. Usłyszę, że to metafora. Za toporna, za gruba! Nie, życie zwierząt nie jest tyle samo warte, co życie ludzi!

Nawet Jakub Majmurek, kupujący z reguły wszystko, co konweniuje z jego lewicowymi pasjami, odrzucił ten finał jako zbyt kaznodziejski. Ja go odrzucam jako niemoralny. Jest w tym coś groteskowo pogańskiego. Może to autentyczne, a może to wykoncypowana poza – nie obchodzi mnie. Łatwość, z jaką wszystkie pozytywne postacie tego filmu przechodzą na koniec na stronę zbrodni i nie mają z tym problemów, poraziła mnie w 2017 r. Nic się tu nie zmieniło.

Czy to ja jestem tym idiotą, dla których pisarka nie pisze książek, bo i tak nie zrozumieją? Może. I niech tak zostanie.

Piotr Zaremba

Muzyka przeciwko wojnie

Utworzona w Warszawie Ukraińska Orkiestra Wolności wyruszyła w trasę koncertową po Europie i USA

ADAM CIESIELSKI

Świat z zainteresowaniem śledzi aktywność powołanej w stolicy Polski Ukrainian Freedom Orchestra. Zespół pod wodzą cenionej kanadyjskiej dyrygentki Keri-Lynn Wilson po oklaskiwanym inauguracyjnym popisie 28 lipca 2022 r. w warszawskim Teatrze Wielkim koncertuje w prestiżowych audytoriach Wielkiej Brytanii, a potem Niemiec, Francji, Holandii, Irlandii i USA. Z ambicją ukazania piękna muzyki, a także z wyrazem stanowczej niezgody na wywołaną przez Federację Rosyjską krwawą wojnę z Ukrainą i rosnącą obojętność światowych elit politycznych wobec tego bezprawia.

AKCJA TROJGA

Na pomysł utworzenia orkiestry złożonej z muzyków ukraińskich i ruszenia z nią do sal koncertowych na świecie wpadła pod wrażeniem wieści o rosyjskiej agresji właśnie wspomniana Keri-Lynn Wilson, kanadyjska dyrygentka o korzeniach ukraińskich, znana z prowadzenia spektakli także w Polsce. Wsparł ją mąż, Peter Gelb, dyrektor nowojorskiej Metropolitan Opera. Zadzwonił do Warszawy, do zaprzyjaźnionego od lat Waldemara Dąbrowskiego, dyrektora Teatru Wielkiego – Opery Narodowej. Ten nie wahał się ani chwili, a inicjatywę kanadyjsko-amerykańsko-polską wsparł wicepremier Piotr Gliński, zapewniając finansowanie ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego dla pobytu i ćwiczeń muzyków ukraińskich, organizacji warszawskiego koncertu i przygotowań do światowego tournée.

To nie pierwszy projekt tego typu finansowany przez MKiDN, dość wspomnieć choćby wiosenny pobyt, próby i koncert w Polsce Kijowskiej Orkiestry Symfonicznej czy Ukraińskiej Orkiestry Młodzieżowej.

ZACIĄG DO UFO

Rekrutacja do powstającej Ukrainian Freedom Orchestra nie była prosta. Ale dzięki sprawności impresariatu Teatru Wielkiego i wykorzystaniu kontaktów muzyków ukraińskich od lat zatrudnionych w polskich orkiestrach, takich jak m.in. Ostap Popovych – trębacz Opery Narodowej, udało się zebrać wyborny skład. Czas naglił. Wybrańcy zebrali się w Warszawie 18 lipca, pierwszy występ zaplanowano już po 10 dniach. Wśród 75 członków UFO (angielski skrót przypadkowo identyczny do popularnych niegdyś niezidentyfikowanych obiektów latających, ale zaciąg odbywał się w iście kosmicznym tempie) obok instrumentalistów ze stażem w Polsce i w zespołach europejskich są w większości artyści z oper i filharmonii ukraińskich. Z tego

Fot. Krzysztof Bielinski / Teatr Wielki – Opera Narodowa

eprasa.pl f3f299252a

Keri-Lynn Wilson

37 mężczyzn w wieku 18–60 lat, podlegających mobilizacji, otrzymało zgodę władz w Kijowie na udział w przedsięwzięciu. Niektórzy przyjechali wprost z oddziałów frontowych.

Prowadzenie poszczególnych grup instrumentów powierzono doświadczonym muzykom. Koncertmistrzem jest skrzypek Marko Komonko. Grał m.in. w filharmoniach kijowskiej i lwowskiej, po wybuchu wojny ewakuował się z rodziną do Sztokholmu, gdzie występuje w Operze Królewskiej. To artysta najwyższej klasy. Podobnie bracia Mark (fagocista) i Dmytro (altowiolinista) Kreshchenscy. Przez kilka lat grali w Filharmonii Petersburskiej, z chwilą wybuchu konfliktu opuścili Rosję i osiedli w Estonii. Są mocnymi punktami UFO.

CHOPIN, BEETHOVEN, SYLWESTROW

Keri-Lynn Wilson pieczołowicie wybrała repertuar na światowe tournée. Znalazła się w nim VII symfonia Walentina Sylwestrowa, 84-letniego nestora kompozytorów ukraińskich. Dzieło niełatwe w odbiorze, ale zdaniem maestry trafnie oddające nastroje, które targają rodakami twórcy w obecnym trudnym czasie. Nie tylko z uwagi na gościnność Polaków nie mogło zabraknąć Chopina, jego II koncert fortepianowy sprawnie interpretuje Anna Fedorova, znana artystka kijowska, mieszkająca obecnie w Amsterdamie. Atrakcją wokalną koncertu jest aria Leonory z opery „Fidelio" Beethovena, akcentująca tak dojmującą dziś potrzebę wolności, pokoju i miłości. Wykonuje ją znakomita sopranistka ukraińska Liudmiła Monastyrska, gwiazda Metropolitan Opera od 10 sezonów. Jej notowania poszły mocno w górę, gdy na scenie MET w „Turandot" Pucciniego zastąpiła niedawno Rosjankę Annę Netrebko, kiedy ta za długo zwlekała z potępieniem putinowskiej agresji. Program inauguracyjnego koncertu Ukrainian Freedom Orchestra w Warszawie uzupełniała IV symfonia Brahmsa, na trasie grywana wymiennie z IX symfonią Dworzaka „Z nowego świata".

Trasa koncertowa Ukrainian Freedom Orchestra

1.	28.07	Warszawa, Teatr Wielki – Opera Narodowa
2.	31.07	Londyn, festiwal Proms, Royal Albert Hall
3.	1.08	Monachium
4.	2.08	Orange, Chorégies d'Orange Festival
5.	4.08	Berlin, Konzerthaus
6.	6.08	Snape Maltings (słynąca z idealnej akustyki sala we wschodniej Anglii)
7.	11.08	Amsterdam, Concertgebouw Festival
8.	13.08	Hamburg, Elbphilharmonie
9.	15.08	Dublin, National Concert Hall
10.	18.08	Nowy Jork, Lincoln Center
11.	19.08	Nowy Jork, Lincoln Center
12.	20.08	Waszyngton, Kennedy Center

OWACJE I ŻYCZENIA

Koncert warszawski zakończył pięknie symfonicznie zaaranżowany hymn ukraiński przyjęty gorąco przez publiczność.

– Powstanie i prowadzenie Ukrainian Freedom Orchestra w Europie i Stanach Zjednoczonych to dla mnie wielka satysfakcja, największe wydarzenie w karierze – powiedziała mi uszczęśliwiona Keri-Lynn Wilson. – Dla członków zespołu ta trasa jest wyrazem miłości do ojczyzny i hołdem dla tych, którzy tyle wycierpieli lub zginęli – wyznała dyrygentka. – W wymiarze finansowym liczymy na zebranie środków mogących wspomóc ukraińskich artystów w potrzebie. Uzyskane sumy trafią do Ministerstwa Kultury Ukrainy – dodała. Peter Gelb z kolei zapewnił, że Metropolitan Opera nadal będzie wspierać kulturę ukraińską i przeciwstawiać się agresywnym aspiracjom Rosji.

Polska część projektu Ukrainian Freedom Orchestra – rekrutacja, zakwaterowanie, próby, pierwszy koncert – była więcej niż udana. Kilkanaście dalszych występów na dwóch kontynentach w ciągu trzech tygodni, przeloty kilkudziesięcioosobowej grupy, jej instrumentów plus wizy, hotele, próby to nie lada wyzwanie dla artystów, ekipy technicznej i organizatorów. Wysiłek Teatru Wielkiego – Opery Narodowej z Warszawy i Metropolitan Opera w Nowym Jorku uzupełnia renomowana brytyjska agencja artystyczna Askonas Holt, będąca producentem całej trasy koncertowej. W gronie sponsorów znaleźli się m.in. Bloomberg, Ford Foundation, Rolex i United Airlines.

Do artystów i organizatorów ambitnego przedsięwzięcia skierowali uroczyste pisma prezydenci Polski Andrzej Duda i Ukrainy Wołodymyr Zełensky. Ambasador Ukrainy w Polsce Wasyl Zwarycz na konferencji prasowej wyraził nadzieję, że działalność Ukraińskiej Orkiestry Wolności nie skończy się na obecnym tournée. – Marzę, by ten zespół zagrał w Kijowie w dniu zwycięskiego dla Ukrainy zakończenia wojny. Trudno nie podzielać takich marzeń.

eprasa.pl f3f299252a

3 MIŁOŚCI

Aborcja jest święta

ROBERT TEKIELI

Nie kopcie ziemi, to ją boli – apelują autorzy neomarksistowskich „Wysokich Obcasów". W końcu jak ogłosiła brytyjska antropolog i etolog Jane Goodall, na świecie powinno żyć jedynie 500 mln ludzi. Światowe Forum Ekonomiczne wzywa do zniesienia prywatnego posiadania aut. Ile czasu minie, by ten globalistyczny postulat podjęły neoliberalno-lewicowe rządy w Europie Zachodniej? Marksistowski reżim Justina Trudeau, wspierany przez tę samą organizację globalistów, wprowadza regulowane redukcje użycia nawozów w Kanadzie.

Nicole Kidman zjada żywe owady dla „Vanity Fair". Komisja Europejska przebadała odżywcze właściwości larw mącznika młynarka, przygotowuje nowe źródła białka w miejsce wołowiny. Czy pisane są już dyrektywy? Neomaltuzjaniści przygotowują ludność na nadchodzący kryzys żywnościowy, który sami wywołają, bo po co nawozy. Promowany jest nowy styl życia. Befsztyki już rosną na szalkach Petriego, Gates wykupił tysiące hektarów ziemi pod zmodyfikowane uprawy.

Stanisław Barańczak w jednym ze swoich wierszy z końca lat 60. tłumaczy się swoim marksistowskim przyjaciołom z Zachodu, że kupił drugi, zbędny długopis, stał się burżujem, uległ konsumpcjonizmowi, przyczynia się do marnowania zasobów naszej planety, niszczy naturę. Marksistowsko-neomaltuzjański plan budowy nowego ładu jest wytrwale i konsekwentnie realizowany od pół wieku, a konserwatywna strona boju o kształt świata dopiero powoli się budzi. Jesteśmy 50 lat do tyłu w instytucjonalizacji kontrrewolucji.

„Badania wykazują, że dzieci w wieku dwóch lat rozpoznają swoją świadomość trans. Jednak wiele szkół uczy binarnego rozumienia wcześniej przypisanych płci. Edukacja włączająca i afirmująca LGBT+ ma kluczowe znaczenie dla dobrego samopoczucia". Dwulatek ma decydować, że jest transseksualistą, a tęczowi aktywiści żądają od archeologów, by przestali opisywać znalezione kości jako męskie albo żeńskie. Foliarze gender, neomarksistowscy płaskoziemcy.

W UE jest procedowana dyrektywa pozwalająca na nakładanie kar finansowych na państwa, które jak Polska, chroniąc rodzinę, nie wdrożyły ideologicznych pomysłów konwencji stambulskiej. We Wrocławiu kilkulatkom serwuje się instrukcję zwracania się do osoby niebinarnej, wprowadza się pojęcie interpłciowości, a także modelu rodziny, w którym dzieci wychowują osoby homoseksualne ze związków jednopłciowych. Fundusze z UE trafiają bezpośrednio do samorządów. Oto przepis na powolną erozję, rozkład polskiego państwa. Stary przeciwnik, jeden międzynarodowy front środowisk wrogich narodom, chrześcijaństwu oraz monogamicznej rodzinie tworzonej przez kobietę i mężczyznę.

Tony urodził się jako kobieta, potem został transgenderowym mężczyzną, a teraz uważa się za psa. Mąż popiera wybór jego samoidentyfikacji. W badaniu przeprowadzonym w Holandii przez grono 186 psychiatrów wykazano, że aż 61 proc. osób mających zaburzenia identyfikacji płciowej ma także zdiagnozowane inne choroby psychiczne.

„Szkodliwe jest konstruowanie »świętych tożsamości« wokół problemów psychicznych i braku akceptacji oraz zakazywanie terapeutom i lekarzom szukania różnych ścieżek pomocy takim cierpiącym osobom, także innych niż ślepe afirmowanie czasem bardzo ryzykownych modyfikacji ciała" – pisze feministka Kaya Szulczewska. Brutalnie atakowana przez lewicowych aktywistów w swojej autoprezentacji na blogu napisała: „Twórczyni @cialopozytyw, cancel od 2019 za krytykę seksbranży, potem za krytykę postulatów queer, które szkodzą kobietom. Nie wierzę. Kocham biologię". Zdrowy rozsądek nie został zmonopolizowany przez prawicę.

Prezydent Francji Emmanuel Macron forsuje wpisanie prawa do aborcji do Karty praw podstawowych Unii Europejskiej. KE zaczęła przygotowywać regulację, według której wypłata unijnych funduszy będzie uzależniona od politycznych decyzji urzędników w Brukseli. Parlament Europejski twierdzi, że „budżetowanie genderowe" musi być częścią każdego obszaru Planu Odbudowy. Zarządzone w ten sposób komunistyczne, centralne planowanie gospodarki wymusi obowiązek wdrożenia polityki gender w kulturze, sztuce, telewizji, szkole i na uniwersytetach. Powtórka ZSRS przed nami.

Marksiści reprodukują się z pokolenia na pokolenie w kluczowych dla świata instytucjach. Prof. Susan Michie z London's Global University została mianowana przewodniczącą grupy doradczej WHO do spraw obserwacji behawioralnych i nauk o zdrowiu. Od ponad 40 lat należy do brytyjskiej partii komunistycznej. Jest zwolenniczką obowiązku noszenia maseczek już na zawsze.

Sebastian Kohn, zawodowy specjalista od zdrowia reprodukcyjnego w jednej z fundacji George'a Sorosa, wybrał się pod koniec czerwca na nowojorską Paradę

eprasa.pl f3f299252a

Wolności i uprawiał seks z kilkoma facetami. Złapał małpią ospę i rzeżączkę, wini za to system opieki zdrowotnej, nie siebie.

Aborcja jest święta, aborcja ma moc zachowywania życia, lepiej być prostytutką niż żoną i matką. Nie mów mi, jak mam żyć, kto powiedział, że kobieta ma rodzić dzieci. Chcemy życia bez poczucia winy.

„Trzeba wyciąć ok. 2 cm łożyska z okolic pępowiny, najlepiej, żeby było trochę części matczynej i płodowej. Włożyć w słoik o wielkości 200 ml i wypełnić alkoholem co najmniej 40-proc. Pozostawić łożysko przez 28 dni w świetle słonecznym i księżycowym, mieszając dwa razy na dzień. I gotowa mieszanka macierzysta. Z tej można przygotować produkt homeopatyczny o odpowiedniej mocy".

New Age i Nowa Lewica, toksyczne duchowości oraz kaleczące ciała i dusze ideologie. Neopogańskie kapłanki świętej aborcji składają na ołtarzu Molocha nienarodzone dzieci.

Aborcja jest święta, parodia religii, szatan kocha samotność, dzieci są mu składane w ofierze. Istnieją tylko dwa sztandary: chrystusowy sztandar bezinteresownej miłości i zakrwawiony sztandar egoizmu i hedonizmu aż po zaprzeczenie sobie.

WOJNA CYWILIZACJI

KULTURA

Warte Marksizm, by panować, niszczył godność ludzką, łamał sumienia, zmuszał do akceptacji kłamstwa. Czynił z narodów masę niepewną swojej tożsamości, społeczeństwa niedojrzałe. Mateusz Werner w książce „Gdańsk '82. Festiwal, który się nie odbył" opisuje dramatyczne konsekwencje stanu wojennego dla polskiego kina: „»Danton« Andrzeja Wajdy to przykład tej pewności siebie, której zazwyczaj nam brakuje: za sprawą genialnego tekstu Stanisławy Przybyszewskiej i równie genialnego duetu Depardieu – Pszoniak udało się powiedzieć Francuzom, co my, mieszkańcy wschodniej strony żelaznej kurtyny, sądzimy o rewolucji francuskiej i nawet François Mitterrand musiał zrobić dobrą minę do złej gry". Ta pewność siebie, dająca się najsilniej odczuć w czasie 16 miesięcy karnawału Solidarności w latach 1980–1981, była dla Polaków czymś nowym od pięciu dekad. „Źródłem tego samopoczucia było odkrycie, że jesteśmy ważni, bo właśnie wokół nas dzieją się rzeczy, które obchodzą cały świat: kardynał Wojtyła jako papież, Nobel dla Miłosza, Złota Palma w Cannes dla Wajdy, Zbigniew Brzeziński w Waszyngtonie, ale przede wszystkim chyba zwycięstwo nad systemem zniewolenia, który po raz pierwszy w 60-letniej historii komunizmu oddawał władzę, a miał jej przecież – raz zdobytej – nie oddawać nigdy. Symbolem tego zwycięstwa był polski robotnik Lech Wałęsa, którego twarz pojawiła się na okładkach wszystkich pism świata. To poczucie ważności, podobne trochę do chwilowego upojenia, sprawiło, że Polacy zbliżyli się wówczas do siebie, zaczęli się słuchać nawzajem i rozmawiać z sobą – odzyskali wspólnotę. Budowała się ona na różnych poziomach: wtedy, gdy rolnicy z całego wybrzeża jechali furmankami pod stocznię Lenina, wioząc aprowizację dla tysięcy strajkujących robotników, ale też na festiwalu gdańskim w 1980 r. z Wałęsą jako honorowym gościem i w 1981 r., kiedy pokazano »Człowieka z żelaza«". Polacy odzyskali wspólnotę, naprawdę inaczej się wtedy oddychało. A potem tragedia, której skutki odczuwamy do dzisiaj. Stan wojenny, recydywa stalinizmu, złamała kręgosłup polskiemu społeczeństwu, znów brak nam pewności siebie: „Uwierzyliśmy w swoją drugorzędność i konieczność adaptacji do globalnych trendów. Uwierzyliśmy także, iż wspólnota jest niebezpieczną fikcją, a zatem lokalna rozmowa jest niemożliwa".

Epidemia samotności, libertynizm i nihilizm jako zachodnie wartości. Sakralizowany egoizm, zero ludzkiego braterstwa, solidarności. Ofensywa neomarksizmu dekonstruującego rzeczywistość społeczną. Samotność, zwłaszcza wśród młodzieży – produkt systemowej destrukcji więzi rodzinnych, religijnych i narodowych przez ostatnie półwiecze.

Z parku w Wielkiej Brytanii zostały usunięte papugi, bo przyłapano je, kiedy wyzywały się od czarnuchów i potem się z tego śmiały. Poddaję się, myślałem, że nie da się wytresować ludzi tak szybko w liberalnej neosferze. Czy tłum samotnych wyrzeknie się mięsa i zacznie jeść larwy i owady?

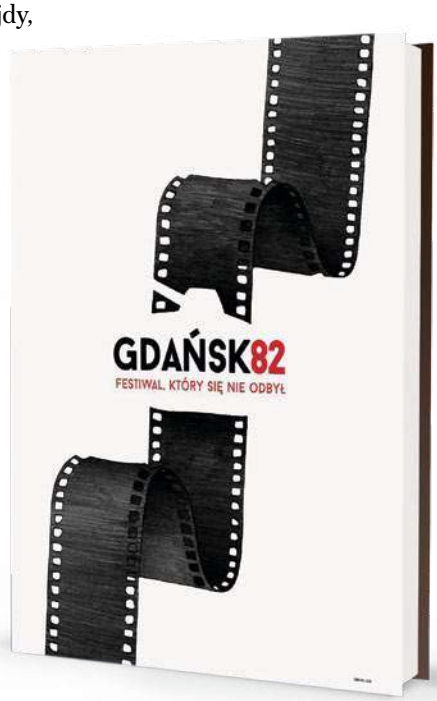

Solidarność kontra samotność. Więzi religijne, rodzinne, narodowe, przeżywana liturgia, świetliste, ożywiające rytuały. Ewa Thompson: „Czas już, aby Polacy zrozumieli, że są często wzorcem dla innych. Takie antidotum na postkolonializm".

Dziś wokół nas znów dzieją się ważne rzeczy. Polacy okazali chrześcijańskie miłosierdzie milionom potrzebujących. Tak po prostu, bez celebrowania swojej niezwykłości. Zdekapitowany nieomalże naród odżywa, dojrzewa. Naszym zadaniem jest włączyć we wspólnotę tę jedną trzecią Polaków, którzy zostali wykorzenieni z polskości przez Niemców, Sowietów i neoliberałów. Z troską, bez manifestowania poczucia wyższości. Być może wojna ten proces przyspieszy.

Robert Tekieli
Polskie Radio

eprasa.pl f3f299252a

Wojciech Stanisławski

Polityczny tesserakt

Piotr Zaremba ani na chwilę nie traci z oczu tego, co jest według niego motorem i praprzyczyną wszystkich opisywanych wydarzeń: dążenia do władzy, do formowania zbiorowości ludzkiej za pomocą praw, rozkazów i decyzji

Nie jest łatwo pisać recenzję piątego tomu cyklu – a towarzyszę, zachwycony, „Dziejom politycznym Stanów Zjednoczonych" Piotra Zaremby od pierwszego ich tomu, wydanego przed 10 laty – tak, by nie powtórzyć żadnej z pochwał. To dziejopisanie ma swoją metodę i styl, i sposób ujęcia tematu: rozpoznawalne, skuteczne i budzące respekt.

To przede wszystkim historia bardzo konsekwentnie polityczna: oczywiście, jak wiemy z wiersza noblistki, „Wszystkie twoje, nasze, wasze / dzienne sprawy, nocne sprawy / to są sprawy polityczne". Rzecz w tym jednak, że historyk Zaremba, opisując szczegółowo amerykańskie kampanie II wojny światowej, konsekwencje gospodarcze i społeczne wojny, dostrzegając nowe zjawiska kultury i nauki, zmiany w obyczajach i modzie, ani na chwilę nie traci z oczu tego, co jest według niego motorem i praprzyczyną wszystkich tych wydarzeń: dążenia do władzy, do nadania określonego kierunku działaniom zbiorowości ludzkiej, formowania jej za pomocą praw, rozkazów i decyzji politycznych. Ta historia toczy się (o czym będę jeszcze pisał poniżej) na całym świecie, od brzegów wyspy Corregidor po plaże Normandii i lodowate bagna Kołymy: ale jej serce, jak napisano by staroświecko, bije w Waszyngtonie. To historia bardzo rzymska, dosyć bezlitosna. Taką czytywali (i współtworzyli) bohaterowie „Gubernatora" Roberta Penna Warrena, najdoskonalszej może powieści o polityce. Przy wszystkich poprawkach na ludzkie słabości i porywy szlachetności tworzą ją mężczyźni (i dodajmy – pierwsze kobiety), którzy chcą decydować o losie innych, nadać kształt światu wokół nich, a także – doznać przewagi, od której przez chwilę robi się słodko w ustach: na moim stanęło! „Politics ain't beanbag".

To historia – pisałem już o tym przy okazji poprzednich tomów – niewiarygodnie złożona. Nauczyciele geometrii, którzy biedzą się, jak unaocznić uczniom zjawisko czwartego wymiaru, rysują na tablicy po kolei: punkt, odcinek, dwuwymiarowy kwadrat, trójwymiarowy sześcian, wreszcie wyłaniający się z kredowych smug tesserakt. Dla wyższych wymiarów żadnych przybliżeń graficznych już nie ma, zostaje matematyka. Podobnym wyzwaniem może być historia według Zaremby dla kibiców polskiej polityki, skupionych na prostym duopolu „kto kogo", przyrumienionym czasem anegdotą o temperamencie prezesa czy przewodniczącego. Waszyngton Zaremby dzieli się na dwie wielkie partie, trzy funkcje władzy (obok których trzeba wymienić armię, służby i media), izby, kluby i komisje, departamenty i ich obsadę. Do tego: lojalności partyjne, „regionalne" i stanowe, pamięć podziału na Północ i Południe oraz rodowody dynastii politycznych. Kilka wielkich tradycji działania i refleksji politycznej (izolacjonizm, wilsonizm, progresywizm, agraryzm, antybiurokratyzm, New Deal), bardzo różnie interpretowanych, nabierających mocy lub słabnących niczym instrumenty w orkiestrze. Różne lojalności wobec wielkiego biznesu, uczelnianych fratrii, wyborców, współwyznawców. Na to zaś nakładają się indywidualne cechy, czasem maźnięte przymiotnikiem jak pędzelkiem („czarujący", „stary kawaler", „małostkowy"), częściej przybierające postać solidnej charakterystyki. Już zgromadzenie takiej wiedzy trudne jest do wyobrażenia: prowadzenie narracji uwzględniającej tyle zmiennych to naprawdę tkanie n-wymiarowej tkaniny, majstersztyk.

Piotr Zaremba, „Demokracja zwycięska. Ameryka Roosevelta i Trumana w II wojnie światowej" [t. V], Neriton, Warszawa 2022

Majstersztyk, dodajmy, niespieszny, z powracającymi motywami, bo rozpatrującym boczne uliczki, alternatywy, a przede wszystkim uwzględniający różne, niedające się pogodzić racje. Narracja Piotra Zaremby jest oszczędna i plastyczna. Gdyby jednak trzeba było wskazać jedno słowo, które pojawia się w niej wyraźnie częściej niż w innych prozach historycznych, byłaby to partykuła „ale", na drugim miejscu znalazłoby się „jednak", wspierane przez „z drugiej strony". Ta historia opisuje, waży, również osądza, nigdy jednak nie skazuje jednym słowem.

To historia mroczna, opisująca najcięższą dotąd wojnę i świat, który się z niej wyłonił. To historia, choć jej serce bije w Waszyngtonie, bardzo „polskocentryczna" w tym sensie, że jasno ukazuje – jest to wręcz jedna z osi narracji – marsz Sowietów ku roli drugiej potęgi XX-wiecznego świata i drogę do

eprasa.pl f3f299252a

katastrofy jałtańskiej. To historia niemal profetyczna, a w każdym razie niesłychanie rezonująca ze współczesnością w tych fragmentach, gdy opisuje „ślepą plamkę" amerykańskich elit, niedostrzeganie przez nie ani racji, ani cierpień narodów niewolonych przez Stalina przy obsesyjnym, anachronicznym już w 1944 r. skupieniu na retoryce antykolonialnej, skierowanej przeciw Wielkiej Brytanii czy Francji.

To historia wreszcie o zupełnie nieprawdopodobnym nagromadzeniu perspektyw i wątków. Postępując za amerykańskimi wojskami, misjami i interesami, autor był zmuszony opisać status i dynamikę polityczną Chin, w których toczy się wojna domowa, kilkudziesięciu krajów Ameryki Południowej, o których poparcie Stany zabiegają, podziały klasowe na Filipinach i humory de Gaulle'a, nadąsanego podczas pewnej waszyngtońskiej kolacji. Tak w II wojnie światowej Ameryka stała się mocarstwem i jej losy stały się losami świata, ale w związku z tym historykiem świata musiał zostać i Piotr Zaremba.

Mariupolka

W tej minipowieści doskonała jest tylko okładka, zaprojektowana przez Adama Walasa: iluzja paszportu – ciemnobordowego, ze złotymi tłoczeniami i zaokrąglonymi rogami – jest tak przemożna, że odłożona choćby na chwilę na siedzenie autobusu czy taśmę przy kasie sklepowej, przyciąga wszystkie spojrzenia, choć na drugi rzut oka widać, że czegoś jest na niej za dużo: między hiszpańskimi heraldycznymi Słupami Heraklesa zamiast tarczy z godłami czterech średniowiecznych królestw – znajomy tryzub, a wszystko to pod ciężką koroną Burbonów.

Sama minipowieść doskonała nie jest: Margaryta Jakowenko popełniła wiele błędów debiutantki, zapewne zapatrzonej (jak deklarują pospołu blurb i narratorka) w Zadie Smith i Anne Carson, lecz nierównie bardziej niż te dwie mistrzynie skupionej na sobie. To niemal podręcznikowa próbka pisarska 30-latki, która doświadczona pierwszym progiem dorosłości, nieudanym związkiem, depresją i migrenami, za radą terapeutki postanawia przelać swoje doświadczenia na ekran laptopa: jakkolwiek jednak próbowałaby poszerzyć widnokrąg, wpleść w fabułę wspomnienia dzieciństwa, panoramę rodziny, stołu, lotnisk i kraju, wszystko to jest zaledwie tłem dla młodej kobiety z wilgotną jednorazową chusteczką w dłoni. Podobną perspektywę autorka osiągnęłaby zapewne, zbliżając twarz do lustrzanej kuli: nos i oczy na pierwszym planie, nieistotne szczegóły w tle.

Ilekroć zaś Jakowenko usiłuje wyjść poza opis własnych traum, które bez przekonania fabularyzuje, wyniki też nie są szczególnie budujące. Jej opis „leninopadu" w Mariupolu („Pewnej nocy, już po rozpoczęciu wojny na wschodzie, grupka bojówkarzy i nacjonalistów w kominiarkach przyszła z linami, którymi opasali gipsowe ramiona ojca rewolucji. To był namacalny dowód, że ATO istnieje. Ciągnęli wszyscy razem przez dłuższą chwilę, aż w końcu posąg się poddał i upadł") brzmi szczególnie zgrzytliwie, czytany w piątym miesiącu moskiewskiego najazdu na Ukrainę. Ale nawet gdy autorka publikowała hiszpański oryginał książki przed dwoma laty, prezentowana przez nią optyka („bojówkarze i nacjonaliści"!) dobitnie dowodzi, że została gruntownie sformatowana politycznie jako stażystka, a następnie dziennikarka „El País".

A jednak przy wszystkich tych kiksach, egotyzmie, topornej symbolice (kolejne klucze, odczepiane od kółka i porzucane przez porządkującą swoją przeszłość narratorkę!) i wątłości fabuły zapis kryzysu 30-latki na 100 stronach współbrzmi z wszystkimi naszymi intuicjami o tym, czym jest wyjazd z kraju urodzenia u progu życia i los dziecka-emigranta. Rodzice, zdeklasowani i zaciskający zęby, by zapewnić jedynaczce wszystko, czego nie mieli sami, tanie, zwodnicze uroki błyszczącego supermarketu, używanego samochodu i telewizji z mnóstwem kreskówek, izolacja społeczna dorosłych, wyobcowanie i dzikie ambicje uczennicy. Niby rozmyta pamięć smaków i zapachów blokowiska-matecznika gdzieś w tyłomózgowiu, którą uruchamia od nowa, jakby ktoś odtwarzał playlistę, każdy bodziec atakujący zmysły: matowy blask pomnika górującego nad Kijowem, woń taksówkowej tapicerki.

Znamy to, znamy, z setek próz XX w., wieku wygnańców, o swoim imigranckim dorastaniu w Anglii czy w Stanach pisywali Polacy, Hindusi i Wietnamczycy. Mocą „Przemieszczenia" jest to, że podobne rozdwojenie jest opisane z perspektywy przybyszki z postsowieckiej Ukrainy do sytej Hiszpanii. Mieszanie się języków, wspomnienie oblepionych mokrym śniegiem walonek czterolatki, mama na trzech etatach, białożęby, nic nierozumiejący i nieciekawy niczego narzeczony z miejscowej upper-middle class, wreszcie absurdalna próba powrotu do mieszkania w bloku dzieciństwa, by odkryć, że imigrant nigdzie nie potrafi zapuścić korzeni – to niezbywalne składowe tego doświadczenia.

Czytam Jakowenko, myśląc o setkach tysięcy ukraińskich dzieciaków, które znalazły się tej wiosny w Polsce. Oczywiście kontrast jest mniejszy: zamiast palm rosną podobne co w kraju klony i wierzby, podobny jest język, łaty na asfalcie i obyczaj kiszenia kapusty, a w tle zamiast wspomnienia biedy i pierestrojki buzuje ogień moskiewskiej wojny. Ale doświadczenie mamy pracującej na kasie w markecie, a po godzinach sprzątającej cudze domy, tułaczki po wynajętych pokojach, zdradliwego miękkiego akcentu też jest im dane. Kto wie, jaką traumę, jaką prozę przyniesie?

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Margaryta Jakowenko, „Przemieszczenie", tłum. Agata Ostrowska, ArtRage, Warszawa 2022

eprasa.pl f3f299252a

MONIKA I SEWERYN MASALSCY*

Nigdy nie wiesz, dokąd cię zaprowadzą

Przygoda jest bliżej, niż myślisz – zapewniają Monika i Seweryn Masalscy, filolożka i ekonomista, fani fascynujących i często zaskakujących mikrowypraw, od kilku lat dzielący się podróżniczą pasją z trójką swoich dzieci.

Jako autorzy bloga „Mikrowyprawy z Warszawy" (który w czasie pandemii zyskał dodatkowe atuty), inspirują też mikropodróżników spoza rodzinnego kręgu.

Są praktykami. Przeszli – dosłownie – przez różne etapy krótkich turystycznych wypadów. Potrafią więc na jednodniowe wyprawy spojrzeć z kilku perspektyw. W końcu mają za sobą doświadczenia w podróżowaniu w różnych konfiguracjach – solo, w parze, wreszcie z powiększającą się rodziną, pączkującą ilością potrzeb uczestników wypraw, rosnącym bagażem, a także zwielokrotnioną liczbą nowych odkryć. Nie tylko na trasie.

Właśnie wydali przewodnik z propozycjami 57 jednodniowych wycieczek. Na każdą porę roku. Materiał uzupełnili mapkami, informacjami o czasie dojazdu samochodem lub komunikacją zbiorową, a także wskazówkami, dokąd można zabrać malucha w wózku, a dokąd psa.

Zapraszają w miejsca bez tłumu. Takie, które zaintrygują i spełnią oczekiwania różnych wędrowców. Dla jednych mają szlak do schronu atomowego z czasów PRL, zamieszkiwany przez siedem gatunków nietoperzy. Innych skierują na zaciszną, dziką plażę nad Liwcem albo na skarpę nad Bugiem w Szuminie. Doceniających urodę zespołów pałacowych poprowadzą np. do Młochowa czy Radziejowic. Jednym pomogą odkryć Żyrardów i zalew w Joachimowie, innym Macierowe Bagno lub podwodne gejzery na Wyspie Kacząt.

Pokazują, że ciekawie może być – dosłownie – tuż za rogiem, a na pewno w obrębie Warszawy, gdzie znajdziemy np. rezerwat przyrody Łosiowe Błota, Zalew Bardowskiego, wędrujące Góry Milowe, ale też Stare Bielany czy dawny zespół klasztorny kamedułów w Lasku Bielańskim.

Piszą we wstępie: „Urodziliśmy się oboje w Kielcach i do Warszawy przyjechaliśmy klasycznie, na studia – ja polonistyczne, Seweryn ekonomiczne – i nie obrazimy się, jeśli nazwiecie nas słoikami".

Przyznają, że choć Warszawa na początku nieco ich przytłoczyła, szybko zaczęli ją oswajać najlepiej sobie znanym sposobem – chodzeniem. Z czasem zataczali coraz większe kręgi: Żoliborz, Mokotów, Praga, Kampinos, zamki, linia Otwocka, okolice Łodzi, parki pałacowe i krajobrazowe, skanseny. Bywały weekendy, kiedy chcieli zostać w domu, ale zwykle w okolicach południa zaczynało ich nosić i ruszali w trasę.

„Przyjechaliśmy na Mazowsze cokolwiek uprzedzeni, z wewnętrznym przekonaniem, że nie będzie w stanie dorównać górzystym kieleckim okolicom, a ono od lat nas zaskakuje i zachwyca. A kiedy w pandemii, odcięci od centrów handlowych, znajomi zaczęli nas bombardować pytaniami o ciekawe miejscówki pod stolicą, postanowiliśmy przygotować gotowe i proste przepisy na niezwykłe kilkugodzinne wycieczki. [...] Okazało się, że jest na tego typu lokalną turystykę ogromne zapotrzebowanie, choć gdybyście nam dwa lata temu powiedzieli, że będziemy o tym pisać książkę, spadlibyśmy z krzeseł ze śmiechu. Ale właśnie tak jest z mikrowyprawami – nigdy nie wiesz, dokąd cię zaprowadzą".

Jolanta Gajda-Zadworna

**Autorzy przewodnika „Mikrowyprawy z Warszawy. 57 nieoczywistych wycieczek, które uratują twój weekend"*

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl f3f299252a

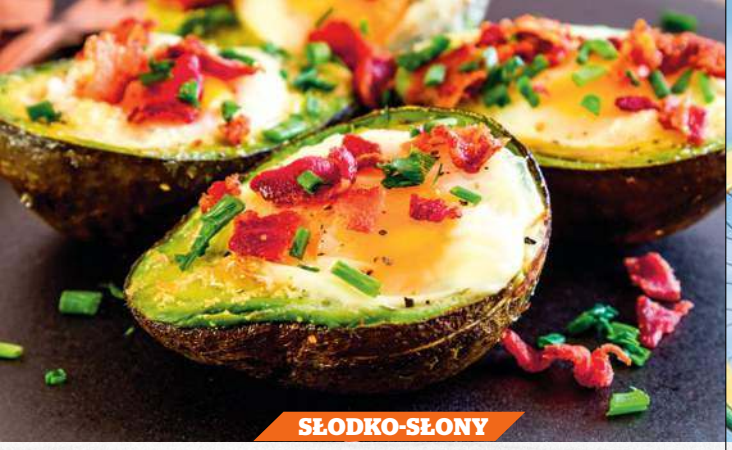

SŁODKO-SŁONY

Po co potas

ANNA MONICKA

Jak bardzo wpływa na nas chemia – i nie chodzi mi o symboliczne określenie stosunków damsko-męskich – najłatwiej przekonać się latem, gdy się pocimy w upały. Wystarczy, że za mało pijemy albo nie to, co trzeba, a padamy jak muchy. Kręci nam się w głowie, czujemy kołatanie serca, skurcze mięśni (koszmarnie bolesne, atakujące znienacka w nocy), puchną nam dłonie i stopy, bo zatrzymujemy w organizmie wodę (niestety, nie oznacza to wcale dobrego nawodnienia), jesteśmy podenerwowani, ospali, przemęczeni. Dzieje się tak, gdy stracimy za dużo potasu i na czas go nie uzupełnimy.

Pocić się musimy, bo dzięki temu regulujemy swoją temperaturę, dopasowujemy ją do otoczenia. Więc nie powinniśmy tego akurat blokować. Za to uzupełnianie potasu może być przyjemne. I bardzo smaczne, bo wystarczy jeść świeże owoce i warzywa, żeby sobie pomóc.

Zacznijmy od... moreli. Kilka dziennie i mamy problem z głowy. Przy okazji poprawi nam się kolor skóry, a nasza opalenizna będzie się atrakcyjnie złocić. Jedzmy je jak jabłka albo dodawajmy do sałatek, najlepiej zawierających młode liście szpinaku.

Buraki – zwłaszcza liściowe i botwinka – powinniśmy latem na stałe wprowadzić do jadłospisu. Robić kiszonki, przyrządzać chłodniki, piec w zapiekankach ziemniaczanych czy batatowych i razem z innymi warzywami korzeniowymi, najlepiej pietruszkami, selerami, brukwią.

Awokado i banan – najsmaczniejsze w koktajlach i sałatkach. Oba owoce mogą zastąpić posiłek w ciągu dnia. Awokado zapiekane z jajkiem wbitym w miejsce po pestce z powodzeniem zastąpi też obiad – jest bogate w zdrowe tłuszcze i ma mnóstwo witamin.

A na popitkę – sok z soczystego arbuza albo zupa pomidorowa na zimno i ciepło. Jeden i drugi owoc lepiej ugasi pragnienie niż zwykła woda, a przecież można oba dodatkowo wzbogacić odrobiną soku z cytryny, limonki, pomarańczy, czerwonej papryki czy miodu... Sałatkami pomidorowymi wzbogaconymi w kaszę bulgur czy pełnoziarnisty ryż, posypanymi oliwkami i serem feta można się w upały doskonale nasycić, zwłaszcza jeśli są to owoce tak mięsiste jak bawole serca, najlepiej ananasowe. Niech lato będzie owocowe!

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Nie tylko na wakacje

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Świat szybko się zmienia. Pomysły na ochronę naszej planety też. Choć przyszłość to nowe technologie dbające o środowisko, to nie do przecenienia jest postawa każdego z nas. I nie wystarczy zakręcać wodę podczas mycia zębów.

Po pierwsze – mniej kupować! Jeszcze dekadę temu nie istniało zjawisko kupowania co sezon nowych ubrań. Jedna kurtka na kilka albo kilkanaście lat, aż się zniszczy. Tak było. Obecnie ubrania traktuje się niemal jak jednorazówki. Dzieci, szczególnie małe, mają tyle ubrań, że w niektóre z nich ubiorą się tylko raz. Potem wyrosną. Dorośli wychodzą z tanich sklepów odzieżowych z torbami wypełnionymi niskiej jakości tekstyliami, by za miesiąc powrócić po nowe. Ilość energii, surowców i wody zużywana, żeby najpierw wyprodukować materiały i ubrania, a następnie zaspokoić tak rozkręcony przemysł modowy jest niebywała. Ciągle nowe ubrania nie są już wyrazem dobrego gustu, ale braku świadomości ekologicznej. Problem gigantycznych ilości ubrań ujawnił się wraz z wybuchem wojny na Ukrainie. Odzieży do przekazania były tak wielkie ilości, że gdyby uchodźców było 10 razy więcej, wciąż pozostałyby hałdy ubrań Polaków nie do zagospodarowania. Wcześniej zalegały w naszych domach, a mimo to wciąż kupowaliśmy nowe.

Po drugie – inny transport. Hektolitry paliw pozostaną nietknięte, jeśli auta zamienimy na komunikację miejską i rowery. Jeśli jesteśmy mieszkańcami metropolii, przyjrzyjmy się autobusom i tramwajom we własnym mieście. Najczęściej transport publiczny to sprawnie funkcjonująca sieć nastawiona na pasażera. Skorzystajmy z tego. Nie trzeba zawsze i wszędzie podjechać własnym autem. No i rower. Jazda na rowerze to najwydajniejszy sposób przemieszczania się organizmów ludzkich przy użyciu mięśni. Do tego kosz, przyczepka, bagażnik – i jesteśmy samowystarczalni, i... zdrowi. Absurdem jest sytuacja, w której ma się siedzącą pracę, do której dojeżdża się autem, by następnie wypacać się bezproduktywnie na dusznej siłowni. Zamieńmy siłownię na rower i sytuacja nabierze sensu.

Nie włączajmy zmywarki dla jednego garnka, a pralki dla jednej sztuki odzieży. Używajmy mniej detergentów. Nie likwidujmy zieleni wokół nas – zaakceptujmy to, że krzaki to nie mniej wartościowa ozdoba, lecz bezcennym elementem środowiska. Dążmy do tego, by nasze samorządy inwestowały w ekologiczne spalarnie śmieci, które odpady przemienią w czystą energię.

eprasa.pl f3f299252a

Tak jak było, już nie będzie...

Ale my, głośne pawie, pyszałki odęte,
Niecna zgraja aktorów, hałastra wyrodna,
kneblujemy jak łotry Twoje usta święte
i spychamy Cię na dno, bo jesteś... niemodna.
K.I. Gałczyński, „Polska", 1924

W ŚWIECIE LUSTER

HANNA KARP

I stało się, i dzieje się.

To już siódmy rok (jak ten czas leci), gdy Platforma Obywatelska i jej zaplecze, czyli rozchwiana polityczna hybryda, próbuje zaspokoić coraz gwałtowniejsze napady głodu władzy. Już nie kontroluje swoich emocji. Już nie liczy się z żadnymi słowami. Gotowa jest na wszystko. I ma bolesną świadomość, że główne hasło wyborcze: „Ulica i zagranica", to za mało.

Donald Tusk, słynny zaklinacz politycznych węży, w przypływie kolejnych fal gniewu na wiecach uspokaja i obiecuje, że najbliższe wybory parlamentarne wygra na pewno. Na 100 proc. Gwarantuje też, że wyprowadzi z gabinetu prezesa NBP Adama Glapińskiego. Po prostu przyjdą silni ludzie i sprawę z nim załatwią – tak to tłumaczył inny lider PO Tomasz Siemoniak. W ogóle cała nielegalna, niepraworządna władza niebawem zniknie, zostanie załatwiona żelazną miotłą. Tam, w parlamencie Unii, przyjaciele mogą być spokojni. Inaczej być nie może.

Przecież nie na próżno Ursula von der Leyen z błyskiem w oku i szerokim uśmiechem na ustach mówiła Donaldowi na odchodne z unijnego urzędu, że ma nadzieję, iż po raz kolejny powitają go tutaj już jako premiera. A Donald Tusk spłonił się niby niewinne pacholę.

GDY OPADŁY ZASŁONY

Teraz, gdy puszczają wszelkie hamulce, opadają wszystkie zasłony i na oczach całej widowni zapada się wielka, fasadowa polityczna scena. Możemy przecierać oczy, kupić popcorn i przyglądać się dalej bohaterom tej farsy. Widać nareszcie, kto pisze tu dialogi, kto wygłasza wiodące zawołania i w jakim celu. Kogo reprezentują polityczni aktorzy opozycji. Powiedzieć, że zewnętrzne interesy wrogów Polski, to niemal nic nie powiedzieć. Mówi o tym otwarcie podczas swoich spotkań objazdowych po kraju prezes Prawa i Sprawiedliwości Jarosław Kaczyński. Jego informacje spotykają się z wielką uwagą i aplauzem słuchaczy. Kiedy strona opozycyjna przestała dbać o jakiekolwiek pozory, łatwo zrozumieć, w jak ciężkiej opresji się znalazła. I to wbrew gwarancjom i zapewnieniom oświeconych kół urzędniczych Unii Europejskiej, wbrew obietnicom kręgów unijnej finansjery, globalnych mediów i całego liberalnego Zachodu oraz namaszczonych mędrców rodzimych, sprawujących do niedawna władzę nad duszami Polaków.

Głód utraconej władzy mimo upływu czasu pogrąża elity III RP i zwykłych partyjnych żołnierzy PO oraz chroniące ich media w coraz większej desperacji. Jeden z nich ujawnił się niedawno w Wojewódzkim Ośrodku Ruchu Drogowego (WORD) w Gorzowie Wielkopolskim. Zmuszano tam nowo zatrudnianych pracowników, by zapisywali się w szeregi Platformy Obywatelskiej. Trudno powiedzieć, by odbywało się to bez wiedzy lokalnych władz PO, a może także przy cichym błogosławieństwie samej platformianej góry. Warto byłoby to zbadać. Przypominają się tu czasy szkoły podstawowej w PRL, gdy całą klasę nauczycielka języka rosyjskiego zapisywała do Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Ujawniono też inne patologie w gorzowskim WORD: mobbing, molestowanie, praca za seks – to tematy na kolejne sprawy dla prokuratury.

SYNDROM ODSTAWIENIA

Ciekawe także, że kiedy afera wyszła na jaw, uderzono nie w kierownika WORD, ale w dziennikarzy lokalnej prasy, którzy opisali temat. Do „Gazety Lubuskiej" zwrócono

eprasa.pl f3f299252a

się wprost o... weryfikację dziennikarzy, którzy ujawnili sprawę. To tylko potwierdza rozkład wewnętrzny Platformy Obywatelskiej na poziomach także regionalnych oraz to, jak bardzo przyklejeni są do rzeczywistości, która minęła. Mimo upływu czasu dawne przyzwyczajenia do bezkarności pozostały.

Narasta huśtawka nastrojów i syndrom odstawienia narkotyku władzy. Można to było obserwować podczas agresywnych pikiet, protestów, burd ulicznych, śpiewanek, zbiorowych ekstaz nienawiści, medialnego napędzania atmosfery ataków szału, łącznie z rzucaniem się pod koła samochodów z posłami odjeżdżającymi z głosowań sejmowych. To ostatnie miało miejsce w grudniu 2016 r., a teraz, w lipcu, podczas zorganizowanych akcji agresywnych bojówek, wyzywających i plujących na zainteresowanych przy wejściach do lokali, w których odbywają się spotkania z prezesem Jarosławem Kaczyńskim podczas jego objazdu po kraju.

Desperackie ruchy przewodniczącego Platformy Obywatelskiej Donalda Tuska i rozpaczliwe działania w regionalnych oddziałach jego partii świadczą o tym, że do niedawna platformiano-peeselowskie tłuste koty i ich ochroniarskie medialne kordony obsuwają się z trzaskiem w kręgi własnego piekiełka. Dowodem tego są ostatnie taśmy „Gazety Wyborczej". Ta historia obnaża kulisy standardów dziennikarskich w „GW" i jej kreowanie ataków medialnych, tropienie różnych postaci ważnych dla Prawa i Sprawiedliwości, w tym przypadku prezesa Orlenu Daniela Obajtka.

> Głód utraconej władzy pogrąża elity III RP i zwykłych partyjnych żołnierzy PO oraz chroniące ich media w coraz większej desperacji

UPADKI MEDIALNYCH GWIAZD I FETOR

Jak widać, najciemniej jest pod latarnią. Nie tylko „Gazeta Wyborcza" ma problemy wewnętrzne. W mediach głównego nurtu są to głównie problemy personalne. Piotr Kraśko, gwiazda TVN, latami nie płacił podatków i jeździł bez prawa jazdy, które utracił. W końcu sprawa wyszła na jaw. Tomasz Lis, także dawna gwiazda TVN, Polsatu i telewizji publicznej za czasów, gdy rządziła Platforma Obywatelska, został usunięty w trybie nagłym z posady redaktora naczelnego tygodnika „Newsweek" koncernu Ringier Axel Springer. W redakcji wszyscy są skłóceni, oskarżają się o mobbing i patologiczne zachowania. W głównej telewizji komercyjnej, czyli TVN, także podobne sprawy, co w „Newsweeku". Telewizja ma na karku procesy wytaczane jej przez byłych pracowników, oskarżających stację o naruszenia praw pracowniczych, presję zwierzchników o przechodzenie z etatów na umowy cywilnoprawne. Procesy na wniosek prawników stacji zostały utajnione. Co chce TVN ukryć, że pozbawia pokrzywdzonych pracowników konstytucyjnego prawa do rzetelnego procesu sądowego? – pytał publicznie jeden z operatorów procesujący się z TVN. I alarmował, że zasada

Przesmyk suwalski, jezioro Pobondzie

Fot. Artur Karp

jawności postępowania sądowego to jeden z warunków jego rzetelności. Mówi o tym art. 45 konstytucji RP. TVN transmitowała po 2015 r. marsze KOD, podczas których wznoszono non stop okrzyki: „Konstytucja, Konstytucja!". No właśnie – konstytucja. Gdzie ona dziś jest?

Obserwujemy coraz dokładniej, jak opozycyjni politycy i media antyrządowe tracą kontakt z rzeczywistością. Słyszymy, że nielegalny jest rząd, Trybunał Konstytucyjny, sędziowie dublerzy, obrady Sejmu, prezes Narodowego Banku Polskiego. Być może wkrótce dowiemy się, że nielegalny jest ciemny naród pisowski. Nie zdziwimy się, gdy usłyszymy, że także Polska jest nielegalnym krajem. Zwłaszcza gdy Platforma Obywatelska przegra wybory w 2023 r. Dlatego warto przypomnieć nazwanej przez Lwa Rywina grupie trzymającej władzę, jak mawia pewien publicysta, skąd wyrastają jej nogi. I że już nie istnieje, tylko o tym jeszcze nie wie. Nikt już jej nie pyta o zdanie.

Platformiane elity wciąż nie mogą uwierzyć, że nie są już wszędzie pierwsze. Zapowiada się też, że mogą pożegnać się na kolejne lata z ministerialnymi posadami. Nie będą zasiadać w radach nadzorczych spółek Skarbu Państwa, w głównych redakcjach mediów publicznych i w głowach Polaków. Może się okazać, że stali się trwałymi banitami życia publicznego. Ich kłamstwa opakowane w kolorowe papierki po latach wydzielają nadzwyczaj przykry fetor. W formie skondensowanej unosi się on w naszej politycznej przestrzeni. Snuje się także w Brukseli, wśród pozłacanych unijnych klamek, do których tak chętnie i licznie opozycja pielgrzymuje.

Już wiadomo, że nie będzie tak, jak było.

Artystyczny, subtelny światek oświeconych aktorek, reżyserek, dziennikarskich celebrytek, córek i wnuczek generałów i funkcjonariuszy PRL powinien też zrozumieć, że eldorado czerwonych elit się kończy. Poprawiajcie sobie urodę w klinikach chirurgii kosmetycznej. Kurujcie się w spa. A reszcie pozwólcie żyć.

Pisała z przesmyku suwalskiego, jednego z najniebezpieczniejszych miejsc na świecie, zanurzona wśród jezior i lasów, gdzie nigdzie na świecie nie jest tak dobrze jak tam...

Autorka jest religiologiem, medioznawcą, profesorem Akademii Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu

eprasa.pl f3f299252a

Pamiętamy

Alina Czerniakowska

1 sierpnia 1944 r. – Warszawa. Nikt ich nie wyprowadził na ulice, nikt im nie kazał iść do powstania, walczyli na śmierć i życie, bo „chcieli być wolni i wolność sobie zawdzięczać". Mieli pełną świadomość sytuacji, w której znalazła się Polska. „Czekamy ciebie, czerwona zarazo / byś wybawiła nas od czarnej śmierci / byś nam kraj przedtem rozdarłszy na ćwierci / była zbawieniem witanym z odrazą..." pisał zaledwie 21-letni powstańczy poeta Józef „Ziutek" Szczepański w dramatycznym, zakazanym potem wierszu.

Pamiętam z dzieciństwa, że 1 sierpnia trzeba być na warszawskich Powązkach wśród brzozowych krzyży tych, którzy podjęli walkę z dwoma okupantami, walkę nierówną, bohaterską, wielką i najwspanialszą w naszych dziejach. Tak mówił mój ojciec, który z kolegami z Armii Krajowej z Okręgu Płockiego próbował iść na pomoc powstańczej Warszawie. Doszli pod Modlin i tam nie mogli przedostać się przez niemieckie oblężenie. Wspominał te chwile i nie potrafił ukryć łez: „Chłopaki upadli na kolana, widząc płonącą Warszawę. Płakaliśmy, chociaż każdy z nas był twardy jak stal". Nigdy nie zapomnę jego oczu, twarzy, jak o tym mówił, powtarzał: „Pamiętajcie 1 sierpnia, zawsze bądźcie przy grobach tych najdzielniejszych. Oni są symbolem polskości".

Zawsze przychodzę na Powązki 1 sierpnia i mam nadzieję, że tutaj jestem wśród swoich, że spotykam tu ludzi, którzy doskonale znają historię, wiedzą, kto kim był i kim jest dzisiaj, którzy odróżniają honor, prawdę od zdrady, zaprzaństwa i kłamstwa. Jednak ostatnio wszystko się poplątało, ogłupienie społeczeństwa jest przerażające, wypowiadają się publicznie, a często w ogóle nie rozumieją, o co walczyli powstańcy! Gdy myślę o tym poplątaniu z pomyleniem, zatraceniu sensu powstania, przychodzi mi na myśl wiersz Mariana Hemara napisany na emigracji wiele lat po powstaniu: „A dzisiaj ta ciżba moskiewskich zaprzańców, / A dzisiaj te same psubraty / Z butami się pchają na groby powstańców / I wieńce im niosą, i kwiaty / Dziś oni te groby chcą wziąć w swą arendę / I ukraść im honor tej chwili / I zwołać umarłych pod swoją komendę / Gdy żywych już sami dobili...".

Na szczęście są nadal Polacy, dla których takie słowa, jak wolność, godność, honor, są święte i zachowały prawidłowe znaczenie. Pan Adam ze Szczecina zabiera całą rodzinę i jedzie do Warszawy, specjalnie na 1 sierpnia, by w godzinę W oddać hołd bohaterom. „Tam są groby wspaniałych Polaków, Warszawa to święte miejsce. Tu, w mojej stolicy, stąpam po śladach tych najdzielniejszych, tu ich krew wsiąkła, wy, żyjący tu na co dzień, nie doceniacie, że chodzicie i mieszkacie w miejscu wyjątkowym, świętym. My jedziemy z dziećmi przez całą Polskę, żeby co roku 1 sierpnia tu być". Takich i podobnych wypowiedzi słyszę więcej w tych dniach w Warszawie. Młodzi ludzie z Gdańska, Irek i inni przyjaciele nieżyjącej już Marii Fieldorf-Czarskiej, córki gen. Fieldorfa, zamordowanego po wojnie w polskim więzieniu, przyjeżdżają liczną grupą co roku 1 sierpnia na warszawskie Powązki. Jest to swoista sztafeta pokoleń, wierne wypełnianie testamentu pani Marii, która pokazała im drogę do grobów powstańców Warszawy. Ich obecność, postawa nie tylko wzruszają i napawają dumą, ale nie pozwalają zwątpić w siłę Polski, dają nadzieję, że otrząśniemy się z tego oplatającego nas kłamstwa i wszelkiego zła.

Trwa walka duchowa między dobrem a złem. Świat się polaryzuje coraz bardziej, ci dobrzy stają się coraz lepsi, a ci źli brną w swoje zło, coraz bardziej wyrafinowane. Dwa bieguny – piszą i mówią o tym naukowcy, obserwatorzy życia społeczeństw na całym świecie. Od nas zależy, w którym kierunku pójdzie Polska, czy zdołamy się oprzeć wszelkim złym prądom, odrzucimy głupie, ślepe naśladownictwo i schlebianie rzekomej nowoczesności, czy potrafimy ocalić narodowe dziedzictwo wielowiekowej historii, opartej na chrześcijańskich wartościach?

Jan Paweł II, papież Polak, mówił do nas w czasie swojej pierwszej wizyty w umiłowanej Ojczyźnie: „Nie sposób zrozumieć tego miasta, Warszawy, która w 1944 r. zdecydowała się na nierówną walkę z najeźdźcą, na walkę, w której została opuszczona przez sprzymierzone potęgi, na walkę, w której legła pod własnymi gruzami, jeśli się nie pamięta, że pod tymi samymi gruzami legł również Chrystus Zbawiciel ze swoim krzyżem sprzed kościoła na Krakowskim Przedmieściu". Czy zdołamy tak kształtować własne życie, by dawać przykład bliskim, otoczeniu? Może wtedy zainteresuje to innych, zaimponujemy im i zaczną nas naśladować.

Walka ze złem opartym na kłamstwie jest bardzo skomplikowana, wielopłaszczyznowa. Szczególnie trudno przekazywać wiedzę historyczną, nakłonić do poznawania faktów ludzi młodych wychowanych w domach postkomunistów, których rodzice na początku III RP zachowali władzę, przejęli majątek narodowy i bronią swojego *status quo*. Kłamstwu ulegają nawet ci, którzy – wydawałoby się – świetnie rozumieją, co jest grane, jednak silniejsza jest chęć zabłyśnięcia, szybkiej kariery, popularności, materialnego blichtru. I tak trwa wyścig szokowania złem, zamieniając prawdę na kłamstwo, dobro na zło.

Na szczęście coraz więcej młodych ludzi rozumie sens tamtej walki o niepodległość, przychodzą na Powązki, a potem na pl. Piłsudskiego, wspólnie śpiewają pieśni powstańcze, napisane na barykadach przez ich rówieśników z 1944 r. Od kilku lat Muzeum Powstania Warszawskiego organizuje 1 sierpnia wspólne narodowe śpiewanie, przybywa coraz więcej ludzi, trzeba tam koniecznie być, zobaczyć, przeżyć i nabrać wiary, że dzisiaj też są: „chłopcy silni jak stal / oczy patrzą się w dal / nic nie znaczy nam wojny pożoga. / Hej, sokoli nasz wzrok / w marszu sprężysty krok / i pogarda dla śmierci i wroga!".

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

eprasa.pl f3f299252a

Pokazać ptaka

Piotr Cywiński

Zacznę od objaśnienia, co w języku niemieckim znaczy „Vogel zeigen". W dosłownym przekładzie – „pokazać ptaka", proszę jednak nie wyciągać zbyt dalekich wniosków. W naszym języku odpowiednikiem tego zwrotu jest: popukać się w czoło, pokazać komuś, że ma kuku na muniu, że jest durniem po prostu. Bardzo kosztowne może być to pukanie, ale nie u nas. Jeśli w Niemczech np. kierowca pokaże drugiemu „ptaka", za taki gest czeka go grzywna 750 euro. Tańsze byłoby pokazanie języka czy obelga „głupia krowa", wyceniane na 300 euro. Epitet „głupia świnia" kosztuje już 500 euro, „dupek" lub „idiota" – 1600 euro, za nazwanie kogoś „szmatą" można zapłacić 1900 euro, za „gnoja" – 2500 euro. Najwyższą karę wyznaczono za pokazanie „fucka", słownie cztery tysiące euro. Jest tego aż 25 pozycji, w tym grzywny za słowną i czynną obrazę policjantów.

Tyle cennik obowiązujący w tym roku – kto chce, może sprawdzić na stronie bussgeld-info.de, Aktueller Bussgeldkatalog. I porządek jest, nic bowiem nie przemawia tak do ludzkiej wyobraźni jak uderzenie po kieszeni. W świecie polityki konsekwencje chamskiego zachowania mają inny wymiar. Gdy pewien berliński senator nazwał swojego lewicowego adwersarza „polityczną dziwką", został pozbawiony funkcji partyjnych, a w końcu wykluczony z szeregów macierzystej CDU. Do swoistego przesilenia doszło w kampanii wyborczej sprzed kilkunastu lat, gdy chadecy pokazali na swoich afiszach socjaldemokratę Gerharda Schrödera jako przestępcę ściganego listem gończym. Po protestach plakaty poszły na przemiał, pod groźbą procesów sądowych zniknęły nawet z internetu. Prezydent Horst Köhler zaapelował wówczas do polityków, by sami sobie i całej klasie politycznej nie podrywali autorytetów, i – z grubsza rzecz biorąc – poskutkowało.

„Ścierwojady, świńskie ryje, szaleńcy, prostaki, ćwoki, niedorżnięta wataha, bydło, kanalie, dziady, plugawcy, karły moralne, faszyści, katolickie cioty, śmiecie, zdrajcy, złodzieje, zera..." – oto reprezentanci naszej „klasy" politycznej, bowiem wszystkie te inwektywy padły z... mównicy sejmowej. Wspierani przez Niemcy „liderzy" opozycji szermują karalnymi groźbami, wzywają swoich zwolenników do wyjścia na ulice i zakłócania porządku publicznego... Plucie, ordynarne wyzwiska, napaści, niebezpieczne obrzucanie samochodów politycznych przeciwników – plon jest. Strach pomyśleć, co jeszcze może się zdarzyć. Ot, obraz naszej sceny politycznej, naszego państwa prawa. Aż chciałoby się „pokazać ptaka"...

Norwid – wyzwanie dla wybranych

Adam Ciesielski

Śpiewanie wierszy Cypriana Kamila Norwida kusi kolejne generacje pomysłodawców i wykonawców. Najnowsze podejście, inspirowane przez Narodowe Centrum Kultury, ma zachęcić rodaków do lektury dzieł wielkiego poety oraz do refleksji nad ich filozoficznym i moralnym przesłaniem

Płyta przynosi zapis wieczoru, który odbył się 15 listopada 2021 r. w Studiu Koncertowym Polskiego Radia im. Witolda Lutosławskiego dla upamiętnienia 200. rocznicy urodzin Norwida, mistrza pióra, grafika i myśliciela. Organizatorzy zaprosili do współpracy kompozytorów i wykonawców reprezentujących rozmaite style i gatunki muzyczne. Uwagę młodego odbiorcy przyciągną pewnie elektroniczne propozycje Bartosza Schmidta („Jesień", „Ty mnie do pieśni pokornej nie wołaj") lub Mikołaja Kubickiego i Kuby Więcka („Początek broszury politycznej"). Średnie pokolenie zainteresują próby Gaby Kulki („Marionetki" z muzyką Czesława Niemena) czy Renaty Przemyk („Królestwo" w oprawie Miłosza Wośki – szefa muzycznego całości). Wszyscy zaś słuchacze bez względu na staż skupią się na „Pielgrzymie" z muzyką Niemena w interpretacji jego wieloletnich towarzyszy z estrady – Józefa Skrzeka z zespołem SBB. Podobnie będzie z utworem „Bema pamięci żałobny rapsod" w instrumentalnej wersji kompozycji Niemena zagranej przez wrocławską formację jazzową EABS.

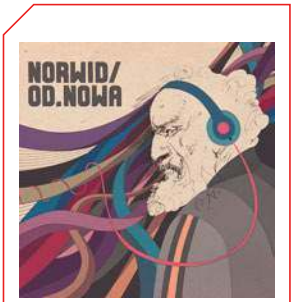

„Norwid/Od.Nowa", różni wykonawcy, wyd. Narodowe Centrum Kultury

Zmierzenie się z muzyką Niemena do wierszy Norwida to dla każdego wykonawcy nie lada wyzwanie. Ocena efektów i tym razem zapewne podzieli słuchaczy. Wszak nie brak wciąż świadków pamiętających koncerty czy płyty legendarnego artysty z tym repertuarem. Myśląc o nich, a także o dzisiejszym odbiorcy, można wyobrazić sobie album składający się z zapisu współczesnych ujęć i archiwalnego krążka z wykonaniami strof Cypriana Kamila samego Niemena czy innej wybitnej interpretatorki poezji – Wandy Warskiej, dla której muzykę pisał Andrzej Kurylewicz. Taka konfrontacja to arcytrudne przedsięwzięcie, ale przecież warto marzyć.

eprasa.pl f3f299252a

PRZEZ ŚWIETLIK

Język polski to nie Putin

Wiktor Świetlik

Walcząc z językiem, nie pomożemy Ukrainie. Ja jednak nadal będą jeździł „na Ukrainę", „na Węgry", „na Litwę" i „na Łotwę", a za zmianami może kryć się spora doza niechęci do własnego kraju.

Rada Języka Polskiego uznała sformułowanie „w Ukrainie" za równoważne sformułowaniu „na Ukrainie". Część szacownych kolegów redaktorów z miejsca to podchwyciła, informując – a jakże – że od teraz trzeba już mówić „w Ukrainie". Można nadal mówić, jak się chce. Jednak za poprawne są uważane od teraz obie wersje.

Ojkofobiczną, liberalną lewicę w pełni w tej sprawie rozumiem. Przecież sformułowanie „na Ukrainie" było pochodną haniebnego polskiego kolonializmu. Zdaniem faceta z Akademii Szwedzkiej, który dawał Oldze Tokarczuk Nagrodę Nobla, ten kolonializm, a także nasz wrodzony antysemityzm są tak koszmarnie żywe nadal, że dostojna noblistka, poruszając te tematy, naraża się na groźbę śmierci. Nie wyjaśnił niestety, czy zostanie zamordowana, czy stracona w majestacie pisowskiego prawa na rynku któregoś z miast Polski wschodniej. Osoby mniej zakłamane albo mniej tępe wiedzą jednak, że określenie „na Ukrainie" podobnie jak „na Węgrzech" odnosi się właśnie do historycznej bliskości, jest językową pamiątką po Rzeczypospolitej Obojga – a tak naprawdę wielu – Narodów, unikatowego państwa w Europie.

Teraz to zmienimy w ramach politycznej poprawności, która ani czołgów nie zastąpi, a do tego będzie traktowana jako autorozliczenie z naszym kolonializmem, faszyzmem lub czymś jeszcze podobnym. Ci sami ludzie, którzy latami ględzili, by się nie zbroić, nie drażnić Putina, pluli na naszą Straż Graniczną, obronę terytorialną, nazywając je pisowską żandarmerią, teraz nagle zapałali zapałem, by wspierać sąsiadów, na siłę kalecząc własny język.

A większość się dostosuje. W dodatku niedostosowanie się może człowieka autentycznie lokować w gronie Braunów, Korwinów i innych onuc. Sprytna pułapka. Ja jednak będę nadal jeździł na Ukrainę, podobnie jak będę wspierał ten kraj w jego walce.

Ordnung muss sein!

Lech Makowiecki

„Porządek musi być" – ta pruska maksyma jest OK, bałagan wciąż jest postrzegany pejoratywnie. Ale gdy tę germańską dewizę wprzęgnie się w system totalitarny – staje się zabójcza (vide: dwie wywołane przez Niemcy wojny światowe). Dlatego ostatnia próba wymuszenia federalizacji Unii Europejskiej pod niemiecki dyktat (zamach na przysługujące krajom członkowskim prawo weta) spotkała się ze zdecydowanym sprzeciwem wielu państw.

Większość ważnych decyzji podejmowanych dziś przez niemieckich polityków (rządzących de facto UE) była próbą ekonomicznego i politycznego podporządkowania Europy Berlinowi. Unijny „dominator" mocno zapracował na brak zaufania, zwłaszcza u mniejszych i biedniejszych krajów. Próby siłowego narzucania „niemieckiego porządku": rujnującego Europejskiego Zielonego Ładu (jakaś klimatyczna obsesja?), migracyjnego szaleństwa (samobójcze „welcome, refugees!"), chorej ideologii gender (planowa demoralizacja dzieci i młodzieży, wiodąca ku demograficznej zapaści), ekonomicznej dyktatury (kolonizacja gospodarek słabszych państw), oraz dogadywanie się ponad naszymi głowami z totalitarną Rosją (vide: uzależnienie UE od rosyjskiego gazu, blokowanie wsparcia militarnego Ukrainy) – to wszystko służy tylko Niemcom! Pozostałe narody są spychane w otchłań biedy, podporządkowania, a może i kolejnej wojny światowej.

W stosunku do Polaków niemiecka buta sięga zenitu: Ursula von der Leyen, Olaf Scholz et consortes tresują nas metodą kija (bezzasadne restrykcje) i marchewki (sowite wspieranie rodzimych folksdojczów), próbując ingerować w nasze wybory i Konstytucję RP. W przypadku Rzeczypospolitej germański „ordnung" i rosyjski „bardak" od wieków tworzyły piekielny tandem. I sam nie wiem, które zniewolenie było (jest?) dla nas gorsze...

PS Polski porządek nakazuje nam powstać z kolan, odbudować tożsamość narodu, wzmocnić armię, zawrzeć skuteczne sojusze... I wyrwać od Niemców odszkodowania wojenne. Ordnung muss sein!

eprasa.pl f3f299252a

***Michał Korsun prezentuje:* Szwecja nie chce oddać statutów Łaskiego z 1506 r.**

Wycinki z przeszłości

Trybuna Ludu

UCHWAŁY IX NADZWYCZAJNEGO ZJAZDU PZPR

Uroczyste obchody Święta Odrodzenia

Trybuna Ludu

Socjalistyczny program partii, państwa i narodu 1944–22.VII.1981

IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR zakończył obrady

Przemówienie I sekretarza KC tow. Stanisława Kani

Odezwa do narodu polskiego

Czego życzą Ojczyźnie

Lipcowe wydania organu PZPR „Trybuny Ludu" z 1981 r. są pełne doniesień o rocznicy Manifestu PKWN z 22 lipca 1944 r. i zakończonym właśnie zjeździe partii. Nowym sekretarzem generalnym został Stanisław Kania. Ale nawet tu, z dalszych stron, wyłania się jednak obraz straszliwego kryzysu gospodarczego PRL.

Czytamy m.in.: „W związku z utrudnieniem realizacji kartek za miesiąc czerwiec Urząd Miasta st. Warszawy ustalił dzień 23 lipca br. w Warszawie i województwie do sprzedaży mięsa, wędlin i drobiu tylko na kartki czerwcowe. Kartki mięsne z lipca nie będą w tym dniu realizowane".

„Spadek stopy życiowej jest nieuchronny, ale nie wszystkich dotknie jednakowo. Podwyżka cen jest nieuchronna. Ceny prawie wszystkich artykułów żywnościowych są niższe od kosztów ich produkcji. Mleko w detalu jest 4-krotnie tańsze od cen płaconych rolnikowi" – mówi przewodniczący Państwowej Komisji Cen prof. Zdzisław Krasiński.

Brak mydła, proszków do prania, szamponów. Ludzie chcą wyjaśnień. „Produkcja idzie nieźle, to efekt paniki" – przekonuje jednak dyrektor Polleny Marek Wędołowski.

W warsztatach MZK brak części zamiennych. Rozkład jazdy staje się fikcją.

(mk)

Dziewiątką pojechać w Aleje...

Leszek Długosz

Ta piosenka jest jak swego rodzaju pomnik (pomniczek) zbudowany z muzyki i ze słów. Jest dowodem miłości, przywiązania i żalu. Przybyła do kraju wraz z jej twórcą jesienią 1944 r. Jej autor (nie zdążywszy z gen. Andersem) dotarł z wojskiem, tym od wschodu, jako żydowski uciekinier. Kompozytor, pianista, poeta, pieśniarz Aaron Hekelman przyjął pseudonim Albert Harris. On pierwszy nagrał ten utwór. Potem spopularyzował go Mieczysław Fogg.

W 1946 r. Harris wyjechał do Danii, stamtąd do USA. Zmarł tamże w 1974 r., zapewne anonimowo. Pseudonim w Polsce też nieobecny. A przecież nie ma chyba w Polsce, a i na świecie warszawiaka, w którym na dźwięk tej piosenki nie ścisnęłoby się serce. „Nie masz cwaniaka nad warszawiaka" to też jego piosenka.

Albert Harris (1911–1974)
„Piosenka o mojej Warszawie"

Jak uśmiech dziewczyny kochanej
Jak wiosny budzącej się wiersz
Jak świergot jaskółek nad ranem
Młodzieńcze uczucia nieznane
Jak rosa błyszcząca na trawie
Miłości rodzącej się zew
Tak serce raduje piosenki tej śpiew
Piosenki o mojej Warszawie
Jak pragnąłbym krokiem beztroskim
Odnaleźć wędrówek mych ślad
Bez celu się przejść Marszałkowską
Na Wisłę napatrzeć się z mostu
Dziewiątką pojechać w Aleje
I z tłumem się wpleść w Nowy Świat
I ujrzeć jak dawniej za młodych mych lat
Jak do mnie Warszawo się śmiejesz
Ja wiem żeś Ty dzisiaj nie taka
Że krwawe przeżyłaś już dni
Że rozpacz i ból Cię przygniata
Że muszę nad Tobą zapłakać
Lecz taką jak żyjesz w pamięci
Przywrócę ofiarą swej krwi
I wierz mi Warszawo prócz piosnki i łzy
Jam gotów Ci życie poświęcić

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
wSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl f3f299252a

OD A DO ZYBERTOWICZ

Hiobowa perspektywa

Współczesny człowiek, który ma wygody i wysoką technologię do dyspozycji, zamknięty w wymiarze doczesnym i przyrodzonym w sensie chrześcijańskim jest beznadziejny. Żyje bez nadziei

Gdy przychodzi 1 sierpnia, data wybuchu powstania warszawskiego, niejako same nasuwają się słowa Jana Pawła II, które papież powiedział podczas pierwszej pielgrzymki do ojczyzny w 1979 r.: „Nie sposób zrozumieć tego miasta, Warszawy, stolicy Polski, która w 1944 r. zdecydowała się na nierówną walkę z najeźdźcą, na walkę, w której została opuszczona przez sprzymierzone potęgi, na walkę, w której legła pod własnymi gruzami, jeśli się nie pamięta, że pod tymi samymi gruzami legł również Chrystus Zbawiciel ze swoim krzyżem sprzed kościoła na Krakowskim Przedmieściu".

Ileż dramatów naszej europejskiej historii, a zwłaszcza naszej bolesnej polskiej historii, nie sposób zrozumieć bez Chrystusa. Jednak kto dziś jeszcze chce dramat cierpienia zgłębiać? Współczesny świat nie sprzyja szukaniu sensu w cierpieniu, nie sprzyja nadawaniu cierpieniu głębszego sensu. A prawdziwie głęboki sens jest ten metafizyczny.

Chrystus w Europie (w Unii Europejskiej) jest niemile widziany. W wielu miejscach cierpienie, a może raczej karykaturę cierpienia, zdają się zawłaszczać piewcy ideologii LGBT+. Postępowy Zachód chce cierpienie wyrugować z życia ludzi, ale w czasie, gdy na Ukrainie za sprawą Putina giną niewinne dzieci, brzmi to jak podły żart.

MISTERIUM CIERPIENIA W ŁAZIENKACH

W ramach V Festiwalu Opery Królewskiej w miniony weekend w Teatrze Stanisławowskim w Łazienkach można było nad cierpieniem pomedytować. Była wystawiana opera Krzesimira Dębskiego „Hiob".

Dzieło powstało na motywach dramatu napisanego przez wyjątkowego studenta. Był nim młodziutki wówczas Karol Wojtyła. Dramat o cierpieniu napisał w czasie okupacji niemieckiej w 1940 r. Pandemia spowodowała, iż premierę opery Krzesimira Dębskiego odkładano aż dwa razy. W końcu odbyła się wiosną 2021 r. – ale bez publiczności, w wersji online. Podczas festiwalu wreszcie można było operę obejrzeć na żywo i taką sposobność miałam.

Dzieło nie jest łatwe, mimo że chyba każdy zna historię Hioba. (Och, przepraszam, żaden „każdy" – przecież dziś nie można mieć tak totalitarnych oczekiwań co do znajomości starożytnych kodów cywilizacji łacińskiej).

Opera wymaga skupienia i wyciszenia. Tekst ze względu na anachroniczny język jest trudny do wyśpiewania. Chwilami bardzo pomocne było wyświetlanie widzom tekstu z promptera. Jednak sam Hiob jako bohater jawi się bardziej swojsko. W jednej z pierwszych scen domem Hioba jest gabinet pełny książek – świat człowieka i jego ogromna wiedza. Gdy na Hioba spadają kolejne plagi, ta pokaźna biblioteka jest rozkradana. Na nic ludzka wiedza, koncepcje, odkrycia. Puste regały symbolizują również pustkę uczuć, bezradność w obliczu przeciwności losu. W innej scenie zmaltretowany cierpieniem Hiob, okrywany przez dziecko kocem z termicznej folii, przypomina współczesnego uchodźcę.

SENS – CHRYSTUS

Dramat ludzki, symbolizowany przez doświadczenia Hioba, wydaje się nie do zniesienia. Dopiero gdy w wizjach proroka Elihu pojawia się postać Chrystusa, zaczyna się tlić jakaś nadzieja. Gdy bohater uświadamia sobie, że jego cierpienia są niczym wobec męki i śmierci krzyżowej niewinnego Syna Człowieczego, swój los przyjmuje z pokorą.

Czy w obliczu wojny na Ukrainie powstanie warszawskie zyskuje nowy wymiar? Czy cierpienia Mariupola pozwalają nam dziś lepiej odkrywać, odczuć sens cierpień Warszawy z czasów II wojny światowej?

Czy jest jakaś lepsza perspektywa patrzenia w przyszłość niż chrześcijańska?

Kardynał Josef Ratzinger w jednym ze swoich dzieł pyta: „Czy w gruncie rzeczy wyzyskany, sponiewierany, skrzywdzony człowiek nie pragnie tego samego, co jego brat zdemoralizowany przez komfort, seks, narkotyki – mianowicie, by móc wierzyć?".

Współczesny człowiek, który ma wygody i wysoką technologię do dyspozycji, zamknięty w wymiarze doczesnym i przyrodzonym w sensie chrześcijańskim jest beznadziejny. Żyje bez nadziei, bo zapomniał o miłości rozumianej nie jako cnota ludzka, ale boska.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl f3f299252a

Kup e-prenumeratę teraz 50% taniej

SIECI

Letnie przepisy w prezencie

aż 60 przepisów na lato

Zamów już dziś na

www.siecprzyjaciol.pl

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW WERSJI PAPIEROWEJ

SIECI

wSIECI HISTORII

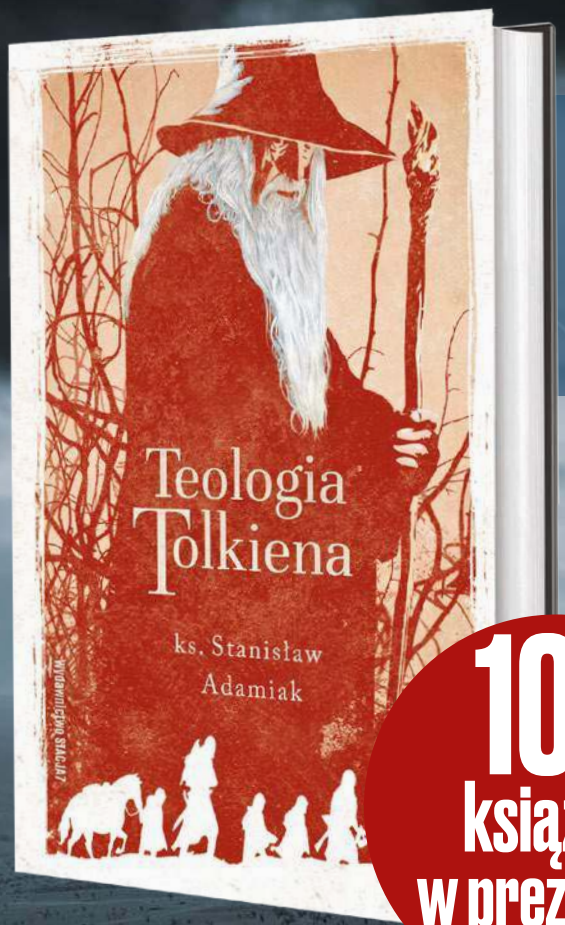

„Teologia Tolkiena” ukazuje chrześcijańskie prawdy wiary ukryte w losach bohaterów Śródziemia

196 STR. | LEKTURA OBOWIĄZKOWA DLA FANÓW TOLKIENA | IMPRIMATUR

100 książek w prezencie

Fot. Shutterstock

Książkę **„Teologia Tolkiena”** otrzymasz **GRATIS**, zamawiając roczną prenumeratę pakietu: tygodnik SIECI i magazyn wSIECI HISTORII za **295 zł**.

Zamów już dziś na: **www.wsieciprawdy.pl/prenumerata**

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

Kontakt: **prenumerata@fratria.pl** | **tel. 22 616 36 00** w godz. 9-16

eprasa.pl f3f299252a